SIECI
DUDA I TUSK U ZAGUBIONEGO BIDENA.
ROKITA O INTRYDZE, KTÓRA DO TEGO DOPROWADZIŁA
KTO NA PREZYDENTA?
JANECKI O PRZYMIARKACH I KOPANIU DOŁKÓW
BOLSZEWIZACJA PROKURATURY, CZYLI ŚCIEŻKA DO PAŃSTWA TOTALITARNEGO
OSTATNIE POKOLENIE – CAŁKIEM GWANA AGENTURA GLOBALIZMU
SIECI
NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE
12 (590) 2024
18–24 marca 2024
CENA: 10,90 zł
(w tym 8% VAT)
TYLKO U NAS
OBAJTEK PRZERYWA MILCZENIE
„CHCĄ MNIE ZNISZCZYĆ, ZGNOIĆ, NA KOŃCU ZAMKNĄĆ" – BYŁY PREZES ORLENU OTWARCIE MÓWI O PRZEŚLADOWANIACH I RZEKOMYCH PODSŁUCHACH
Platforma Obywatelska
PSL
CYSTERNY WSTYDU
PO-PSL
WND 9H68
EBS
INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694

GAZETA BANKOWA

W POLSCE PL

wGospodarce.pl

Energetyczne forum wGospodarce.pl

Agnieszka Łakoma

Maciej Wośko

Stanisław Koczot

Oglądaj na żywo transmisję z 2. edycji
Energetycznego Forum wGospodarce.pl
21 marca o godz. **10:00**
na profilu FB wGospodarce.pl

PARTNER: Energa | GRUPA ORLEN

eprasa.pl 0d93b09f36

Niepodległość powróci. Mocniejsza

W ub. tygodniu premier Donald Tusk towarzyszył prezydentowi Andrzejowi Dudzie w spotkaniu z prezydentem USA Joe Bidenem w Białym Domu. Miał to być pokaz polskiej jedności w sprawach zasadniczych, związanych z bezpieczeństwem. I szef rządu dobrze odegrał tę rolę. Nie zabrakło złośliwości w charakterystycznym stylu, ale jedną z wypowiedzi, odnoszącą się do wydatków na zbrojenia, uznano wręcz za „koncyliacyjną" wobec głowy państwa. Cały kraj się zdumiał, ale i ucieszył. Jak zawsze w tym przypadku, zupełnie niesłusznie i mocno naiwnie.

Już dzień po wizycie w USA wróciliśmy do naszej rzeczywistości, czyli do kroczącego zamordyzmu. MSZ ogłosiło, że minister Radosław Sikorski podjął decyzję o odwołaniu ponad 50 ambasadorów oraz o wycofaniu kilkunastu kandydatur zgłoszonych przez poprzednie kierownictwo resortu. Liczby po prostu hurtowe. Jednocześnie zgodnie z nową tradycją wyjątkowego cynizmu wyrażono nadzieję „na zgodne współdziałanie w tej sprawie najważniejszych władz w kraju".

Zgodnie z konstytucją mianowanie ambasadorów to kompetencja prezydenta. Minister Sikorski dobrze to wie i dlatego sięga po sztuczkę: powołanych zgodnie z procedurą ambasadorów ściąga do kraju, a ich obowiązki powierza dyplomatom niższej rangi. Uprawnienia głowy państwa omija, a właściwie uśmierca, bo przecież ich sensem jest prawo do wpływania na politykę zagraniczną, a nie sama ceremonia. „Jestem w dialogu z panem prezydentem, ale o szczegółach nie będziemy mówić, bo ambasadorowie nadal służą" – przekonuje Sikorski, zapewniając, że wszystko będzie robił „w sposób cywilizowany". Zobaczymy, wątpimy.

Nie wiemy, jak potoczą się polityczne losy ekipy, która przejęła władzę 13 grudnia, ale wiemy, że jej samej się wydaje, że będzie trwała wiecznie. Konstytucję uśmiercono, ustawy wyrzucono do kosza. Decyduje polityczna wola wsparta policyjną obstawą, a gdy trzeba, to i pałką. Pozbawiono ochrony prawa tysiące urzędników, dziennikarzy, menedżerów, również polityków. Ale jednocześnie, paradoksalnie, być może uchylono drzwi do prawdziwej naprawy Rzeczypospolitej. Takiej sięgającej fundamentów, nieskrępowanej prawami, które III RP najpierw ustanowiła, a teraz wypatroszyła i zamordowała.

Wyrzucając ambasadorów całymi tuzinami, minister Sikorski przekonuje, że „wybory mają swoje konsekwencje". To zdanie kiedyś wróci do ekipy, która buduje dziś w Polsce system samodzierżawia. Wahadło znów się wychyli w stronę niepodległości, być może mocniej niż kiedykolwiek.

Jacek Karnowski

Igranie z możliwą tragedią

Zaledwie trzy miesiące temu premier Mateusz Morawiecki oddał stery państwa. Takie są reguły demokracji. I choć było jasne, że przejęcie władzy przez Donalda Tuska oznacza narodową i państwową katastrofę w wielu obszarach, Prawo i Sprawiedliwość bez sekundy zawahania uszanowało zasady. Wszędzie tam, gdzie było to zgodne z prawem, przejęcie władzy nastąpiło płynnie.

Rządzącym jest jednak mało i tego, co zdobyli. Sięgnęli także po TVP, Polskie Radio, prokuraturę, ambasadorów, próbują się dobrać do NBP i Trybunału Konstytucyjnego. Rozpoczął się niespotykany w wolnej Polsce serial nienawiści wobec poprzedników, poniżanie ludzi, szukanie haków. Opowiada o tym w poruszającej rozmowie na str. 20 były prezes ORLENU Daniel Obajtek.

Władza lekceważy także najbardziej elementarne zasady bezpieczeństwa. Osoby wciąż lub do niedawna pełniące najważniejsze funkcje w państwie są pozbawiane ochrony, co w sytuacji trwającej wojny na Ukrainie, agresywnej i bandyckiej polityki Rosji, atakującej oponentów także poza granicami, jest skrajnie ryzykowne.

Dotyczy to zwłaszcza premiera Morawieckiego, który tuż po 24 lutego 2022 r. odegrał jedną z kluczowych ról w organizowaniu polskiej pomocy dla naszego napadniętego sąsiada i mobilizowaniu Zachodu do jej udzielenia. Tuż przed samym wybuchem wojny objechał pół Europy, alarmując o zagrożeniu.

Rola odegrana w tamtym czasie w sposób oczywisty oznacza zagrożenie dla premiera i jego bliskich. Podobnie jak wieloletnie kierowanie polskim rządem. Otrzymuje on też pogróżki, łącznie z życzeniami czy zapowiedziami śmierci.

Mimo to były szef rządu nie dostał zgody na dalszą ochronę Służby Ochrony Państwa. Jako byłemu premierowi przysługiwała mu trzymiesięczna ochrona, która zakończyła się 12 marca.

Powody? Spekuluje się o złośliwości szefa MSWiA Marcina Kierwińskiego. Ale sądzę, że powody są dużo głębsze. Obecna ekipa rządząca tak naprawdę przerywa ciągłość ładu konstytucyjnego, który brutalnie podeptany już nie istnieje, i *de facto* nie uznaje ciągłości państwa polskiego.

W tej logice, w istocie zewnętrznej wobec Polski, bezpieczeństwo byłego premiera i innych osób ważnych dla państwa polskiego, choć z innego obozu, nie ma żadnego znaczenia. To bardzo zła wiadomość. Właśnie przez takie działania w latach 2007–2010 możliwa była tragedia smoleńska i potem próby zabójstwa Jarosława Kaczyńskiego. Odmowa przedłużenia ochrony Morawieckiego to brak lojalności państwowej i igranie z możliwą tragedią.

PS Gdy Donald Tusk, jeszcze tylko lider opozycji, otrzymywał pogróżki, szef MSWiA Mariusz Kamiński przyznał mu ochronę.

Michał Karnowski

Autopromocja, 23/0224/F

eprasa.pl 0d93b09f36

SIECI spis treści

24 Od ewangelizacji do negocjacji
Grzegorz Górny

41 Bez kroplówki Ukraina nie przetrwa
Marek Budzisz

52 Gra o polską stawkę
Stanisław Żaryn

NA POCZĄTEK

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **MIĄŻSZ STANU**
Krzysztof Feusette

9 **TUSK UDOWADNIA, ŻE POWINNO RZĄDZIĆ PiS**
Dorota Łosiewicz

10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

12 **TROCHĘ SIĘ POKIEŁBASIŁO**
Jan Pietrzak

12 **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort

13 **DOPAŚĆ JAGIEŁŁĘ**
Bronisław Wildstein

14 **WALIZKA RAFAŁA TARNAWSKIEGO**
Michał Korsun

16 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

17 **ANALOGOWE WARTOŚCI**
Marta Kaczyńska-Zielińska

18 **NIE ODDAWAJMY SŁÓW**
Samuel Pereira

19 **HISTORIA ZATACZA KOŁO**
Lech Makowiecki

TEMAT TYGODNIA

20 **Z DANIELEM OBAJTKIEM**
rozmawia Michał Karnowski

KRAJ

24 **OD EWANGELIZACJI DO NEGOCJACJI**
Grzegorz Górny

26 **WOJNY PREZYDENCKIE**
Stanisław Janecki

29 **DUDA I TUSK U ZAGUBIONEGO BIDENA**
Jan Rokita

32 **Z MICHAŁEM OSTROWSKIM**
rozmawia Marek Pyza

36 **AGENCI GLOBALIZMU**
Maciej Walaszczyk

38 **JAK SIĘ OPRZEĆ AGENTURZE WPŁYWU?**
Jakub Augustyn Maciejewski

ŚWIAT

41 **BEZ KROPLÓWKI UKRAINA NIE PRZETRWA**
Marek Budzisz

44 **W CO GRA MACRON?**
Konrad Kołodziejski

47 **TOTALITARNY FEMINIZM**
Małgorzata Wołczyk

50 **ZIELONA WYSPA TRACI WIARĘ W POSTĘP**
Aleksandra Rybińska

OPINIE

52 **GRA O POLSKĄ STAWKĘ**
Stanisław Żaryn

55 **SCRUTON CZUŁ SIĘ TU JAK W DOMU**
Jacek Borzęcki

58 **KTO WYMYŚLIŁ ZIELONY ŁAD**
Dariusz Matuszak

HISTORIA

60 **Z BOGUSŁAWĄ I TADEUSZEM GORAMI**
rozmawia Goran Andrijanić

SIECI KULTURY

67 **OSCAROWE ZAGRANIA**
Jolanta Gajda-Zadworna

69 **ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba

70 **CHICHOT SZATANA**
Robert Tekieli

71 **WOJNA CYWILIZACJI**
Robert Tekieli

72 **KOKTAJL KULTURALNO-POLITYCZNY**
Maciej Walaszczyk

PODRÓŻE

74 **MOJE SZLAKI: MALARSTWO GUSTAVA KLIMTA**
Jolanta Gajda-Zadworna

KUCHNIA

75 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

77 **AWIZO WIOSENNE**
Leszek Długosz

78 **„POSTĘP" ODWRÓCONY**
Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Reklama | 30/0224/F

eprasa.pl 0d93b09f36

GOTOWI NA WSPANIAŁE...

WSPOMNIENIA-WESTCHNIENIA-WRAŻENIA?

COLUMBO, PON.-CZW. 20:00, WEEKENDY 14:50

AUSTRALIJSCY POSZUKIWACZE ZŁOTA, PON.-PIĄT. 14:00

77TV, PIĄTEK 22:00, PON.-PIĄT. 12:00

OGLĄDAJ NAS U OPERATORÓW

DVB-T	CANAL+	VECTRA	UPC	PLAY	INEA	TOYA	ORANGE
15	58	161	167/126	42	72/247	112	248

eprasa.pl 0d93b09f36

Sygnalista nadaje

„Krzysztof Ziemiec żegna się z TVP" – przeczytaliśmy w jednym z tabloidów. W pewnej gazecie rządowej ogłoszono, że „odchodzi z TVP". Nieźle powiedziane. Silni panowie na rozkaz podpułkownika nielegalnie przejęli telewizję publiczną, nowych redaktorów wwiozły do studiów policyjne suki, pracujących legalnie od lat dziennikarzy odcięto od systemu i nie wpuszczono do firmy, a oni piszą o tym, że „Ziemiec żegna się z TVP". A poważnie – jeśli w ten sposób potraktowano dziennikarza z tak dużym stażem (pracował w TVP od 2004 r.), to co zrobią zwykłym Polakom, gdy ci w końcu zorientują się, jak zostali oszukani?

Władze neoTVP zwolniły też Agnieszkę Romaszewską-Guzy, twórczynię i szefową Telewizji Biełsat. Dlaczego? Romaszewska napisała: „W zwolnieniu podano trzy powody, m.in. »brak należytej dbałości o dobre imię pracodawcy«. Wydaje mi się, że dobrze dbałam o pracodawcę, choć może to być różne rozumiane. Kolejny zarzut to »odmowa podjęcia działań zlecanych przez pracodawcę, mających na celu dostosowanie działania Biełsatu do posiadanych środków finansowych, pochodzących z budżetu państwa«. Nikt mi nie wydawał żadnych poleceń, bo pana likwidatora zobaczyłam po raz pierwszy dopiero wczoraj, jak mnie zwalniał. Nie mogłam więc wykonywać jego poleceń, bo mi ich nie wydawał". No właśnie, mogła się domyślić, że ma zamknąć stację. W końcu kolejny reset trzeba jakoś zacząć.

„Dobrowolny ZUS" rozpłynął się w powietrzu, nie będzie akademików za złotówkę, stawka VAT na żywność wraca do poziomu 5 proc., a benzyna jest bliżej 7 zł za litr niż obiecywanych 5,19 zł. W tej ostatniej sprawie kota ogonem odwrócił minister finansów Andrzej Domański. Orzekł, że wprawdzie nic się nie da zrobić w tej kwestii, ale polityka rządu będzie prowadzić do umacniania złotego, w związku z czym ceny benzyny będą niższe. Niestety to wcale tak prosto nie działa. A gdyby nawet złoty miał się aż tak umocnić, to padłaby duża część eksportu. Lepiej, by ci ludzie jednak nie dotykali dobrze ustawionej przez rządy PiS gospodarki.

Internet do upadłego kpi z typowanego na nowego komendanta głównego policji Michała Domaradzkiego, który od 2016 r. był policyjnym emerytem z dodatkiem za inwalidztwo. W tym roku komisja lekarska orzekła jednak, że jest zdrowy. Posypały się złośliwości z powodu nagłego uzdrowienia i przypomnienia, że elity latami szydziły z Polaków z biedy starających się o rentę inwalidzką. Za mocne słowa. Może należy na to spojrzeć jak na formę oporu przeciw pisowskiej władzy? Wtedy i medal by się należał.

Z życia wyższych sfer celebryckich: „Dla Moniki Richardson (51 l.) niejeden mężczyzna stracił głowę. Ale 47-letni Artur, z którym celebrytka jest ostatnio widywana, najwyraźniej zupełnie się zadurzył. Obyty w spędzaniu czasu za kratami, mając ciało pokryte dziarami, tym razem siedzieć nie chciał. Znany organom ścigania mężczyzna wpłacił kaucję, by uniknąć trzymiesięcznego aresztu w sprawie o przemyt papierosów" – donosi „Super Express". Za taki „high life" chyba serdecznie podziękujemy, inaczej to się kiedyś nazywało.

W „Rzeczpospolitej" naszą uwagę przykuła informacja o projekcie przedstawionym przez Koalicję Obywatelską. Zakłada on możliwość głosowania korespondencyjnego dla każdego we wszystkich wyborach poza samorządowymi. „Uważamy, że ze względu na zmieniający się tryb życia, takie ułatwienia są potrzebne" – zachwala poseł KO Mariusz Witczak. Ciekawe, a w pande-

eprasa.pl 0d93b09f36

mii nie było to szczególnie ważne ułatwienie? Dlaczego marnujemy pieniądze podatnika na komisję śledczą, która robi z igły widły w sprawie próby głosowania korespondencyjnego?

W tej ciemnej epoce triumfuje były marszałek Senatu ***Tomasz Grodzki***. Prokuratura Regionalna w Szczecinie wycofała bowiem wniosek o uchylenie immunitetu obecnemu senatorowi KO. Chodzi o śledztwo dotyczące korupcji w Fundacji Pomocy Transplantologii. Decyzję podjęło nowe kierownictwo szczecińskiej prokuratury. „Prokuratura mafijna została zastąpiona prokuraturą niezależną" – skomentował radośnie Grodzki. Powieka mu nie drgnęła także, gdy zapewnił, że „nigdy nie wziął łapówki". Może mu je wpychano? I gdyby tak wpychających zamknąć w więzieniu? Każdy by wtedy zrozumiał, że panom świata III RP wolno absolutnie wszystko i nigdy im nie spadnie włos z głowy, nawet jak się ich złapie za rękę.

„Polityka tak wygląda. Niemcy pomogli Tuskowi zostać premierem w Polsce, a on wobec nich w zamian za to – ma zobowiązania. Zobowiązanie jest takie, że nie będzie szkodził w ich interesach, a najbardziej możemy Niemcom zaszkodzić w interesach, jeżeli będziemy rozbudowywali handel na Odrze, zbudujemy CPK i atom" – stwierdził europoseł Patryk Jaki na łamach jednego z mediów Agory. Z pomocą Tuskowi pospieszył prowadzący, przywołując słowa premiera o tym, że żadna złotówka nie będzie wyrzucona w błoto. I tu się zgadzamy, bo przecież chodzi o to, by żadnej złotówki na inwestycje nie było. Wszystko, co trzeba elicie III RP, jest już przecież w Berlinie.

MSZ przekazało, że szef resortu ***Radosław Sikorski*** „podjął decyzję o zakończeniu misji przez ponad 50 ambasadorów" oraz o wycofaniu kilkunastu kandydatur zgłoszonych do akceptacji przez poprzednie kierownictwo resortu. Kłopot w tym, że pan Sikorski nie ma prawa podejmowania takich decyzji. Jak podkreślił na antenie telewizji wPolsce.pl poseł PiS i były minister spraw zagranicznych Szymon Szynkowski vel Sęk, „ambasadorowie nie reprezentują zagranicą tego czy innego premiera, ale reprezentują Polskę" i dlatego „przy ich powoływaniu jest konieczna akceptacja prezydenta i premiera". Podobnie z odwołaniem. Kolejny dowód na to, że w Polsce zmienił się ustrój. Ten zwycięzca uznał, iż weźmie wszystko, bo ma takie prawo. Każdy kolejny uzna tak jeszcze bardziej.

Minister sprawiedliwości ***Adam Bodnar*** wręczył prof. Wojciechowi Sadurskiemu

odznaczenie za „zasługi na rzecz umacniania demokratycznego państwa prawnego". Zostawmy na boku język używany przez tę osobistość w życiu publicznym, przez wielu uznawany za hejterski. Przypomniano bowiem, że trzy miesiące temu Sadurski wzywał nowy rząd do łamania prawa i konstytucji, żeby wstawić swoich ludzi do kluczowych instytucji w Polsce. „Moim zdaniem – i tutaj jestem w sporze z dużą częścią demokratycznych prawników polskich, którzy uważają: wszystko absolutnie zgodnie z literą konstytucji. Wydaje mi się, że w tej chwili działanie absolutnie w rękawiczkach i nieprzekraczanie litery i przepisu konstytucji prowadzi do tragedii" – stwierdził. My się nie dziwimy. Jaki minister, tacy odznaczeni. Niby za co mają dawać medale w czasach bezprawia, jak nie za pochwały tegoż?

„Tworzenie Kościoła synodalnego, wyzwania społeczne związane z rodziną i młodzieżą, nauczanie katechezy oraz relacje Kościoła z państwem" – m.in. te wyzwania wymienił wybrany dziś nowy przewodniczący Konferencji Episkopatu Polski abp Tadeusz Wojda. „Zawsze staram się słuchać, współpracować i budować mosty porozumienia" – dodał. Wybór dokonany w zgodzie biskupów, przemyślany. Konieczna była więc natychmiastowa kontra lewicy. Pomógł niezawodny w tej roli Tomasz Terlikowski. „Jeśli biskupi chcieli uświadomić, że hierarchia w naszym kraju nie jest zdolna do jakiejkolwiek zmiany, to odnieśli sukces. Wybór [...] jest zdecydowanym krokiem w kierunku przepaści" – napisał. Znani nam eksperci wskazują, że jest tylko jeden sposób na zadowolenie Terlikowskiego w kwestii Episkopatu – wybrać jego przewodniczącym. Odpowiednią „skromność" nasz kościelny komsomolec już posiadł.

„Otrzymuję listy od rodziców, których dzieci właśnie rozpoczęły służbę – w koszarach ze zniszczonymi pokojami, pleśnią pod prysznicami i zatkanymi toaletami" – podaje w najnowszym raporcie Eva Högl, parlamentarna pełnomocnik ds. Bundeswehry. Wnioski są druzgocące. Wynika z niego, że w niemieckiej armii brakuje wszystkiego: sprzętu, broni, a także ludzi. W czasie prezentacji raportu Hoegl wprost stwierdziła, że „Bundeswehra starzeje się i kurczy". Na koniec 2023 r. w niemieckim wojsku służyło nieco ponad 181,5 tys. żołnierzy – o 1537 mniej niż w 2022 r. Do armii wpływa mniej nowych zgłoszeń, a wskaźnik rezygnacji wśród rekrutów utrzymuje się na wysokim poziomie. Ponad 20 tys. stanowisk jest obecnie nieobsadzonych. Ktoś chciałby jeszcze opierać bezpieczeństwo Polski na europejskiej armii?

Fot. Andrzej Wiktor x3, Julita Szewczyk

eprasa.pl 0d93b09f36

Miąższ stanu

KRZYSZTOF FEUSETTE

– Jes, jes, ofkors. Maj namen ist...
– Maj nejm...
– Majn nejm ist...
– Is!
– Maj nejm ist is?
– Nie. Maj nejm is Donald.
– Jes, jes. Maj name is Donald. Maj femili is... No, podpowiedz...
– Tusk.
– Ale femili? Małgorzata, Kasia, Józef, to znaczy Michał...
– Dobra, zróbmy próbę. Ja jestem Bajden, a pan premier jest prajm minister, okey?
– A co to jest? Przewodniczący?
– Premier, panie premierze.
– Okey, ajm ander stend ju. Aż za good. Jestem redi. Ar ju redi?
– Jes, oskford, to znaczy ofkors. A więc może tak: „Heloł, maj nejm is Dżo, Dżo Bajden. End ju, mister Donald?
– Jes, jes, ofkors...
– Co, k...a, ofkors?
– Że Donald. I że on jest Dżo, a ja nie. Ja jestem przez „Do".
– Czyli musimy włączyć plan B. W sensie „Bi", ale nie w takim sensie.
– Jes, jes. Wiesz co, Radku? Trochę żałuję, że nie wziąłem Trzaskowskiego. Ty się zupełnie nie nadajesz na edukatora, nie masz cierpliwości. Czy to w prawyborach, czy kontraktach z Arabami. Mam lecieć do Ameryki na wariata? Po co?

Budka: Bo pan przewodniczący, premier rady ministrów, nie ma jeszcze zdjęcia z panem Bajdenem. A Trzaskowski ma. W kontekście kampanii prezydenckiej to może mieć znaczenie. U nas Donald i w Stanach Donald, tutaj nazwisko na „T" i tam nazwisko na „T". Ale zdjęcia z Bajdenem nie ma. Za to są, jak pan premier mierzy z paluszków w kształcie pistolecika w plecy pana Trumpa.

Tusk: Prezydenta Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej?

Sikorski: Nie mówi się tak.

Tusk: Dlaczego?

Sikorski: Dlatego, że jak Budka tak powiedział, to go zniszczono medialnie. Że niby są albo Stany Zjednoczone, albo Stany Zjednoczone Ameryki, ale nie ma Ameryki Północnej.

Tusk: Jak to nie ma? To gdzie jest Kanada?

Sikorski: Nad Stanami. Najlepiej mówić po prostu Juesej. Jak Jutub.

Tusk: Wystarczy. Nie rżnijcie tu Amerykanina, bo to jest jednak inna kultura.

Sikorski: Jes, jes, ofkors. To znaczy trochę elityl. Ale przecież pan premier uczył się w Brukseli...

Tusk: Oj, tam, uczył. Junckerowi bez przerwy marynarki spadały, to kiedy ja miałem zadania odrabiać? Tyle żeby chociaż to senkju ogarnąć. Właśnie, à propos, a to już było po francusku, ciemniaku, tak jak masz randewu, deżawi albo tetatet, widzisz, jednak po francusku szybciej by poszło, bo już człowiek trochę akcent ogarnia. Może ty się jednak trochę ukryj w tych Stanach. Jak oni sobie przypomną, że „Thank You, USA" po wybuchu w Nord Stream 2 pisałeś i że oni sami to uznali za „pochodną rosyjskiej dezinformacji", to lepiej, żeby cię na zdjęciach nie było. A jeszcze cię skojarzą, jak Ławrowowi cygara ciągnąłeś i leżysz na masce z rękami do tyłu. Wtedy to nawet ja już cię nie będę mógł na wójta Chobielina w w wyborach wystawić. Nie, no to jest jakaś udręka, że ja tam będę musiał siedzieć w tym Białym Domu tylko po to, żeby sobie zdjęcie zrobić. Będę za nimi łazić jak jakiś kamerdyner. Podobno Bajden chce mnie zapytać, czy słyszałem o Ukrainie, bo podobno nie wychwycili w kampanii ani jednej mojej wypowiedzi o wojnie z Putinem.

Sikorski: Bo pan premier nie mógł. Albo „PiS to drożyzna", albo „Wojna na Ukrainie i jej konsekwencje".

Tusk: Jak ten Duda może proponować coś takiego, jak 3 proc. PKB na obronność, jak większość nawet obowiązkowych 2 proc. nie płaci?

Sikorski: A my ile płacimy?

Tusk: Teraz to i cztery. Ale kiedyś tyle, co Niemcy, półtora.

Sikorski: Za pierwszego pana premiera?

Tusk: Czy o tym mamy teraz rozmawiać?

Sikorski: A jak zapytają, dlaczego pan premier w obliczu zagrożenia rosyjskiego mianował ministrem obrony psychiatrę Klicha?

Tusk: Bo jeśli polskość to nienormalność, to ja jestem Polak do szpiku kości. O nic nie będą pytać, to nie jest Rosja.

Sikorski: W każdym razie jakby co, to ja jestem.

Tusk: W jakim sensie?

Sikorski: Tłumacza jego ekscelencji.

Tusk: Nie przesadzajcie.

Sikorski: Mówiłem o Bajdenie.

Tusk: A o co on mnie może zapytać?

Sikorski: No, np. od kiedy pan premier wie o wojnie. Czy CPK nie powinien powstać jak najszybciej, zgodnie z sugestiami NATO. Co z elektrownią atomową.

Tusk: Dobra, będziesz gadał. Co chcesz. Tylko nie jak do Ukraińców, że ich zastrzelą, jak nie podpiszą. W ogóle staraj się oszczędzać podczas tej delegacji. Już się jeden ważny chwiał nad grobami.

Sikorski: To my się na cmentarzu spotykamy? Jak z tym Sobiesiakiem od afery hazardowej?

Tusk: Dobra, cicho, bo idzie! Kończ gadać i tłumacz. Co on do Dudy gada? Pilnujesz?

Sikorski: Oczywiście. Z ruch warg sekretarki asystenta prawej ręki Bajdena odczytuję, że się śmieją. Duda coś mówi o gościu, co się przypałętał do niego... jak rzep do ogona... chyba psiego... Nie, ja tego nie powiem. To znaczy, nie wszystko rozumiem.

Tusk: A Joe co?

Sikorski: Sekundę, bo o włosach rozmawiają... Aha. Już wiem.

Tusk: Uff! Czyli o Trumpa chodzi! A ja tak się bałem, że mi ten reset z Putinem zaczną wyciągać. A wtedy to na pewno kolacji nie podadzą i będziemy do „Makdonalda" dymać.

Sikorski: Nomen omen.

eprasa.pl 0d93b09f36

Tusk udowadnia, że powinno rządzić PiS

Wyborcom, którzy nie popierają partii rządzącej koalicji, pozostaje kupić popcorn i ze spokojem obserwować wymianę ich wzajemnych ciosów

„Taktyczne głosowanie części zwolenników Koalicji Obywatelskiej na Trzecią Drogę pozwoliło nam odsunąć PiS od władzy. W tych wyborach jedynym kryterium będą nasze własne przekonania" – napisał Donald Tusk na platformie X (d. Twitter). Komunikat ten trudno zinterpretować inaczej niż jako próbę weryfikacji realnego społecznego poparcia dla koalicji PSL-Polska 2050. Wynik wyborczy Trzeciej Drogi był bowiem znacznie lepszy, niż przewidywały sondaże, co osłabiło Lewicę i Koalicję Obywatelską.

Na te słowa błyskawicznie odpowiedział rotacyjny marszałek Sejmu Szymon Hołownia: „Mieliśmy pokonać PiS raz na zawsze, nie na 100 dni. Polacy chcą od rządu efektów: reformy szpitali, lepszej szkoły i prostych podatków. To cel zapisany w 12 gwarancjach Trzeciej Drogi i Polski 2050. Panie Premierze, dość kłótni – do przodu" – napisał Hołownia na X, wykorzystując swoje wyborcze hasło, które zmieniło adresata, bo wcześniej była nim Zjednoczona Prawica.

Wpis premiera powtórzył Robert Biedroń, który „Koalicję Obywatelską" zamienił na „Lewicę". Kilka dni później w programie Onet Rano polityk przyznał, że żałuje namawiania znajomych do głosowania na Trzecią Drogę. Nie wiem, czy sam współprzewodniczący Nowej Lewicy namawiał kogoś osobiście, ale zrobił to m.in. Aleksander Kwaśniewski, który straszył (oczywiście niejedyny) trzecią kadencją PiS, gdyby Trzecia Droga spadła pod próg wyborczy, co jej realnie groziło. Swoje wyznanie o żałowaniu Biedroń poczynił zaś po tym, gdy szefowa parlamentarnego klubu Nowej Lewicy Anna Maria Żukowska kazała Szymonowi Hołowni wypier..., a to z kolei było skutkiem odsuwania w czasie przez marszałka Sejmu parlamentarnej debaty nad projektami dotyczącymi aborcji. Z kolei Lewica zaostrzyła kurs i narrację, gdy Donald Tusk postanowił zweryfikować w wyborach samorządowych poparcie dla lewicy, ogłaszając niespodziewanie, że nie będzie wspólnej listy KO i Nowej Lewicy, co wpędziło tę drugą formację w spore kłopoty.

Wynik partii Czarzastego i Biedronia w wyborach samorządowych może być słaby, bo z tak niskim poparciem ugrupowanie będzie miało problemy ze zdobyciem mandatów w sejmikach. Nieudane rozmowy Nowej Lewicy z Koalicją Obywatelską w sprawie wspólnego startu w wyborach samorządowych musiały być dla tej pierwszej zimnym prysznicem, z którego wynikało, że jak Tusk coś obiecuje, to wcale nie znaczy, że dotrzyma słowa. Zresztą od początku negocjacji koalicyjnych lewica była traktowana jak natrętna mucha i zbędny balast, a mocno rozpychała się Trzecia Droga. Już wtedy politycy NL wypominali politykom PSL i Polski 2050, że swój dobry wynik zawdzięczają mobilizacji i litości wyborców innych partii.

Słaby wynik lewicy w wyborach samorządowych może oznaczać nie tylko marginalizację w rządzie, lecz także kryzys, grożący nawet rozpadem partii. A na to gra premier. Zaostrzenie dyskusji w sprawie aborcji to próba odróżnienia się od koalicjantów i odebrania im wiarygodności w temacie praw kobiet. Po 15 października Tusk mówił, że wybory parlamentarne wygrały kobiety. Dlatego mimo niechęci do Nowej Lewicy musiał upomnieć także Trzecią Drogę, bowiem rozgrywką w sprawie aborcji Hołownia rozjuszył środowiska kobiece, które miotały przeciwko niemu pioruny na ulicy.

Wyborcom, którzy nie popierają rządzącej koalicji, pozostaje kupić popcorn, do czego zachęcał Hołownia, ze spokojem obserwować tę wymianę ciosów (trochę napompowaną, a trochę realną) i czekać, aż ktoś uderzy poniżej pasa, znokautuje przeciwnika-koalicjanta, a wtedy wszystko runie jak domek z kart. A grą w weryfikację poparcia jednych i drugich Tusk może niechcący udowodnić, że Prawo i Sprawiedliwość powinno rządzić trzecią kadencję. Bo jeśli wybory samorządowe potwierdzą sztucznie napompowane poparcie dla Trzeciej Drogi, która bez niego spadłaby pod próg, wówczas niezbędną do rządzenia większość miałoby PiS, które w ub.r. uzyskało największe poparcie wyborców.

Dorota Łosiewicz

Francja

Zachowaj czujność!

Lewicowo-liberalna większość we Francji domaga się kryminalizacji prywatnych rozmów. Zwykły żart opowiedziany w zamkniętym gronie może zostać zinterpretowany jako suwerenistyczny (antyunijny), rasistowski, homofobiczny, islamofobiczny, antysemicki lub chrystofobiczny. I zagrożony karą więzienia oraz grzywny.

To nowelizacja ustawy obowiązującej od 1994 r. Na początku marca projekt został jednogłośnie przyjęty w pierwszym czytaniu. Teraz zajmie się nim senat. Centrolewicowa większość domaga się w ustawie kar bezwzględnego więzienia. Za „niepubliczne" nawoływanie do dyskryminacji, nienawiści lub przemocy przewidziana jest również wyższa niż dotąd grzywna w wysokości 3750 euro (obecnie 1,5 tys. euro). Karane ma być także publiczne zaprzeczanie lub „skandaliczna trywializacja" zbrodni ludobójstwa. Chodzi tu przede wszystkim o Holokaust i wszystkie wypowiedzi wykraczające poza określony powszechnie „naukowy konsensus" dotyczący zbrodni przeciw ludzkości, niewoli, wyzysku oraz kolaboracji z wrogiem. Tu kara ma sięgać aż 45 tys. euro, a w przypadku osoby sprawującej funkcje publiczne 75 tys. euro. Dodatkowe konsekwencje to konfiskata broni, smartfona lub komputera, prace społeczne czy obowiązek ukończenia „kursu obywatelskiego" na koszt skazanego.

Pretekstem do zaostrzenia prawa jest m.in. przypadek Alaina Sorala, związanego z antysystemową prawicą pamflecisty i filmowca, który w 2019 r. został skazany na rok więzienia za negowanie Holokaustu. Chodziło o satyryczny rysunek będący trawestacją podobnego, ale bezkarnie umieszczonego na okładce „Charlie Hebdo", a wyśmiewającego ludobójstwo w Rwandzie. Z tego powodu Soral uważał, że stał się ofiarą podwójnych standardów.

Donosicielstwo było jednym z najgorszych przejawów totalitarnej rzeczywistości zarówno w obozie komunistycznym, jak i w III Rzeszy. Dziś staje się ono częścią rzeczywistości liberalnego Zachodu, co przejawia się wkroczeniem sfery publicznej do prywatnej. Być może ulubioną lekturą prezydenta Macrona jest „1984" Orwella. Bo nieuniknioną konsekwencją tych zmian musi być utworzenie policji myśli ścigającej obywateli za treść ich prywatnych rozmów.

Maciej Walaszczyk

Fot. Shutterstock x2

Haiti

Upadek państwa

Premier Haiti Ariel Henry, który przejął obowiązki głowy państwa w 2021 r. po zabójstwie prezydenta Jovenela Moïse, przebywał akurat w Kenii, gdy władza wymknęła mu się z rąk. Gangi, kontrolujące 80 proc. obszaru stolicy Port-au-Prince, postanowiły wykorzystać jego wyjazd z kraju i przypuściły szturm na dwa największe więzienia, z których uwolniono ponad 3 tys. przestępców.

Jednocześnie doszło do wielkiej fali grabieży, zamachów i zabójstw. Ofiar przemocy było tak dużo, że największy szpital w stolicy musiał odmówić przyjmowania rannych. Przestępcy zdobyli budynki rządowe, splądrowali banki i nieliczne czynne sklepy. Gangsterzy zablokowali też lotnisko i drogi do portu, aby uniemożliwić powrót Ariela Henry'ego do kraju. Co więcej, lider haitańskiego świata przestępczego Jimmy Chérizier, znany lepiej jako „Barbecue", wezwał premiera do dymisji, grożąc „wojną domową i ludobójstwem".

Na Haiti, które jest jednym z najbiedniejszych krajów na świecie, z rocznym budżetem na poziomie 2,2 mld dol., zamieszkałym przez 11,5 mln osób, państwo w praktyce przestało istnieć. Władza znajduje się w rękach zorganizowanej przestępczości, a kraj jest pogrążony w kryzysie i zwaśniony z innymi państwami regionu. Przedstawiciele państw karaibskich, w tym sąsiednia Dominikana, bezskutecznie domagały się od Ariela Henry'ego przeprowadzenia demokratycznych wyborów prezydenckich.

W związku z zamieszkami z Haiti jest ewakuowany zachodni personel dyplomatyczny i pracownicy organizacji pomocowych, a to oznacza brak międzynarodowego wsparcia. Zdaniem obserwatorów niezbędna będzie kolejna międzynarodowa misja stabilizacyjna, jednak problemem jest brak chętnych. Stany Zjednoczone, które wycofały swe poparcie dla Ariela Henry'ego i domagają się jego ustąpienia, zaoferowały „wsparcie logistyczne", ale odrzucają bezpośrednie zaangażowanie. Republikanie blokują środki na ewentualną misję wojskową, obawiając się ucieczki Haitańczyków, którzy mogliby zaostrzyć kryzys imigracyjny w USA.

Według ostatnich informacji krajem, który mógłby podjąć się tego rodzaju misji, jest Brazylia. Będzie jednak miała trudne zadanie, bo jak powiedział tygodnikowi „The Economist" jeden z kanadyjskich dyplomatów, na Haiti nie ma już czego stabilizować i trzeba myśleć o odbudowie zniszczonego kraju.

Marek Budzisz

Rosja

Komu samolot? Komu czołg?

Najlepszą reklamą przy sprzedaży broni jest jej chrzest bojowy. Najłatwiej bowiem znaleźć kupca na uzbrojenie, którego skuteczność została wcześniej przetestowana w akcji. Ta znana od dekad reguła nie ma jednak zastosowania w Rosji, która od wybuchu wojny na Ukrainie stopniowo traci swoje udziały w światowym rynku broni.

Jak wynika z najnowszych danych szwedzkiego instytutu badawczego SIPRI, w latach 2014–2018 rosyjski udział w światowym eksporcie broni wynosił 21 proc., a Rosja była drugim eksporterem uzbrojenia po Stanach Zjednoczonych. Jednak przez ostatnie cztery lata (2019–2023) ten udział zmalał do 11 proc., a Rosja spadła na trzecie miejsce, ustępując nie tylko Stanom Zjednoczonym, lecz także Francji. Eksperci SIPRI zauważają, że załamanie rosyjskiego eksportu broni rozpoczęło się jeszcze przed wybuchem wojny na Ukrainie, a później pogłębiło z powodu zachodnich sankcji, które utrudniły dostęp rosyjskiego przemysłu zbrojeniowego do wielu komponentów. Restrykcje powstrzymują też wiele krajów przed zakupami broni w Rosji. Według danych instytutu w 2019 r. Rosjanie sprzedali broń do 31 państw, a w 2023 r. ich liczba spadła do 12. Swoje robi też zwiększone zapotrzebowanie na sprzęt bojowy w samej Rosji.

Dobrym przykładem zmiany polityki mogą być Indie, które od kilkudziesięciu lat należały do największych odbiorców rosyjskiego (a wcześniej sowieckiego) uzbrojenia na świecie. Jeszcze w latach 2009–2013 import z Rosji stanowił 76 proc. całości dostaw zagranicznego uzbrojenia do Indii. Dziś ten udział skurczył się do zaledwie 36 proc. I choć Rosja nadal znajduje się na pierwszym miejscu na liście dostawców broni do Indii, to jej udział w tutejszym rynku niemal zrównał się z Francją (33 proc.), która w zeszłym roku sprzedała Indiom 26 samolotów Rafale i trzy okręty podwodne. Podobnie jest w przypadku Indonezji oraz Egiptu.

Co ciekawe, mimo niespokojnej sytuacji na świecie w ciągu ostatnich czterech lat globalna wartość handlu bronią spadła o 3,3 proc. Wyjątkiem jest tutaj Europa, gdzie w związku z wojną na Ukrainie i wzrostem wydatków państw NATO na obronę obserwuje się zwiększony ruch na rynku broni. Korzystają na tym przede wszystkim Stany Zjednoczone: przez ostatnie pięć lat 55 proc. importu broni do Europy pochodziło zza Atlantyku w porównaniu z 35 proc. w analogicznym okresie wcześniejszym. Rośnie także pozycja Włoch i Korei Południowej, która w latach 2019–2023 weszła do pierwszej dziesiątki największych eksporterów broni na świecie. Z kolei Rosja nie tylko traci rynek, lecz także musi na nim rywalizować z Chinami, które w tym czasie wdrapały się na czwarte miejsce i oferują swoim klientom podobną, ale za to tańszą broń.

Konrad Kołodziejski

Fot. Fastailwind/Shutterstock.com

Od Puszkina do Putina

Erytrea

W stolicy Erytrei Asmarze odsłonięto pomnik Aleksandra Puszkina [na zdj.]. Twórca rzeźby uwypuklił afrykańskie rysy twarzy romantycznego poety. W sumie nic w tym dziwnego: pradziadek rosyjskiego wieszcza narodowego Abram Hannibal był bowiem czarnoskórym niewolnikiem, urodzonym najprawdopodobniej na terenie dzisiejszego Kamerunu lub Etiopii.

W 1704 r. został wykupiony przez ówczesnego ambasadora Rosji w Konstantynopolu i zabrany przez niego do Petersburga, gdzie car Piotr I uczynił egzotycznego przybysza swoim wiernym przybocznym. Afrykanin zrobił błyskotliwą karierę w imperium Romanowów i założył tam rodzinę, a najsłynniejszym z jego potomków okazał się właśnie Puszkin.

Inicjatorzy wzniesienia posągu kierowali się jednak innymi motywacjami niż tylko chęć upamiętnienia twórcy mającego swe korzenie na Czarnym Lądzie. Odsłonięcie pomnika to symboliczne przypieczętowanie sojuszu między Asmarą a Moskwą, która prowadzi coraz bardziej aktywną politykę w Afryce. Oprócz Białorusi i Korei Północnej Erytrea jest najwierniejszym sojusznikiem Rosji na forum ONZ i głosuje zawsze tak, jak życzy sobie Kreml. W marcu 2022 r. Erytrejczycy jako jedyni oprócz Rosjan sprzeciwili się powołaniu komisji do zbadania rosyjskich zbrodni na Ukrainie. Jeszcze wcześniej, bo w czerwcu 2014 r., Erytrea była pierwszym państwem, które wysłało swoich urzędników z oficjalną wizytą na okupowany przez Rosjan Krym.

Erytrejski dyktator, prezydent Isajas Afewerki, nie ukrywa fascynacji Putinem, podzielając także jego poglądy. Podczas ubiegłorocznej wizyty w Moskwie skrytykował Zachód za dążenie do dominacji i stworzenia jednobiegunowego porządku światowego. Od dawna rozwija się też współpraca wojskowa między obydwoma krajami. To właśnie w Erytrei bazy mają najemnicy Grupy Wagnera. Dla Rosji szczególnym atutem jest położenie tego afrykańskiego państwa: nad Morzem Czerwonym, obok szlaku wodnego biegnącego przez Kanał Sueski. Obecność w tym miejscu to kolejna możliwość wpływania na bieg wydarzeń.

Grzegorz Górny

Fot. Hailu Wudineh TSEGAYE/Shutterstock.com

eprasa.pl 0d93b09f36

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Trochę się pokiełbasiło

Jan Pietrzak

Mamy przedwiośnie... Może by sięgnąć do Żeromskiego? Przypomnieć sobie lekturę szkolną? Z tego, co pamiętam, raczej trudno będzie odnaleźć istotne analogie między klimatem tamtych czasów a rzeczywistością, w której dzisiejszemu Cezaremu Baryce przychodzi rozstrzygać dylematy egzystencjalne i polityczne. A przecież książka „Przedwiośnie" ukazała się tak niedawno, zaledwie 100 lat temu. To były pełne entuzjazmu pierwsze lata II Rzeczypospolitej.

Przypomnijmy, że przetrwała ona jedynie 20 lat. Opętane nienawiścią Rosja i Niemcy postanowiły dokonać czwartego rozbioru Polski, by raz na zawsze unicestwić „bękarta traktatu wersalskiego". Po kilkudziesięciu latach walki Polacy ponownie wyzwolili się spod okupacji szkopów i kacapów (jeśli oni mogą nas wyzywać od bękartów, my możemy przywołać ich historyczne miana).

Z początkiem lat 90. ub.w. powstała III Rzeczpospolita (ścisłe ustalenie, którego dnia to się stało, zostawmy na inną okazję). Mamy za sobą trzydzieści parę lat budowy nowej państwowości. I kiedy ludziom nastawionym optymistycznie, z gatunku mojej wspaniałej PT Publiczności, wydawało się, że sprawy idą w dobrym kierunku, uświadomiono nam boleśnie, że optymizm był nieuzasadniony. Że prawa, instytucje, sądy, inwestycje, szkoły... są bez sensu.

Uczestniczymy w jakiejś pomyłce historii. Konstytucja niewarta funta kłaków. Wolność słowa nie dla wszystkich, zgromadzenia rozpędzane, wolność gospodarowania limitowana. Wszystko się pokiełbasiło. Jedno wielkie *qui pro quo* – tytuł dobry dla kabaretu, lecz nie dla państwa. Prowokatorzy udają policjantów. Bezprawie nazywa się praworządnością. Czy jesteśmy jeszcze suwerennym państwem, czy prowincją Eurokołchozu, jak elegancko określa to monstrum poseł Braun? Np. z jakiego powodu dzieci nie można uczyć polskiej historii?

Prezydent z premierem odwiedzili właśnie Waszyngton. Podobno ustalali z prezydentem Bidenem strategię postępowania z ministrą edukacji Nowacką, by w podręcznikach mogły się ukazać wzmianki o amerykańskich generałach Kościuszce i Pułaskim. Ciekawe, czy się uda?

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Słowo o korekcie

Dominik Zdort

Likwidacja korekty w pewnej wpływowej gazecie odbiła się echem, ale tylko w środowisku medialnym. A powinna wzbudzić powszechny niepokój. Walka wydawców z korektą trwa od wielu lat, a właściwie od czasu, kiedy właścicielami gazet stali się sprzedawcy mydła i powidła. Oni kupują gazety nie po to, aby na nich zarabiać, bo w Europie nie da się już tego zrobić, ale nabywają swego rodzaju szlachectwo. Szemrani giełdowi macherzy czy deweloperzy zdobywają w ten sposób dostęp do salonów, na które w innym przypadku nigdy by ich nie wpuszczono. A jednocześnie w ogóle nie rozumieją, czym są gazety i realizują koncepty, które przyspieszają ich śmierć.

Pamiętam sytuację, gdy barbarzyński wydawca zażądał zwolnienia całej korekty, a kiedy wywołało to opór kierownictwa redakcji, uparł się, żeby przynajmniej zmniejszyć liczbę korektorek (tym zawodem parają się w większości kobiety), zaś tym, które zostaną, pogorszyć warunki zatrudnienia. I postawił na swoim. W dniu, w którym odbywały się zwolnienia i zmiany umów, zorganizowano akcję jak z filmu sensacyjnego – pod budynkiem redakcji stanął samochód, w którym w pogotowiu oczekiwała rezerwowa załoga łamistrajków, gdyby dotychczasowa ekipa, zredukowana i upokorzona nowymi warunkami, odmówiła pracy.

Sytuacja we wspomnianym na początku piśmie jest absurdalna. Firma wydająca gazetę była tworzona po to, aby dziennik miał finansową niezależność i mógł bezpiecznie lansować swoją ideologię. Z czasem spółka trafiła w ręce menedżerów, którzy w ogóle nie rozumieją dziennikarstwa, ale przede wszystkim nie pojmują, jak ważne dla środowiska tego pisma jest lansowanie swojej, szkodliwej zresztą, doktryny.

Media mogą istnieć bez korekty, ale ucierpi na tym polska kultura. Język jest ważną częścią tożsamości narodowej i lekceważenie jego zasad to nie błąd – to zbrodnia. Sam kiedyś toczyłem boje z korektorkami o pojedyncze słówka, ale dziś mam świadomość, że żaden dziennikarz czy redaktor, nawet po kilku godzinach szkoleń, nie zastąpi doświadczonej korektorki. Ta praca to znacznie więcej niż wiedza, kiedy się pisze „ó", a kiedy „ż" – to trudna sztuka używania odpowiednich związków frazeologicznych, unikania kalk językowych, a czasem także wychwytywania nielogiczności, które umknęły autorom i redaktorom.

Dlatego jestem tak wdzięczny paniom korektorkom, które opiekowały się naszą pracą w „Rzeczpospolitej". Pani Grażyno, dziękuję!

eprasa.pl 0d93b09f36

BRONISŁAW WILDSTEIN

Dopaść Jagiełłę

Jednym z aktów niszczenia porządku prawnego RP przez koalicję 13 grudnia było odwołanie prokuratora generalnego, które demonstracyjnie łamało obowiązującą ustawę. W ślad za tym postępują kolejne naruszenia norm w odniesieniu do prokuratury. Wiąże się to z rozmontowywaniem wymiaru sprawiedliwości i w efekcie państwa, czego fatalne skutki są trudne do przeszacowania.

Te nieakceptowalne działania, które należy zestawiać z niewątpliwymi osiągnięciami prokuratury w trakcie rządów PiS, nie powinny nas jednak znieczulać na niektóre jej trudne do aprobaty, a nawet zrozumienia działania. Takim jest oskarżenie przeciwko byłemu prezesowi PKO BP i jednemu z najwybitniejszych polskich menedżerów, Zbigniewowi Jagielle.

Postawionych zostało mu siedem zarzutów. Miał przyznać siedmiu pracownikom banku „nieznajdujące uzasadnienia ekonomicznego ani prawnego odprawy i inne świadczenia pieniężne" – co w sumie miało kosztować PKO BP 3 246 073 zł.

Dla zwykłego obywatela to imponująca kwota, a więc i sprawa wydaje się poważna, ale im głębiej analizujemy jej kontekst i prokuratorskie oskarżenia, tym trudniej traktować ją serio. Jeden z podstawowych zarzutów polega na „zaniechaniu wyegzekwowania prawa do urlopu wypoczynkowego od siedmiu ustalonych pracowników Banku oraz własnego, zaległego urlopu wypoczynkowego w okresie poprzedzającym rozwiązanie umów o pracę".

Innymi słowy, prezes nie wysłał na urlop kilku podwładnych (i siebie), co przy zmianie umów zaowocowało potrzebą wypłacenia im ekwiwalentu pieniężnego.

Rozwiązanie takie aprobowane jest przez kodeks pracy. Prawo do odpoczynku jest oczywiste, ale czy oznacza jego obowiązek? W ogromnej i skomplikowanej organizacji największego banku w Polsce, w trakcie intensywnych przedsięwzięć wyłączanie z pracy kluczowych pracowników może wiązać się z poważnymi utrudnieniami funkcjonowania całego przedsiębiorstwa. Owszem, pracując, musieli oni otrzymać rekompensatę za urlop, ale być może ich nieobecność kosztowałby firmę zdecydowanie więcej?

PKO BP pod rządami Jagiełły rozkwitało. Wartość giełdowa banku w okresie jego kadencji (2009–2021) wzrosła o 54 proc., co znacznie przekraczało wyniki konkurencji.

Jako prezes doceniany był on na całym świecie. Brytyjski magazyn „Retail Banker International" uznał PKO BP za najlepszy bank w konkursie Liderów Świata Bankowości i Ubezpieczeń 2019 r.; w tym samym czasie ponownie wygrał on z 99 konkurentami na najlepiej ocenianą na świecie aplikację bankową, a także uhonorowany został po raz piąty tytułem „Bank of the Year in Poland", przyznawanym przez brytyjski miesięcznik „The Banker". To tylko przykłady.

Jagiełło cieszył się ogromnym uznaniem współpracowników. Zademonstrowało to m.in. ostentacyjne pożegnanie, które mu zgotowali – rzecz wyjątkowa w konformistycznym świecie banków, w którym pracownicy zwykle usiłują przypodobać się nowym władzom. Jagiełło stworzył w PKO BP wyjątkowo profesjonalną ekipę, której członkowie przechodzili często na ważne stanowiska państwowe. Miało to wpływ na dobre zarządzanie Polską za rządów PiS. Ludzie ci wraz ze swoim szefem kuszeni byli wyższymi zarobkami w sektorze prywatnym i uznać można, że pozostawali w PKO BP powodowani głównie szlachetną ambicją oraz interesem publicznym. Nie oznacza to, że nie mieli być wynagradzani za swoją pracę, choćby w pewnych proporcjach do rynkowych stawek. Biorąc pod uwagę, że ich praca zwiększyła wartość banku o kilkanaście miliardów złotych, sensowne jest pytanie: czy nie zasługiwała ona na premie stanowiące ułamek promila tych zysków?

Rynkowi profesjonaliści powszechnie uznają, że działanie Jagiełły były wzorowe i powinno być właściwie docenione. Okazuje się, że dziś jest on za nie ścigany przez prokuratorów.

Trzy lata temu, w momencie odwołania Jagiełły, napisałem tekst: „Jagiełło odchodzi, wątpliwości rosną". Przyczyną pozbycia się świetnego menedżera były bowiem intrygi partyjne i walka o znaczące pozycje. Niestety, zademonstrowało to mankamenty własności państwowej, w której często nie kompetencje, ale układy partyjne decydują o zajmowanych stanowiskach. Nie twierdzę, że zjawiska takie dziś, w dobie molochów korporacyjnych, nie funkcjonują także jako gra koterii w sektorze prywatnym. Niestety, przy państwowej własności, w której zysk jest tylko pochodną politycznych wpływów, w dużej mierze dominują.

Wygląda na to, że obecne oskarżenie Jagiełły to ciąg dalszy rozgrywek, które pozbawiły go władzy trzy lata temu. Czy nie czas na otrzeźwienie?

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 0d93b09f36

Walizka Rafała Tarnawskiego

rzeźbiarza, designera, fotografa

Moja podróż artystyczna zaczęła się od prób dostania się na Akademię Sztuk Pięknych w różnych miejscach Polski. Wprawdzie bez powodzenia w kraju, udało się za to w Szwecji. Ponieważ wcześnie zostałem ojcem i nie chciałem narażać rodziny na głodowanie, postanowiłem pójść w kierunku bezpieczniejszej dziedziny sztuki – reklamy. Po ukończeniu szkoły na wydziale Grafiki Użytkowo-Reklamowej rozpocząłem pracę w tej branży. Oczywiście równolegle robiłem zdjęcia, rysowałem i malowałem. Przez wiele lat byłem creative directorem, by w końcu założyć własną agencję reklamową. Gdy w latach 90. na polski rynek zaczęły wchodzić szwedzkie firmy, skorzystałem z mojego podwójnego obywatelstwa i otworzyłem w Warszawie agencję, która odniosła dużo sukcesów. Gdy rynek się nasycił, przeprowadziłem się do USA, na Florydę, gdzie pracowałem jako wolontariusz. Tam wpadłem na pomysł wykonania rzeźby przedstawiającej moją przyjaciółkę Justynę. Poza natchnieniem nie miałem jednak żadnej wiedzy warsztatowej, jak zabrać się za ten projekt. Wróciłem do Polski i poszedłem na Akademię jako wolny słuchacz. Wiedzę chłonąłem od wszystkich: od profesora, asystenta i studentów. W 2007 r. miałem pierwszą wystawę indywidualną i od tego czasu prezentowałem swoje prace 40 razy, m.in. w Polsce, Francji, Stanach Zjednoczonych, Szwecji, Niemczech, we Włoszech, a nawet na Tajwanie.

KORA
Małżonka Hadesa, władczyni świata podziemia, opiekunka dusz zmarłych. Greccy bogowie nigdy nas nie opuścili.

E-Blue
A właściwie niebieska Elżbieta.

THEA
W mitologii greckiej tytanida, bogini wzroku.

eprasa.pl 0d93b09f36

PERŁY
Dodaję je do moich rzeźb dla podkreślenia kobiecości, a także dla kontrastu. Perły na surowym materiale implementują energię, przenoszą w trochę inny wymiar.

WOSK W SPREJU
Często stosowany przez rzeźbiarzy do różnych celów: przy odlewach, do zabezpieczania rzeźb, by utrzymać kolory, zabezpieczyć przed uszkodzeniem.

WHITE PEARL
Jej twarz, otoczoną perłami wpiętymi we włosy, zobaczyłem, siedząc w restauracji we Włoszech

CYRKIEL KABŁĄKOWY
Służy do mierzenia proporcji. Czasami trzeba sprawdzić, czy ludzkie oko się nie myli, czy to, co powstaje, odpowiada rzeczywistości. Cyrkiel pozwala przenosić wymiary, np. z modelki na rzeźbę.

MŁOTEK I DŁUTA
Praktyczne narzędzia, gdy brakuje już siły w rękach. Pomagają łatwiej zapanować nad materiałem.

SZTABKA ZŁOTA
Nie wszystko złoto, co się świeci. Wartość sztuki nie leży w pieniądzach czy złocie, lecz w emocjach, w których pośredniczy i w tym co może dać człowiekowi. Gdyby nie sztuka, cywilizacje może by nie powstały.

GUMOWE PĘDZLE
Ponieważ ludzkie ciało jest bardzo delikatne i gładkie, gdy chcę oddać subtelności skóry, posługuję się tymi pędzlami. Dzięki nim uzyskuję najciekawszy efekt.

SZNURKI
Towarzyszą mi od momentu, gdy zająłem się fotografią. W moich pracach sznurki stosuję jako przenośnię skomplikowanego wnętrza człowieka – nie tylko anatomicznie, lecz także komunikacyjnie, łącząc nas ze światem zewnętrznym. To symbol pozornego chaosu, kryjącego się pod powłoką piękna.

KSIĄŻKA ANATOMICZNA
Pomoc praktyczna. Rzeźbiarz powinien wiedzieć, co jest pod skórą, żeby móc wyrazić, co jest na zewnątrz, nie przekłamując. Profesjonalni rzeźbiarze mają za sobą lekcje anatomii, na których szczegółowo poznali budowę ludzkiego ciała.

KORONKA
Synonim delikatności. Zawsze fascynowała mnie dawna moda kobiet, ich woalki, koronki. Stwarzanie tajemniczości tak subtelnymi i prostymi środkami.

PASTELE
Lubię je za delikatność. Dodają kolorytu niektórym moim pracom.

Wysłuchał i zapisał
Michał Korsun

Fot. Michał Korsun, Rafał Tarnawski, materiały promocyjne Pentel

eprasa.pl 0d93b09f36

OGNIEM NA WPROST

Wracamy do średniowiecza!

Andrzej Rafał Potocki

Niestety Ojciec Święty znowu nie popisał się znajomością realiów polityki zagranicznej. Przytoczę, bo warto, i niech każdy, kto to przeczyta, zastanowi się nad kondycją Franciszka. Oto słowa, które wypowiedział: „To tylko interpretacja, ale myślę, że silniejszy jest ten, kto widzi sytuację, kto myśli o ludziach, kto ma odwagę białej flagi, aby negocjować. Dzisiaj można negocjować przy pomocy potęg międzynarodowych. Słowo »negocjować« jest odważne. Kiedy widzisz, że jesteś pokonany, że sprawy nie układają się dobrze, musisz mieć odwagę negocjować. Wstydzisz się, ale iloma zabitymi to się skończy? Negocjuj zawczasu, poszukaj jakiegoś kraju do mediacji. Dziś na przykład wielu chce mediować w wojnie na Ukrainie. Turcja to zaproponowała. I inni. Nie wstydźcie się negocjować, zanim będzie gorzej". Po pierwsze, Ukrainie daleko do przegranej, a po drugie, od kiedy to my, katolicy, popieramy zło przez zaniechanie? Negocjacje prowadzi się po to, żeby zaprowadzić pokój. A tu już Władimir P. szykuje nową wojnę, tym razem z NATO, jak tylko będzie miał spokój na Ukrainie. Odwagą jest przeciwstawianie się złu, tym bardziej z narażeniem życia, a nie schlebianie imperialnym zachciankom Kremla za cenę pozornego spokoju. Niestety. „Mądrości" Bergoglia to słowa, które mógł wypowiedzieć wikary z wioski gdzieś w argentyńskiej pampie, a nie głowa Kościoła katolickiego.

Tymczasem polskie czołgi wjechały na teren Federacji Moskiewskiej. To nasze PT-91 Twardy sforsowały granicę, obsługiwane przez żołnierzy Legionu Wolności Rosji, Rosyjskiego Korpusu Ochotniczego oraz Batalionu Syberyjskiego. Ten ostatni właśnie debiutuje na terenie Moskowii. „Zbrodniczego dyktatorskiego reżimu nie da się obalić pokojowo. Konieczna jest walka z bronią w ręku. Dziś w nocy zaczynamy spełniać naszą obietnicę" – mówi żołnierz na nagraniu mającym być apelem Batalionu Syberyjskiego. Jako Polska przekazaliśmy Kijowowi jakieś 30–60 egzemplarzy czołgów PT-91. Pierwotnie trafiły one do 22. Brygady Zmechanizowanej, odpowiedzialnej za obronę Frontu Zaporoskiego, teraz jednak najwyraźniej skierowano je na inne odcinki. Eksperci portalu Defence 24 potwierdzają to, podając nagranie opublikowane na platformie X (d. Twitter), mające przedstawiać właśnie nasze maszyny. Zapytany o działania proukraińskich rusków szef ukraińskiego wywiadu wojskowego Kyryło Budanow odpowiedział, że nie wie, co oni robią, bo nie są częścią Sił Zbrojnych Ukrainy, a jako obywatele Federacji Rosyjskiej mają prawo przebywać na jej terytorium. A poza tym takich Moskali można kupić w każdym sklepie z Moskalami. Współautor tej rubryki, człowiek o pseudonimie „Skipper", oraz ja do końca im nie wierzymy, ale im bardziej Rosja pogrąża się w odmęty wojny domowej, tym dla świata lepiej.

Siły ukraińskie przeprowadziły serię zmasowanych i skutecznych uderzeń dronowych (i nie tylko) na infrastrukturę Kacapów. Za pomocą EID, czyli improwizowanych ładunków wybuchowych, Ukraińcy uszkodzili most kolejowy koło Samary, którym jest transportowany sprzęt i amunicja z Dalekiego Wschodu. Drony wyłączyły światło Szojgu, to znaczy uszkodziły elektrociepłownię w Szagonar w Tuwie, skąd pochodzi moskiewski minister resortu napadania na kogo się da. Przez trzy dni przy temperaturze -20 st. Celsjusza ciepło nie było dostarczane do mieszkań. Ludzi ewakuowano do obiektów, których nie dotknęła katastrofa. Ale od czego ma się w Moskwie ministra? Jeszcze tej samej nocy przybył sprzęt, który zastąpił uszkodzoną elektrociepłownię. Tego szczęścia nie mieli mieszkańcy rejonu moskiewskiego, którzy w styczniu musieli marznąć. Uszkodzony został wielki piec w zakładach metalurgicznych Sewerstal w Czerepowcu. Zaatakowano też zakład lotniczy w Taganrogu i coś wybuchło w rejonie Kurska. Poza tym spłonęła fabryka mebli pod Moskwą. Oczywiście od niedopałka papierosa... Nie wiadomo, co tam produkowano, ale zważywszy, że Moskale montują drony w piekarni, nic mnie nie zdziwi. Puszczono z dymem magazyn paliw koło Orła, a także południową elektrociepłownię w Petersburgu. A Watykan o pokoju...

Szwecja oficjalnie wstąpiła do NATO, co ostatecznie kończy polsko-szwedzkie konflikty i przywraca nas do stanu z czasów piastowskich (wracamy do średniowiecza!), kiedy byliśmy bliskimi sojusznikami. Warto przy tym zauważyć, że współcześnie Szwecja proponowała Polsce antyrosyjski sojusz po katastrofie smoleńskiej w 2010 r. A w XVIII w. próbowała nie dopuścić do rozbiorów i likwidacji Rzeczypospolitej, ale w obu przypadkach nie było zainteresowania w Polsce. Może teraz wreszcie się znajdzie.

Współpraca: „Skipper"

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 0d93b09f36

Analogowe wartości

Marta Kaczyńska-Zielińska

Parlament Europejski zatwierdził przyjęcie AI Act, czyli aktu o sztucznej inteligencji. Rozporządzenie ma objąć swoją mocą wszystkie systemy sztucznej inteligencji używane w UE, niezależnie od tego, gdzie zostały opracowane. Unijne przepisy stanowią pierwszą na świecie próbę kompleksowego uporządkowania wszelkich aspektów związanych z użytkowaniem SI. Co prawda w zeszłym roku Chiny i Stany Zjednoczone wprowadziły regulacje dotyczące sztucznej inteligencji, ale prawo unijne ma szerszy zakres zastosowania.

Wedle przyjętych przepisów systemy oparte na SI mają zostać skategoryzowane w kilku grupach. Pierwszą kategorią są systemy, których używanie zostanie zakazane ze względu na bazowanie na danych wrażliwych, do których należą dane biometryczne. Według aktu nielegalna będzie poznawczo-behawioralna manipulacja ludźmi, w szczególności profilowana pod kątem zainteresowania dzieci. Zakazane będzie wdrażanie identyfikacji biometrycznej i kategoryzowanie poszczególnych osób na podstawie ich zachowań, statusu społeczno-ekonomicznego lub cech osobistych. Za niezgodne z prawem uznano korzystanie z identyfikacji biometrycznej w czasie rzeczywistym i zdalnie. Skanowanie twarzy przez organy ścigania w miejscach publicznych przy użyciu systemów zdalnej „identyfikacji biometrycznej" opartych na sztucznej inteligencji będzie zabronione, z wyjątkiem postępowań związanych z najcięższymi przestępstwami.

W szkołach i miejscach pracy nie będzie można korzystać z urządzeń służących rozpoznawaniu emocji dzięki błyskawicznej analizie niemal niezauważalnych dla oka mikroekspresji, występujących w naszej mimice i zdradzających nasz prawdziwy stan psychiczny. Skanery emocji są używane zarówno w handlu, jak i np. na lotniskach czy stadionach.

Szczególny zestaw zasad został poświęcony modelom SI takim jak najnowszy ChatGPT-4 OpenAI oraz Gemini firmy Google, które według UE stwarzają „ryzyko systemowe". Zagrożenia te mogą obejmować spowodowanie poważnych wypadków, wykorzystanie do cyberataków lub propagowanie szkodliwych poglądów w internecie. Pytanie, jak będzie interpretowane pojęcie „szkodliwe poglądy" i czy wskazany zapis nie stanie się narzędziem ograniczania wolności słowa oraz usuwania treści niezgodnych np. z ideologią klimatyzmu.

Twórcy modeli sztucznej inteligencji ogólnego przeznaczenia – od europejskich start-upów po OpenAI i Google – będą musieli przedstawić szczegółowe podsumowanie tekstów, zdjęć, filmów i innych danych w internecie, wykorzystywanych do szkolenia systemów, a także przestrzegać unijnego prawa autorskiego. Wygenerowane przez sztuczną inteligencję fałszywe zdjęcia, nagrania wideo lub audio przedstawiające istniejących ludzi, miejsca lub wydarzenia muszą być oznaczone jako sztucznie zmanipulowane.

Zdaniem krytyków nowych przepisów zapisy aktu nie dadzą pewności prawa twórcom i podmiotom wdrażającym sztuczną inteligencję. Będą również generować wysokie koszty przestrzegania przepisów, szczególnie dla najmniejszych przedsiębiorstw i start-upów.

Ustawa o sztucznej inteligencji w wąskim zakresie skupia się na regulacji dużych modeli SI. Szybkie pojawienie się zdecentralizowanych ekosystemów sztucznej inteligencji, w których modele SI w coraz większym stopniu wchodzą w interakcję z uzupełniającymi i konkurencyjnymi platformami oraz oprogramowaniem za pośrednictwem aplikacji i wtyczek, oznacza, że ryzyka nie można oceniać poprzez skupienie się na jednym modelu, lecz trzeba uwzględniać cały system.

Błyskawicznie rozwijająca się technologia, a w szczególności sztuczna inteligencja, z pewnością wyprzedzi działania legislacyjne mające na celu zapobieganie jej nadużywaniu. Synergia dynamicznie ewoluującej SI z ideami transhumanizmu, sytuującymi technologię jako punkt odniesienia i odciągającymi człowieka od systemu wartości, który ukształtował i pozwolił się rozwinąć cywilizacji europejskiej, może spowodować chaos i ograniczać nas. Nie da się uregulować wszelkich aspektów użytkowania sztucznej inteligencji na zapas, zwłaszcza że nie znamy granic jej możliwości, ale pomocne by było kierowanie się poszanowaniem wolności i godności drugiego człowieka.

„Kto we mnie wierzy, choćby i umarł, będzie żył"

PANU MARCINOWI SŁAWECKIEMU

wyrazy głębokiego współczucia z powodu śmierci

OJCA

składa
Zbigniew Ziobro
Poseł na Sejm RP

13/0324/F

eprasa.pl 0d93b09f36

Nie oddawajmy słów

Samuel Pereira

Jak demokraci budują grunt pod niedemokratyczne działania? Przez lata – a dokładnie od końca 2015 r., gdy obecnie rządzący obóz stracił władzę – opozycja atakowała główne instytucje państwa za pomocą słów. Konkretne propagandowe hasła na stałe miały się przykleić do Trybunału Konstytucyjnego, Krajowej Rady Sądownictwa, Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji, Rady Mediów Narodowych, Telewizji Polskiej i prezydenta. „Trybunał Julii Przyłębskiej", „neoKRS", „sędziowie dublerzy", „długopis", „Adrian" czy „NBP Glapińskiego". Cel był prosty: podważyć zaufanie i szacunek do polskich instytucji, które nie były kontrolowane przez ten obóz polityczny.

Oczywiście z czasem sytuacja zaczęła eskalować i pojawiły się również takie hasła, jak „żołnierze Macierewicza" (Wojska Obrony Terytorialnej), „wojsko Błaszczaka" (polska armia) i „prokuratura Ziobry". Głównym obiektem ataku były jednak te instytucje konstytucyjne, które w przyszłości, przy przejęciu przez obóz antyPiS władzy ustawodawczej i wykonawczej, nie będą mogły szybko przejść w ich ręce. Planując ich wrogie przejęcie, łamanie przepisów ustaw i konstytucji, należało odpowiednio wcześnie rozkręcić złe emocje, żeby niewielu chciało bronić tych instytucji. To wszystko przez cały czas było polewane hasłami o wolności, prawie, konstytucji, demokracji i praworządności. Taka posypka słowna była konieczna, żeby po przejęciu władzy wszystkie bezprawne działania przedstawiać jako konieczne do „odzyskania demokracji".

Dlatego tak ważne jest nieoddawanie tych wszystkich słów, które określają stan demokratyczny w państwie, politykom, którzy chcą ich użyć do swoich brudnych interesów. Oczywiście nie można przy tym wpaść w śmieszność w stylu KOD, ale mieć ten język wbudowany w przekaz dotyczący spraw publicznych. Jest to konieczne szczególnie teraz, gdy obecna władza chce na wieki ustalić własną definicję demokracji i prawa, „tak jak go rozumieją". Prezydent? Niepotrzebny. Konstytucja? Phi. Wprowadzili „stan wyższej konieczności", czyli obsadzanie wszystkich instytucji swoimi i chcą go utrzymać na stałe.

Od niego wszystko się zaczyna

Z aktorką Małgorzatą Buczkowską-Szlenkier rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Dobrze się pani odnalazła w serialu „Matylda"?

Małgorzata Buczkowska-Szlenkier: Wreszcie doczekałam się dynamicznej kostiumowej roli. Zagrałam co prawda w „Koronie królów", ale to była inna epoka i bardziej posągowa postać. W „Matyldzie" stroje są niezwykle kobiece, eleganckie... choć niekoniecznie wygodne, szczególnie w 40-stopniowym upale. Nie dziwi, że w tamtych czasach kobiety skarżyły się na „globus", czyli migrenę i tak często mdlały. Noszenie gorsetu to niełatwe doświadczenie, ale korzystne dla stroju. W tworzeniu roli kostium jest dla mnie niezmiernie ważny. Od niego wszystko się zaczyna. Jest przepustką do wejścia w rolę. Tutaj bardzo pomagał, osadzał w epoce i jej realiach.

Jaka jest pani bohaterka?

Helena Różańska to matka, żona i właścicielka podupadłego majątku Brzezina. W scenariuszu jej postać wydawała się niezbyt przyjemna do grania, ale na planie, w konfrontacji z pozostałymi bohaterami, okazało się, że daje wiele możliwości aktorskich. Wspólnie z reżyserem staraliśmy się wydobyć jej wszystkie kolory. Mam nadzieję, że udało się pokazać motywy jej działania. To mądra i silna kobieta, w niełatwych czasach i okolicznościach próbuje utrzymać majątek, rodzinę. W małżeństwie to ona „nosi spodnie" i podejmuje trudne decyzje. Walczy o przetrwanie. Bardzo ważne jest dla niej spotkanie z tytułową Matyldą. Uczy się wielu rzeczy od tej młodej, ale niezależnej bohaterki.

Jakie są pani plany?

Wróciłam do pełnowymiarowych obowiązków mamy czwórki dzieci, w tym maleństwa. Dzięki temu doświadczeniu mogę powiedzieć, że doskonale rozumiem moją bohaterkę i to, co znaczy walczyć o duży dom [uśmiech]. Planów zawodowych jeszcze nie mogę zdradzić.

eprasa.pl 0d93b09f36

POWOLNE MEDIA WEDŁUG MICHAŁA KORSUNA

SIECI

ISSN 2544-2694

www.SIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 255 93 32, (22) 255 93 33; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, JAROMIR KWIATKOWSKI, JAKUB MACIEJEWSKI, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, ROBERT TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN, MAŁGORZATA WOŁCZYK, PIOTR ZAREMBA, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK), ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL, LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 14.00 – 16.00)
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.SIECIPRAWDY.PL
WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: A.WIKTOR, M. KORSUN, J.SZYMCZUK/KPRP, P. MOLECKI/EASTNEWS, W. STROZYK/REPORTER , MAT.PRASOWE, SHUTTERSTOCK x4

Historia zatacza koło

Pokłóciłem się kiedyś z pewnym generałem, poszło o „zwijanie" polskiej armii. Był to czas zwrotów do budżetu państwa miliardów złotych zaoszczędzonych przez MON na zakupie nowego uzbrojenia. Ja, zwykły rezerwista po SPR, wciąż dostrzegałem zagrożenie ze strony Rosji. On, renomowany generał, śmiał się z moich obaw. A było to już po katastrofie smoleńskiej, wojnie w Czeczenii i kijowskim Majdanie.

Gdy doszło do zmiany władzy w Polsce, silna armia stała się jednym z priorytetów nowego rządu. Tu też nie wszystko mi pasowało. Ze względu na znaczenie wschodniej flanki NATO mogliśmy zażądać od USA więcej sprzętu, upustów przy jego zakupie oraz inwestycji offsetowych. Uważałem, że Polska powinna negocjować z Amerykanami w sposób zdecydowany, a nie z pozycji „brzydkiej panny na wydaniu".

Samo uzbrojenie nikogo jeszcze nie obroniło (vide Afganistan 2021). Trzeba nam zmotywowanych i dobrze wyszkolonych żołnierzy. Gdzie tylko mogłem, postulowałem położenie nacisku na wychowanie patriotyczne (w edukacji, popkulturze itp.). Domagałem się wprowadzenia szkolenia wojskowego w liceach, technikach, na studiach. Gdy wybuchła wojna na Ukrainie, w Polsce nie przywrócono nawet obowiązkowej służby wojskowej! Za to wielu polityków (z każdej strony politycznego sporu) dziarsko potrząsało szabelką. Marszałek Hołownia wprost zadeklarował chęć wdeptania Putina w glebę (nie osobiście, lecz pantofelkami swej żony). A kraj żyje Zielonym Ładem, migrantami, masturbacją w przedszkolach i aborcją na życzenie.

Promując ojkofobię, nie skłonimy Polaków do obrony ojczyzny. Zagrożenie jest realne. Rosja przeznacza dziś 6 proc. PKB na zbrojenia, my niemal 4 proc., UE znacznie mniej. A zegar tyka! Musimy zbroić się na potęgę i nie dać się wmanewrować w tę wojnę zbyt szybko. Falstart grozi tym, że za chwilę w Brukseli pojawi się „polski rząd na uchodźstwie". A jeśli przedtem wstąpimy do strefy euro, złoto z NBP będzie tam jeszcze wcześniej.

Lech Makowiecki

eprasa.pl 0d93b09f36

Wytrzymam

Materiały i nagrania, które pojawiają się w mediach, są zmanipulowane. Cel jest prosty i bardzo prymitywny: dopaść i zniszczyć Obajtka za wszelką cenę. Trwa polityczna i medialna nagonka na mnie

Fot. Andrzej Wiktor

Michał Karnowski rozmawia z Danielem Obajtkiem, byłym prezesem ORLENU

Pięć tygodni temu odszedł pan z ORLENU, prosząc starą jeszcze Radę Nadzorczą o odwołanie z funkcji. Dlaczego nie czekał pan na miotłę Tuska?

Daniel Obajtek: W ten sposób dotrzymałem danego słowa, bo jeszcze przed wyborami mówiłem, że sam zrezygnuję, jeśli władzę przejmie ówczesna opozycja. Nie mogłem tego zrobić na przełomie roku, ponieważ był to czas podsumowania działań firmy, celów pracowników, więc odchodząc w tamtym czasie, zachowałbym się nieodpowiedzialnie wobec koncernu. Mogłem to zrobić na początku lutego. I zrobiłem. Będąc

eprasa.pl 0d93b09f36

prezesem kluczowej dla kraju spółki, jaką jest ORLEN, trzeba ściśle współpracować z rządem, musi być zaufanie i wzajemna komunikacja. Chodzi tu przecież o tak ważną sprawę, jak bezpieczeństwo energetyczne Polski. To, że moja wizja i wizja nowego rządu są całkowicie różne, było i jest oczywiste.

Na czym polega różnica?

Chciałbym powiedzieć coś sensownego, że mają jakiś inny strategiczny plan na spółkę, że chcą dokonać jakiejś korekty. Prawda jest jednak dużo bardziej przykra i brutalna: nie ma żadnej wizji, nikt się za bardzo nie przejmuje bezpieczeństwem energetycznym Polski, chodzi przede wszystkim o zniszczenie wszystkiego, co zrobiono za czasów Prawa i Sprawiedliwości. O zburzenie wszystkiego, co zostało zbudowane ciężką pracą, codziennym wysiłkiem i zaangażowaniem. Równocześnie cała machina państwa i mediów przychylnych nowej władzy jest skierowana przeciwko mnie. Chcą zniszczyć wizerunek tego, który dbał o bezpieczeństwo kraju, zszargać moje imię i mnie zohydzić. Dodatkowo trwają próby skłócenia mnie z osobami, które pełniły ważne funkcje w kraju, choćby z premierem Morawieckim, wicepremierem Sasinem.

Media sympatyzujące z nowym rządem przedstawiają to tak: czyścimy, ujawniamy, to normalne po zmianie władzy. Nie przekonuje to pana?

Niestety to nieprawda. Nie został przeprowadzony żaden profesjonalny audyt – oni wiedzą, że wykazałby on prawidłowość i słuszność naszych działań. Materiały i nagrania, które pojawiają się w mediach, są zmanipulowane. Cel jest prosty i bardzo prymitywny: dopaść i zniszczyć Obajtka za wszelką cenę. Trwa polityczna i medialna nagonka na mnie. To kara.

Za co?

Za to, że zbudowałem koncern, o którego powstaniu mówiono od 30 lat, który realnie wzmacnia bezpieczeństwo kraju, a skalą działalności zaczął dorównywać firmom najbardziej rozwiniętych państw Zachodu. Tam koncerny multienergetyczne powstały już dawno, są chronionymi dobrami narodowymi, tworzą bogactwo tamtych państw. Dzięki możliwościom, jakie powstały po przejęciu władzy przez Prawo i Sprawiedliwość, dzięki zaufaniu prezesa Jarosława Kaczyńskiego dokonaliśmy tego także w Polsce. Ale wielu tego nie chciało. Budując silny ORLEN, naszą dumę narodową, naruszyłem interesy wielu osób, którym nie zależy na bezpieczeństwie energetycznym Polski. Dziś dostały one możliwość zemsty.

Komentując pana odejście, premier Donald Tusk orzekł, iż „nie jest sztuką za pomocą politycznych decyzji i przy opiece rządu zbudować pseudopotęgę" i że to „nie ma nic wspólnego z realnym sukcesem gospodarczym". A ostatnio dodał: „Mimo ostrzeżeń kierowanych pod adresem członków rządu Mateusza Morawieckiego, jeśli chodzi o charakter, obsadę i działalność tej spółki, nie zdecydowano się na skuteczną interwencję". Machał też jakimiś rzekomo kompromitującymi pana dokumentami. Pański komentarz?

Nie wiemy, jakimi materiałami dysponuje premier i czy nie są one zmanipulowane. Prawdziwym skandalem jest to, skąd szef rządu otrzymał te dokumenty, bo mówimy przecież o spółce akcyjnej, mającej ścisłe regulacje w sprawie obrotu informacjami.

Ten konkretny miał dotyczyć szwajcarskiej spółki zajmującej się handlem produktami naftowymi. „Istnieją uzasadnione obawy, że w związku z działalnością szwajcarskiej spółki ORLENU, Polska będzie narażona na poważne kłopoty" – mówił Tusk.

To nieprawda, ale nie dziwię się, że mówi się w taki sposób. Za moich czasów skracaliśmy łańcuchy dostaw – by kupować jak najtaniej. Szwajcarska spółka została powołana właśnie po to. Nagonka na mnie i zniszczenie ORLENU mają umożliwić powrót mafii paliwowych i pośredników, którzy znowu będą żerowali na koncernie. Chodzi o przywrócenie wszystkich patologii, które z takim trudem zlikwidowaliśmy. Cysterny z lewym, nieopodatkowanym paliwem znowu mają tysiącami wjeżdżać do Polski, mafie VAT-owskie znowu mają hulać tu jak po dzikich polach, szemrani pośrednicy mają znowu tuczyć się na dostawach surowca i usług. Stary układ zaczyna wracać do ORLENU i państwa polskiego.

Co ma być potem? Jaki mają w pańskiej ocenie plan?

Jacyś macherzy polityczni uznali, że jak się ludziom zohydzi mnie, to zohydzi się im też silny ORLEN i całą koncepcję zapewnienia Polsce bezpieczeństwa oraz niezależności energetycznej, a także ekspansji firmy w regionie. Gdy to już zrobią, zyskają wolną rękę w działaniach prowadzących do rozczłonkowania ORLENU i sprzedaży jego części. Wszystko sprowadza się do zniszczenia koncernu. Do ORLENU bardzo szybko wracają dawne zwyczaje i ludzie, którzy byli odpowiedzialni m.in. za podpisywanie umów z Rosjanami na dostawy rosyjskiego gazu i ropy.

To szokujące tezy.

Niestety taka jest prawda. Jak inaczej odczytywać ataki na naszego partnera z Arabii Saudyjskiej, jedynego dostępnego dla nas w tej skali bezpiecznego dostawcę nierosyjskiego surowca? To jest chwianie bezpieczeństwem państwa.

Mam wrażenie, że mimo wszystko Polkom i Polakom nie udało się na razie wmówić, że budowa wielkiego ORLENU była jakimś skandalem. Odwrotnie: Polacy chcą kontynuacji tej ambitnej polityki w wymiarze gospodarczym, infrastrukturalnym, militarnym. Ale pojawiają się rzekome taśmy, nagrania.

Jestem bezradny wobec tych działań, tak jak bezradny byłby każdy człowiek, przeciwko któremu uruchomiono potężną machinę medialną. Do wszystkich publikacji, które pojawiły się w ostatnim czasie, trudno się nawet odnieść, bo to materiały zmanipulowane. Nie potwierdziło ich CBA.

eprasa.pl 0d93b09f36

Równie dobrze każdy dziennikarz mógłby napisać fałszywkę i twierdzić, że to prawdziwy materiał. Mogę tylko zaprzeczać, dementować, apelować o weryfikację źródeł. To czynię, także teraz na łamach „Sieci". Ale maszyna medialnej przemocy jedzie dalej, nie zatrzymuje się nawet na sekundę. Zniszczenie Obajtka jest ważniejsze niż elementarne zasady dziennikarskie i zwykła przyzwoitość.

Zapytam wprost: nagrania, którymi się epatuje opinię publiczną i które podobno mają się zaraz pojawić, są prawdziwe?

To kłamstwa. Publikuje się kłamliwe artykuły, wyciąga jakieś rzekomo operacyjne nagrania, rozmowy. Manipuluje się tymi wypowiedziami. Ktoś zleca te artykuły, cała akcja jest wyraźnie skoordynowana.

Onet opublikował pańską rzekomą rozmowę z dziennikarzem Piotrem Nisztorem. Pański komentarz?

Nielegalne nagrywanie prezesa największej spółki w Polsce i regionie w jego gabinecie jest patologią. Ale przekazywanie tych nagrań „dziennikarzom" to już skrajna patologia i zaprzeczenie wszelkich zasad funkcjonowania kraju, służb, instytucji. Przez ostatnie lata próbowano mnie zniszczyć, a teraz widać, jak wielka była tego skala. Tylko dlatego, że budowałem silną polską firmę. To potężny atak i kolejna próba zohydzenia mnie. Składam w tej sprawie zawiadomienie do prokuratury.

Wiemy, że atak na TVP koordynowała grupa Wejście. Tak działają. Grupa chcąca pana zniszczyć jest tylko krajowa?

W głównej części krajowa, ale nie wykluczam czynnika zewnętrznego. Ludzie, którzy za wszelką cenę chcą zniszczyć silny polski koncern multienergetyczny, są w Moskwie i Mińsku, to oczywiste. Ale istnieją takie siły również na Zachodzie, bo i tam rozwój Polski też nie wszystkim się podoba.

Czuje się pan bezpieczny?

Skala i siła ataku na mnie jest tak duża, że czuję się zagrożony. Świadomie, z użyciem potężnej machiny medialnej i całej siły państwa, próbuje się zniszczyć moje dobre imię. Wracają bardzo niebezpieczni ludzie, którzy nie cofną się przed niczym, by znowu dorwać się do miliardów, które wcześniej były w ich kieszeniach, a które dzięki działaniom rządów Prawa i Sprawiedliwości oraz mojej ekipy w ORLENIE popłynęły do koncernu i do budżetu państwa. Nie mam złudzeń, że wszystko to ma służyć temu, by mnie zniszczyć, zgnoić, na końcu zamknąć – w mediach podają już nawet, ile lat spędzę w więzieniu. Zutylizować i wymazać z ludzkiej pamięci.

> Budując silny ORLEN, naszą dumę narodową, naruszyłem interesy wielu osób, którym nie zależy na bezpieczeństwie energetycznym Polski. Dziś dostały one możliwość zemsty

Ze strony Donalda Tuska padł zarzut, że wynajął pan agencję detektywistyczną, by inwigilować polityków ówczesnej opozycji.

Zarzut padł, żadnego dowodu nie przedstawiono. Powiem jasno i dobitnie: prezes Daniel Obajtek nigdy nie zlecił żadnej inwigilacji, na nikogo nie nasyłał detektywów. Takie działanie jest niemożliwe w ORLENIE, który zatrudnia 66 tys. osób i ma bardzo ścisłe procedury dotyczące wydatków. Czegoś takiego nie zaakceptowałyby biura bezpieczeństwa, zakupów, prawne. To bzdura.

Ale agencja ochrony była zatrudniona?

Tak, zajmowała się moim bezpieczeństwem, gdy byłem poza Warszawą, w czasie, gdy spółka podejmowała inwestycje strategiczne dla kraju. Zdecydowała o tym Rada Nadzorcza, decyzja przeszła całą skomplikowaną procedurę, wymaganą w koncernie. Nie było to nic nadzwyczajnego. Prezes Jacek Krawiec również miał ochronę. Powtarzam: nigdy nie zlecałem żadnej inwigilacji. Oczywiście, biuro bezpieczeństwa analizowało działania podejmowane przez mafie VAT-owskie i siły zewnętrzne przeciwko koncernowi. To należy do jego obowiązków. Jeśli ktoś macha jedną kartką, to niech może pomacha wszystkimi w danej sprawie? Niech opowie całą historię. Podkreślam: nie zajmował się tym Daniel Obajtek, za kwestię współpracy z agencją ochrony odpowiedzialne było biuro bezpieczeństwa ORLENU, a decyzję o mojej ochronie podjęła Rada.

Będzie pan wytaczał procesy?

Na dziś musiałbym wytoczyć 200–300 spraw, wynająć trzy duże kancelarie prawne na 100 proc. ich mocy. Nie wykluczam takich działań, ale obecnie skala nagonki nakazuje mi przede wszystkim nazwać rzeczy po imieniu.

Jest pan inwigilowany?

W miejscach, w których kiedykolwiek przebywałem, dokonano kilkudziesięciu przeszukań i ta liczba cały czas rośne. Każdy może sobie wyobrazić, jakie to wywołuje emocje u moich bliskich i przyjaciół. Te działania nie mają żadnego uzasadnienia. Zwracam się więc do autorów tej nagonki: wszystkie dokumenty są w ORLENIE, nie musicie straszyć mnie i mojej rodziny. Na siłę chce się znaleźć na mnie haka. Nie ma niczego, więc zastrasza się ludzi, szantażuje, próbuje wymusić jakieś donosy.

Zastrasza?

Tak. Z pełną odpowiedzialnością mówią o prześladowaniach moich współpracowników, zresztą nie tylko ich. W siedzibie ORLENU panuje strach, przymusza się do odejścia

eprasa.pl 0d93b09f36

ludzi, świetnych fachowców, którzy pracowali tam 18–20 lat. Za nic! Za to tylko, że lojalnie pracowali dla firmy, budowali jej siłę, nie tylko za moich czasów. Do tego te kuriozalne wejścia do ORLENU służb, powoływanie zespołów prokuratorów i służb specjalnych.

Dlaczego kuriozalne?

Bo ORLEN na bieżąco współpracuje ze służbami. Niemal co czwarta osoba zatrudniona ma ich rekomendacje. Pytam zatem, czy po zmianie rządu zmieniliśmy służby specjalne? One na bieżąco wiedzą, co się dzieje w firmie. Były regularne spotkania, także z połączonymi zespołami wszystkich służb w Polsce, również z moim udziałem. Był regularny nadzór. Za podejmowanie decyzji nie był odpowiedzialny sam Daniel Obajtek, każdy proces nadzorowało wiele organów.

Fuzja z LOTOSEM i kolejne przyłączenia firm energetycznych do ORLENU obroniły się w działaniu?

Zdecydowanie tak. A jeśli ktoś mi nie wierzy, niech sprawdzi liczby, oceni międzynarodową pozycję ORLENU i ratingi, jakie uzyskuje. Ostatnio agencja Fitch utrzymała rating na poziomie BBB+ z perspektywą stabilną. Uzasadniła to właśnie korzyściami, które płyną z dywersyfikacji i zwiększenia skali działalności firmy.

Padają jednak groźby użycia w sprawie fuzji prokuratury przejętej przez rząd.

Jeżeli ktoś ma takie plany, niech zacznie od przesłuchania Komisji Europejskiej, która wyraziła zgodę na ten proces, dostrzegając wielkie korzyści dla stabilności energetycznej Polski i całego regionu. O tym się często zapomina – polski koncern dzięki uzyskanej skali stabilizuje w tym zakresie także sąsiednie państwa. Następnie należałoby przesłuchać 1 tys. osób, które uczestniczyły w tym procesie, potem Radę Nadzorczą, bardzo uważnie monitorującą cały proces. A dalej Radę Ministrów, służby specjalne.

Wszyscy dali zgodę?

Wszyscy byli informowani o procesie fuzji i jej warunkach, także tych wskazanych przez Brukselę. A na końcu należałoby oskarżyć także prywatnych współwłaścicieli LOTOSU i ORLENU, którzy to poparli, bo doskonale rozumieli konieczność takiego kroku. Boli, że obecnie rządzący nie rozumieją konsekwencji swoich słów i działań.

Jakie one mogą być?

Podważenie wiarygodności ORLENU jako partnera i ogólnie całej polskiej gospodarki. W ten proces byli zaangażowani poważni, doświadczeni ludzie i bardzo poważne, światowej skali firmy. Dla nich taka jatka, motywowana politycznie, jest czymś nie do przyjęcia. W przyszłości mogą uznać, że z koncernem z Polski nie da się robić poważnych interesów.

> W miejscach, w których kiedykolwiek przebywałem, dokonano kilkudziesięciu przeszukań i ta liczba cały czas rośne. Każdy może sobie wyobrazić, jakie to wywołuje emocje u moich bliskich i przyjaciół. Te działania nie mają żadnego uzasadnienia

Mam informacje, że niektóre fundusze już się zastanawiają, czy nie wychodzić z ORLENU. Gdy ktoś mnie pyta – odradzam, uspokajam, bo dla mnie dobro Polski i ORLENU zawsze będzie dobrem najwyższym. Ale źle to wygląda.

Jak pan to wszystkie znosi? Tak po ludzku?

Ruszyła na mnie cała machina państwa i mediów. Wytrzymam. Przeszedłem w swoim życiu sporo: walkę z chorobą, próby wyszydzania, gdy zaczynałem pracę w ORLENIE, a potem lata wściekłych ataków, potężny stres i wysiłek, gdy walczyliśmy z pandemią, a następnie po wybuchu wojny musieliśmy szybko w pełni uniezależnić Polskę od rosyjskiej ropy. Ze wszystkich tych prób wychodziłem wzmocniony. Tak będzie i teraz. W ORLENIE zawsze dbałem o dobro państwa. Ludzie to doceniają, spotykam się z ogromną sympatią, wsparciem od Polaków. Zawsze pamiętałem, że w każdym miejscu jest czas przyjścia i czas odejścia. Ludzie, którzy dziś urządzają tę nagonkę, chyba o tym zapomnieli. Niesłusznie, bo ich też kiedyś ktoś zastąpi. Jeżeli ktoś dziś robi takie igrzyska, sam kiedyś wyląduje na takiej arenie.

Na koniec zapytam: sądzi pan, że Donald Tusk dotrzyma słowa i paliwo będzie kiedyś po 5,19 zł?

Nie sądzę. To było po prostu wyborcze kłamstwo, jedno z wielu. Kłamstwem były też zarzuty wobec zakupu Polska Press – po wyborach jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki okazało się, że to jednak nie media Obajtka, ale duża wartość i perspektywiczna spółka. Podobnie jest z apolitycznymi fachowcami, których rzekomo mieli zatrudniać. A już widać, choćby po wspomnianej Polska Press, kto zasiada w jej zarządzie. Podobnie jest ze składem rad nadzorczych wielu spółek. To samo z obietnicą zamrożenia cen energii przez cały 2024 r. Już wiadomo, że ma ono obowiązywać tylko do połowy roku.

Pan nigdy nie ukrywał, że jest członkiem Prawa i Sprawiedliwości.

Bo to prawda i dlaczego miałbym to robić? Tak – realizowałem program mojej formacji, program propaństwowy. To oni oszukują ludzi. Takich spraw jest wiele, nie o wszystkich mogę jeszcze rozmawiać, bo obowiązują mnie klauzule poufności. Ale nie dam się złamać i będę głośno mówił o tym, ile dobrego zrobiliśmy dla polskiej gospodarki. Prawda zawsze się obroni.

eprasa.pl 0d93b09f36

Od ewangelizacji do negocjacji

Nowym przewodniczącym Konferencji Episkopatu Polski został zgodnie z oczekiwaniami abp Tadeusz Wojda. Wybór 67-letniego metropolity gdańskiego świadczy o tym, iż biskupi w naszym kraju zdecydowali się kontynuować dotychczasowy kurs doktrynalny oparty na duchowym i intelektualnym dziedzictwie Jana Pawła II. W obecnej sytuacji jest to znacznie ważniejsze niż za pontyfikatu Benedykta XVI, ponieważ Kościół w skali globalnej przeżywa dziś teologiczne trzęsienie ziemi. W tym kontekście nie bez znaczenia jest odwaga w głoszeniu poglądów, które mogą wywołać ataki środowisk lewicowo-liberalnych. Wiadomo zaś, że abp Wojda, jeszcze jako ordynariusz archidiecezji białostockiej, dał się poznać jako zdecydowany krytyk ideologii gender (o której sam Franciszek powiedział niedawno, że stanowi „największe zło" i „najobrzydliwsze zagrożenie naszych czasów").

Nowy przewodniczący Episkopatu jest pallotynem i teologiem specjalizującym się w zagadnieniach misjologii. Przez 27 lat przebywał w Rzymie, pracując m.in. w Kongregacji Ewangelizacji Narodów, przez długi czas u boku abp. Henryka Hosera. Być może przyda mu się doświadczenie misyjne, ponieważ Polska staje się krajem, który potrzebuje nowej ewangelizacji.

Żaden przewodniczący Episkopatu w III RP nie miał w rozmowach z rządem tak antyklerykalnego partnera, jakiego będzie miał abp Tadeusz Wojda

GRZEGORZ GÓRNY

MODEL PRYMASA WYSZYNSKIEGO

Przy okazji każdorazowych wyborów kierownictwa Episkopatu pojawia się pytanie o model przywództwa w polskim Kościele. W tym kontekście najczęściej pada nazwisko kard. Stefana Wyszyńskiego, stawianego za wzór do naśladowania dla następców. Jego pozycja była jednak wyjątkowa, ponieważ łączył funkcje prymasa i przewodniczącego Episkopatu, a na dodatek był obdarzony nadzwyczajnymi uprawnieniami legata papieskiego i zarządzał lokalnym Kościołem w czasach, gdy w Polsce nie było nuncjusza apostolskiego. Zakres władzy, którą dysponował z nadania Watykanu, wynikał z ówczesnej sytuacji, czyli funkcjonowania w ramach reżimu komunistycznego walczącego z katolicyzmem. W związku z tym kard. Wyszyński miał olbrzymi wpływ na kompletowanie Episkopatu, a nawet osobiście wydawał polecenia niektórym biskupom.

Dziś taka sytuacja jest niemożliwa, ponieważ po upadku komunizmu zmieniła się sytuacja w Polsce. Zmienił się też sposób zarządzania Kościołem lokalnym. Obecnie w myśl prawa kanonicznego wszyscy biskupi w kraju są sobie równi i żaden z nich nie odpowiada ani przed przewodniczącym Episkopatu, ani przed prymasem. Zresztą pozycja tego ostatniego została zredu-

Fot. Liudmyla Kazakova

eprasa.pl 0d93b09f36

kowana do funkcji reprezentacyjnej jako kustosza relikwii św. Wojciecha w Gnieźnie. Z kolei rola przewodniczącego Episkopatu sprowadza się nie do jednoosobowego rządzenia, lecz do zwoływania, koordynowania i kierowania posiedzeniami owego gremium hierarchów.

MODEL ABP. MICHALIKA

Sprawujący funkcję przewodniczącego Episkopatu w latach 2004–2014 abp Józef Michalik celowo wybrał kolegialny styl zarządzania. Jak mówił: „Im bardziej zaistnieje Konferencja Episkopatu, a im mniej ja jako przewodniczący, tym lepiej". Powtarzał też, iż nie zamierza być przywódcą w starym stylu. Jak sam przyznawał: „Uważam, że takim podejściem uczyniłbym szkodę Kościołowi w Polsce. Nie mam ambicji forsowania swojego osobistego zdania. Wielokrotnie nie zgadzam się z różnymi propozycjami i wnioskami biskupów, ale jeśli okazuje się, że opowiada się za nimi większość hierarchów, to staram się uszanować ich stanowisko i podporządkować woli większości".

Ten styl uwidaczniał się m.in. w prowadzeniu obrad Episkopatu przez abp. Michalika, który sam nie nadawał tonu dyskusji, lecz pozwalał wypowiedzieć się innym, by na końcu podsumować debatę, próbując uwzględnić wszystkie stanowiska. Ta kolegialność w zarządzaniu spowodowała jednak, że Kościół w Polsce (po przejściu na emeryturę prymasa Józefa Glempa) przestał mieć – zarówno w zbiorowej świadomości wiernych, jak i w realnym życiu – jednego wyrazistego przywódcę, do czego przez lata przyzwyczaili się katolicy w naszym kraju.

MODEL ABP. GĄDECKIEGO

Kolejny przewodniczący Episkopatu – abp Stanisław Gądecki, pełniący tę funkcję w latach 2014–2024, w większym stopniu niż abp Michalik starał się wykorzystać instrumenty, które dawał mu sprawowany urząd. Oczywiście w grę nie wchodziło wykraczanie poza zakres swych uprawnień, lecz odważniejsze korzystanie z autorytetu i możliwości związanych z pełnionym stanowiskiem. Metropolita poznański często wypowiadał się więc na forum publicznym, a jego głos odbierano jako stanowisko polskiego Kościoła i cytowano w wielu zagranicznych mediach.

Tak było, gdy napisał list otwarty do patriarchy moskiewskiego Cyryla, wzywając go, by przeciwstawił się wojnie rozpętanej przez Putina. Albo gdy wystosował pismo do przewodniczącego Episkopatu Niemiec bp. Georga Bätzinga, ostrzegając go przed manowcami niemieckiej drogi synodalnej.

W świecie katolickim zapamiętano rolę, którą odegrał podczas rzymskiego Synodu ds. Rodziny, stając na czele hierarchów broniących nauczania Kościoła o nierozerwalności małżeństwa. Abp Gądecki firmował swoim autorytetem takie inicjatywy duszpasterskie, jak np. Wielka Pokuta na Jasnej Górze, gdy osobiście celebrował Eucharystię podczas tego wydarzenia.

MODEL NA NOWE CZASY

Czas pokaże, jaki model wybierze abp Wojda: bliższy Józefowi Michalikowi czy Stanisławowi Gądeckiemu. Być może będzie to zupełnie nowy styl wynikający z funkcjonowania w nowych czasach. Obecnemu przewodniczącemu Episkopatu przyjdzie bowiem stawić czoło wyzwaniom, z którymi Kościół nie miał jeszcze do czynienia po upadku komunizmu. Nigdy w III RP nie było bowiem rządu, który tak jawnie występowałby przeciwko Kościołowi, jak obecny gabinet Donalda Tuska. Może się to wydawać dziwne, ponieważ dwa główne ugrupowania koalicji rządowej (PO i PSL) należą do Europejskiej Partii Ludowej, która jeszcze do niedawna była określana mianem chadeckiej międzynarodówki. Musimy jednak pamiętać, że chrześcijańska demokracja na naszym kontynencie zsekularyzowała się, przyjmując wiele postulatów ideowych skrajnej lewicy jako własne. Poza tym w obecnym rządzie resorty odpowiedzialne za sprawy światopoglądowe objęli przedstawiciele antyklerykalnej lewicy, prześcigający się w radykalnych żądaniach.

Wszystko wskazuje więc na to, że dojdzie do wielu trudnych rozmów między przedstawicielami rządu i Kościoła, w których w rolę współczesnych odpowiedników Kazimierza Kąkola wcielą się zacięte antyklerykałki, feministki i aborcjonistki. Stronę kościelną w tych negocjacjach będzie reprezentować przewodniczący Episkopatu, czyli abp Tadeusz Wojda. Tak naprawdę będzie to jego najważniejsze zadanie w najbliższych latach. Na jego barkach spocznie ciężar rokowań na temat np. obecności katechezy w szkołach, dofinansowania szkół katolickich czy przyszłości Funduszu Kościelnego. Wiele będzie więc zależeć od jego kunsztu dyplomatycznego i zdolności mediacyjnych. On też stanie się zapewne jedną z głównych twarzy w nadchodzących sporach o aborcję, pigułki wczesnoporonne czy in vitro. Będzie miał zatem wpływ na kształtowanie medialnego wizerunku Kościoła.

W tej sytuacji niepokojąco brzmią zapowiedzi marszałka Sejmu Szymona Hołowni, który domaga się rozdziału Kościoła od państwa. Rzecz jednak w tym, że Polska nie jest krajem wyznaniowym i taki rozdział już istnieje. Mogą być za to różne sposoby współistnienia ze sobą obu podmiotów: albo przyjazny rozdział – jak w Polsce, albo nieprzyjazny – jak we Francji. Jeśli więc ktoś mówi, że chce zmienić obecny model koegzystencji, to znaczy, że dąży do konfrontacji.

Nowemu przewodniczącemu Episkopatu przyjdzie toczyć boje w czasie, gdy Kościół w Polsce jest osłabiony jak nigdy dotąd po upadku komunizmu. Dotknięty utratą wpływów na życie publiczne, odpływem młodych ze świątyń czy skandalami obyczajowymi musi więc stawić czoło trudnościom wewnętrznym i zewnętrznym.

Choć abp Wojda powtarza, że ciągnie go do ewangelizacji, to jednak życie zmusi go zapewne do ciężkich, żmudnych i męczących rozmów z przedstawicielami niechętnych mu władz. Dobrze by było, gdyby zostawił po tych spotkaniach zapiski, tak jak to robili po rozmowach z peerelowskimi dygnitarzami kard. Stefan Wyszyński czy abp Bronisław Dąbrowski. Pozostawione przez nich memuary są dziś niezastąpionym świadectwem moralnej i umysłowej kondycji ówczesnych władz, ich antyklerykalizmu, ignorancji i pychy. A pycha – jak wiadomo – kroczy przed upadkiem.

eprasa.pl 0d93b09f36

Wojny przedprezydenckie

Nie będzie wspólnego kandydata na prezydenta rządzącej obecnie koalicji, a inne partie czekają konflikty w czasie wyłaniania własnych faworytów do tego stanowiska

STANISŁAW JANECKI

Do wyborów prezydenckich zostało jeszcze ok. 15 miesięcy, ale partie przymierzają się do nich bardziej niż do samorządowych (odbędą się za niecałe cztery tygodnie). A to dlatego, że posiadanie „własnego" prezydenta ma kluczowe znaczenie dla trwałości obecnej większości parlamentarnej. Pozornie wspólny interes Koalicji Obywatelskiej, Trzeciej Drogi oraz Nowej Lewicy realnie wcale takim nie jest, gdyż prezydentura w kadencji 2025–2030 przekracza czasowo istnienie obecnej koalicji. A wypadnięcie z gry o nią może oznaczać osłabienie bądź wielkie kłopoty poszczególnych partii, a także bloków.

Wspólny kandydat na prezydenta długofalowo wcale nie służy interesom konkretnych partii. Premiuje to ugrupowanie, z którego szeregów będzie się wywodził, a dla pozostałych oznacza kłopoty. W przeszłości było tak, że żadna licząca się partia nie pozwoliła sobie na to, aby zrezygnować z wyścigu o prezydenturę Polski, żeby nie stracić miana „poważnej" i by zapobiec ucieczce elektoratu.

W przypadku prezydentury Polski największe boje, a nawet małe wojny domowe, najpierw toczą się wewnątrz poszczególnych partii, a nie między kandydatami rywalizujących ugrupowań. Przede wszystkim dlatego, że jest to test przywództwa. Nie inaczej będzie w 2025 r., a może wtedy nawet bardziej niż w czasie wyborów w poprzednich latach. Istniejące obecnie trzy bloki rządzących partii nie muszą być trwałe, szczególnie po szybkim zużywaniu się rządu, co już jest widoczne. A indywidualne interesy partii wchodzących w skład tych bloków wykraczają poza perspektywę wspólnych rządów do jesieni 2027 r. Sama ta perspektywa wcale nie jest pewna, o czym koalicje rządzące przekonywały się w przeszłości, właśnie przed upływem kadencji – tak było latach 1997, 2001, 2005 czy 2007. O ile w przypadku koalicyjnego rządu można uzgodnić wspólne interesy w konkretnej perspektywie czasowej, o tyle w wypadku prezydentury Polski jest to praktycznie niemożliwe, choćby z powodu siły mandatu prezydenta, która decyduje (wbrew rozpowszechnianym w polskiej polityce opiniom i plotkom) o dużej samodzielności głowy państwa.

Dotychczasowe doświadczenia pokazują, że wybory prezydenckie, przynajmniej w pierwszej turze, są bardzo konkurencyjne i na tym etapie sojusze nie wchodzą w grę. Przynajmniej gdy chodzi o „poważne" ugrupowania.

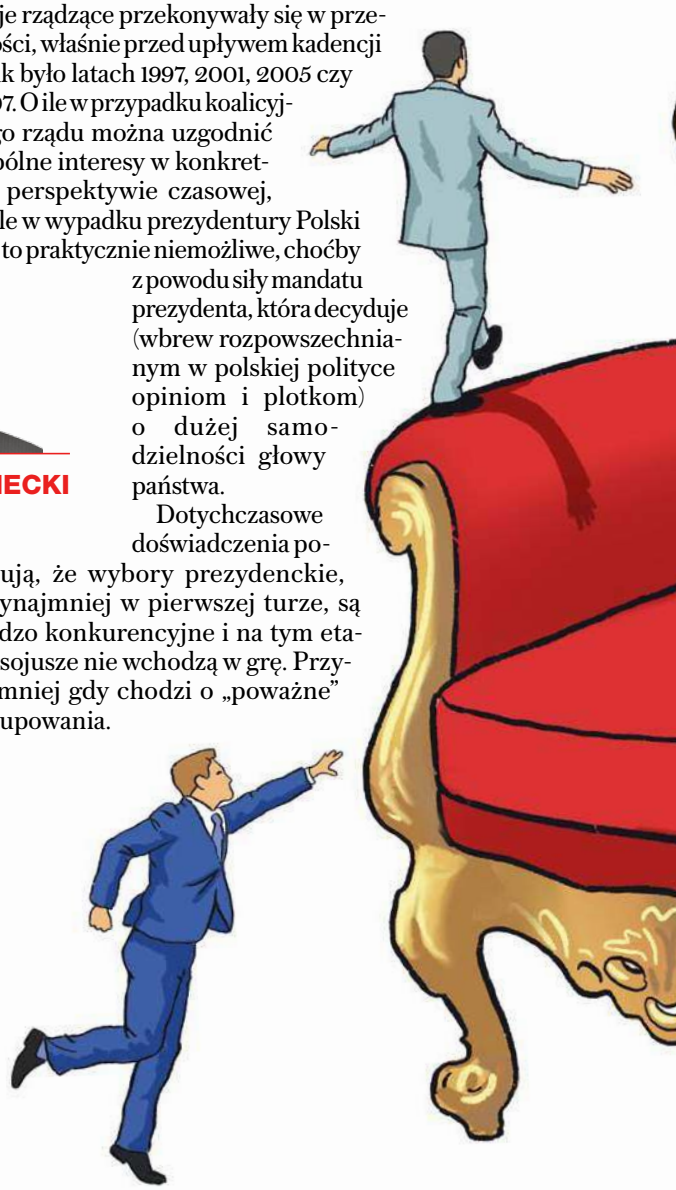

eprasa.pl 0d93b09f36

W 2025 r. będzie się toczyła zacięta walka o prezydenturę, choćby rządowi koalicjanci zapewniali, że są w stanie się porozumieć. Porozumienie jest możliwe w wyborach głowy państwa przez Zgromadzenie Narodowe, ale nie w wyborach powszechnych.

KANDYDACI PLATFORMY OBYWATELSKIEJ

W PO będzie wojna (już się toczy) między Rafałem Trzaskowskim a Donaldem Tuskiem, mimo że prezydent Warszawy miał już obiecane kandydowanie. Trzaskowski musi wygrać wyborczy test, żeby udowodnić, że jego możliwości sięgają wyżej niż prezydentura Warszawy. A 2025 r. będzie dla niego raczej ostatnią szansą, żeby to udowodnić.

Z kolei Tusk musi wykazać, że prezydentura Polski nie leży poza jego zasięgiem (mimo nachalnie narzucanego wizerunku absolutnego zwycięzcy) i zmazać piętno porażki z Lechem Kaczyńskim w 2005 r. Jest to dla niego także ostatni termin, gdy może jeszcze dopełnić kolekcję swych politycznych trofeów i uleczyć traumy z przeszłości.

A trzeba pamiętać, że aspiracje prezydenckie zgłasza jeszcze Radosław Sikorski. Jest on wprawdzie łudzony perspektywą objęcia nowej funkcji – komisarza ds. obronności, która miałaby powstać w Komisji Europejskiej, ale w przeszłości już uległ złudzeniom i niczego nie dostał. Miał być sekretarzem generalnym NATO, przewodniczącym Komisji Europejskiej lub „tylko" szefem wspólnej europejskiej polityki zagranicznej i nic z tego nie wyszło. Podobnie jak z pierwszej próby startu w wyborach na prezydenta Polski (w 2010 r. przegrał z Bronisławem Komorowskim prawybory wewnątrz Platformy Obywatelskiej). Tusk, Trzaskowski i Sikorski mają coś ważnego do udowodnienia, co oznacza zaciętą walkę o nominację, a także konflikty i wojny podjazdowe. Im bliżej wyborów, tym rywalizacja stanie się zacieklejsza, bo dla wszystkich pretendentów będzie to walka o wszystko. Jeśli nie wygrają teraz, to raczej już nigdy.

KANDYDACI PRAWA I SPRAWIEDLIWOŚCI

W PiS nie ma decyzji, kto wystartuje w wyborach prezydenta Polski i też toczy się kilka wojenek, bo kandydatów jest kilkoro: Beata Szydło, Elżbieta Witek, Mateusz Morawiecki, Tobiasz Bocheński, Karol Nawrocki, Przemysław Czarnek czy Mariusz Błaszczak. W sondażach najlepiej wypada Mateusz Morawiecki, ale jego namaszczenie wcale nie jest pewne. W partii jest wszak obwiniany o porażkę w wyborach parlamentarnych oraz o sprowadzenie na PiS nieszczęść w związku z tym, na co się godził jako premier podczas spotkań Rady Europejskiej.

Dla Beaty Szydło kandydowanie byłoby odegraniem się za zmuszenie jej do odejścia z funkcji premiera pod koniec 2017 r. A Elżbieta Witek ma chyba mocne przekonanie, że jest ulubienicą przeciętnych ludzi. Z kolei Mariusz Błaszczak miałby być dobrym

eprasa.pl 0d93b09f36

kandydatem ze względu na zasługi dla obronności, tylko że takie rzeczy szybko mogą iść w zapomnienie, a liczyć się będzie konkretny kształt kampanii i umiejętności samego kandydata. Tobiasz Bocheński będzie rozpatrywany jako poważny kandydat, ale pod warunkiem, że doprowadzi do co najmniej drugiej tury wyborów w Warszawie.

Karol Nawrocki stanie się bardzo poważnym kandydatem, a także wzrosną jego szanse na wygraną, jeśli wybory prezydenckie w 2025 r. będą dotyczyć fundamentalnych wartości, ważnych dla Polski i Polaków. Jako prezes IPN udowodnił, że jest strażnikiem takich wartości, i to w atrakcyjnej formie (także dla młodych wyborców). Ale kampania może zostać z tego wypłukana, gdyż ewentualni kandydaci partii obecnej koalicji rządzącej niewiele by wtedy ugrali, a wręcz mogliby mieć kłopoty.

Przemysław Czarnek też dobrze wypada, gdy chodzi o wartości, ale kiedy był ministrem edukacji i nauki, przede wszystkim mainstreamowe media przyprawiły mu „gębę" niemal jaskiniowca, a z tym nie jest łatwo walczyć, gdy przewaga medialna „obozu postępu" jest obecnie jeszcze większa niż przed 13 grudnia 2023 r.

OTWARTA DROGA DLA INNYCH

W Trzeciej Drodze wcale nie jest pewne wystawienie Szymona Hołowni jako wspólnego kandydata na prezydenta. Mimo że Władysław Kosiniak-Kamysz wielokrotnie deklarował, iż marszałek Sejmu jest wspólnym kandydatem PSL i Polski 2050. W PSL powszechna jest obawa, że niewystawienie własnego kandydata będzie świadczyć o słabości tej partii i doprowadzi do jej marginalizacji. W przeszłości Stronnictwo zawsze uczestniczyło w wyścigu prezydenckim, nawet gdy miało znacznie słabszego kandydata niż obecny lider – Władysław Kosiniak-Kamysz. To PSL ma silne struktury w terenie i ich oddanie do pełnej dyspozycji Szymona Hołowni wzmacniałoby jego i Polskę 2050, czyniąc z PSL tylko pomocnika. Tym bardziej że ewentualna wygrana Hołowni nie przyniosłaby PSL żadnych korzyści, szczególnie znając jego narcyzm i wybujałe ego. Z tych powodów jest więc prawie pewne, że dojdzie do rywalizacji obu liderów.

Wewnętrzna wojna czeka też Nową Lewicę, bo coraz mniej zwolenników ma Magdalena Biejat. Jej szanse gwałtownie zmaleją, jeśli nie uzyska dobrego wyniku w wyborach na prezydenta Warszawy. A kandydatem może być jeszcze ambitny wicepremier Krzysztof Gawkowski i to jego, a nie Magdalenę Biejat, miałby poprzeć Włodzimierz Czarzasty. Zanosi się więc na otwarty konflikt, tym gorętszy, że włączą się w niego radykalne organizacje kobiece walczące przeciwko dominacji mężczyzn podczas obsadzania najważniejszych stanowisk.

Na wojnę zanosi się też w Konfederacji, gdzie kandydować chcą zarówno Krzysztof Bosak, jak i Sławomir Mentzen, a także Grzegorz Braun. I nie będzie to wojna udawana, gdyż wszyscy trzej są liderami partii składających się na Konfederację (Ruch Narodowy, Nowa Nadzieja, Konfederacja Korony Polskiej). Każdy z nich chce udowodnić, że jest ważniejszy od pozostałych, bardziej popularny, charyzmatyczny i ma większe szanse. No i każdy bardzo chciałby znaleźć się w pałacu na Krakowskim Przedmieściu.

> Zanosi się na to, że wybory prezydenckie w 2025 r. będą najostrzejsze od 1990 r. Co ciekawe, najpierw wewnątrz poszczególnych partii. Z tego powodu można się spodziewać ujawnienia haków na konkurentów, jakichś kompromitujących nagrań. Raczej nikt nie podda się dobrowolnie

NAJOSTRZEJSZA KAMPANIA OD 1990 r.

Zanosi się na to, że wybory prezydenckie w 2025 r. będą najostrzejsze od 1990 r. Co ciekawe, najpierw wewnątrz poszczególnych partii. Z tego powodu można się spodziewać ujawnienia haków na konkurentów, jakichś kompromitujących nagrań. Raczej nikt nie podda się dobrowolnie. Tym bardziej że zdobycie prezydentury z dużym prawdopodobieństwem zdecyduje o przyszłości rządu Donalda Tuska. Jeśli on albo Rafał Trzaskowski nie zdobędą prezydentury, sytuacja obecnej koalicji może się okazać wyjątkowo trudna, a rząd znalazłby się w stanie permanentnego kryzysu. Przy prezydencie wywodzącym się z PiS szanse przetrwania rządu do końca kadencji byłyby minimalne. Podobnie stałoby się zresztą w przypadku prezydenta pochodzącego z Konfederacji. Ale także prezydentura kogoś wywodzącego się z partii obecnie rządzącej większości nie oznacza spokoju.

Donald Tusk na pewno zastosowałby swoją ulubioną metodę „dziel i rządź" i raczej wszystko rozwalałby niż budował. Rafał Trzaskowski nie mógłby sobie pozwolić na funkcjonowanie w roli pomocnika rządu, a nawet rządowego popychadła. Tym bardziej że mógłby się odegrać za wcześniejsze upokorzenia ze strony Tuska. Ewentualna prezydentura Hołowni to same kłopoty związane z jego manią wielkości i nieprzewidywalnością. Z kolei prezydentura Kosiniaka-Kamysza byłaby raczej tak samo bezbarwna i mało skuteczna jak w wypadku Bronisława Komorowskiego. A lewicowy prezydent raczej na pewno nie szedłby w ślady Aleksandra Kwaśniewskiego.

Im większe kłopoty rządzących na horyzoncie, tym bardziej zacięta będzie walka o wyłonienie kandydatów na prezydenta Polski.

eprasa.pl 0d93b09f36

Fot. Jakub Szymczuk/KPRP

Duda i Tusk u zagubionego Bidena

Ćwierćwiecze polskiego członkostwa w Pakcie Północnoatlantyckim było obchodzone z przytupem, ale w minorowych nastrojach politycznych. Rocznicowy spektakl zorganizowali nam Amerykanie, zapraszając polskiego prezydenta i premiera na rozmowy w Kongresie i Białym Domu dokładnie w dzień rocznicy – 12 marca

JAN ROKITA

To niewątpliwie ładny gest ze strony rządu Joe Bidena, dający nam okazję – tak ukochaną przez polskich polityków i dziennikarzy – aby podreperować własne poczucie ważności w globalnej polityce. Pewien prezydencki minister tak się nawet wzruszył faktem owego zaproszenia, że pobiegł do mediów, aby obwieścić „wiekopomne" (jak to określił) znaczenie lotu Andrzeja Dudy i Donalda Tuska do Waszyngtonu. Ale uważny ogląd przebiegu wizyty dowodzi, że miała ona charakter ceremonialny, a znaczną część spotkania z prezydentem USA i jego świtą wypełniły odczytywane kurtuazyjne oświadczenia, w których Biden dziękował

eprasa.pl 0d93b09f36

Polakom, że przylecieli do Ameryki „w taki dzień", a Duda i Tusk dziękowali Bidenowi bez przerwy i za wszystko. Polski premier stwierdził nawet, że zwycięstwo wyborcze Bidena sprzed czterech lat było dla niego „natchnieniem", co musiało się spodobać sztabowcom Partii Demokratycznej jako materiał potencjalnie do wykorzystania w trwającej kampanii wyborczej.

PLAN GRY

Polityczna geneza zaproszenia Dudy i Tuska przez Amerykanów jest najzupełniej jasna. W dzisiejszej wojennej sytuacji było oczywiste, że w związku z 25. rocznicą historycznego rozszerzenia NATO o pierwsze trzy kraje dawnego imperium sowieckiego rząd Bidena musi coś zrobić, o ile nie chce się narazić na spekulacje, iż lekceważy wschodnią flankę Sojuszu i w duchu machnął już ręką na Ukrainę. Nie można było jednak ściągać do Białego Domu przywódców trzech państw, które wzięły niegdyś udział w owym rozszerzeniu. A to ze względu na znienawidzonego w ekipie Bidena premiera Węgier, który zresztą dopiero co był w Ameryce, ale tylko po to, by wraz z Donaldem Trumpem przekonywać Amerykanów o bezwzględnej konieczności usunięcia Bidena z prezydentury w toku listopadowych wyborów.

Jednocześnie ekipa Bidena już od czasu naszych jesiennych wyborów chciała jakoś uczcić Tuska jako zwycięzcę i sojusznika amerykańskiej lewicy, nijak jednak nie można go było ściągnąć na oficjalne spotkanie do Białego Domu z ominięciem Dudy, który jako prezydent jest jedynym protokolarnym partnerem dla prezydenta USA.

Z tej wyborczo-protokolarnej łamigłówki Amerykanie znaleźli świetne wyjście. Polska jako kluczowy kraj flanki wschodniej symbolicznie zastąpi pozostałe kraje Europy Środkowej podczas waszyngtońskiej celebry. A niewidziany w Białym Domu od czasu odejścia Trumpa prezydent Duda wystąpi w roli „listka figowego", umożliwiającego oficjalne zaproszenie Tuska przez Bidena. Co więcej, taki pomysł dodatkowo będzie się świetnie wpisywać w piękną i słuszną ideę ponadpartyjnej współpracy polskiego rządu i prezydenta skazanych przecież na razie na przymusową kohabitację. Amerykanie wiedzieli, że obu polskim stronom da to okazję do zgodnego głoszenia pochwał pod adresem zarówno USA, jak i samego Bidena, który przecież ćwierć wieku temu jako wpływowy senator najzupełniej prawdziwie odegrał istotną rolę w budowaniu poparcia obu izb Kongresu dla rozszerzenia NATO.

Ekipie Bidena chodziło także o to, aby dać premierowi Polski okazję, by na oczach amerykańskich mediów, przed głównym wejściem do Białego Domu, zaatakował republikańskiego spikera Izby Reprezentantów, opierającego się – na przekór Bidenowi – kompromisowi, który miałby zagwarantować dalsze finansowanie Izraelowi i Ukrainie, a jednocześnie zaostrzyć nieco liberalną politykę imigracyjną rządu USA. Jak można się było spodziewać, Tusk wywiązał się z tego zadania perfekcyjnie, obwiniając Michaela Johnsona (a pośrednio stojącego za jego decyzjami Trumpa) o „odpowiedzialność za śmierć tysięcy istnień ludzkich", co miało wywrzeć na Amerykanach odpowiednie wrażenie. Zrobił to najpierw po polsku, a następnie – jeśliby ktoś w Ameryce nie umiał przetłumaczyć – po angielsku. Na wszelki wypadek dyplomacja amerykańska zawiadomiła jeszcze nieoficjalnie Dudę, iżby czasem nie przyszło mu do głowy spotykać się z Trumpem w czasie pobytu w USA wzorem Viktora Orbána, bo zepsułoby to cały, nieźle obmyślony w Białym Domu, scenariusz.

EFEKTY WIZYTY

Skomplikowana partyjna intryga wokół polskiej wizyty osiągnęła cele, które postawili sobie Amerykanie. Co nie znaczy, że niejako „przy okazji" nie skorzystała na tym w pewien sposób również Polska. Kohabitacja prawicowego prezydenta i coraz bardziej lewicującego premiera Polski w materii globalnej polityki pokazała bowiem światu twarz dużo lepszą, bardziej cywilizowaną od wściekłej partyjnej wojny, która ogarnęła USA, obejmując nawet fundamentalne geopolityczne interesy amerykańskiego supermocarstwa.

> Na początku spotkania Biden powtórzył Dudzie i Tuskowi, że „zaangażowanie Ameryki w obronę Polski jest żelazne", co zawsze dobrze usłyszeć, choćby nie wiem który raz z rzędu

Duda i Tusk, na przekór realnym okolicznościom polskiej polityki wewnętrznej, w Waszyngtonie sprawiali raczej takie wrażenie, jakie przed laty, w czasie tzw. pierwszej kohabitacji francuskiej, prezydent Mitterand i premier Chirac, gdy podczas posiedzeń w UE kazali przygotowywać dla Francji wyjątkowo dwa krzesła zamiast jednego, po czym tym zgodniej dopominali się o francuskie interesy narodowe. Tusk nawet przypisał „dobrą wolę" Dudzie, postulującemu wprowadzenie w NATO obowiązku wydawania 3 proc. PKB na obronę, hamując się, aby nie wylać na głowę prezydenta jakichś zwyczajowych w jego przypadku złośliwości i szyderstw. W sumie dla obu polityków była to całkiem niezła szkoła powściągliwości zafundowana im przez Amerykanów.

Co ważniejsze, waszyngtońska wizyta, z natury rzeczy skoncentrowana na kwestii wojny, została odnotowana w świecie jako zgodny lobbing skłóconych ze sobą polskich partii na rzecz Ukrainy. Co nie jest bez politycznego znaczenia, zważywszy na fakt, że od dobrych kilku miesięcy Polska jawi się niemal wyłącznie jako kraj skonfliktowany z Ukrainą – a to o zboże, a to o ciężarówki, a to o historię – zatem tworzący dodatkowy kłopot w relacjach Ukrainy z Zachodem.

eprasa.pl 0d93b09f36

Tym razem powrócił, może na dłużej niźli na chwilę, wizerunek Polski jako adwokata i lobbysty ukraińskich interesów, czyli ten, który światu był już dobrze znany w 2022 r., ale potem zniknął niemal zupełnie.

Oczywiście mówimy tu tylko o zysku wizerunkowym, zarówno na Zachodzie, jak i na samej Ukrainie, bo jak dobrze wiadomo, w realnej grze o wynik wojny mają dziś znaczenie tylko najsilniejsze mocarstwa, militarnie i politycznie zdolne przechylić szalę na tę lub tamtą stronę. Polska nie ma potencjału pozwalającego na dalsze odgrywanie istotnej roli na Wschodzie, co udawało się nam tylko przez krótki czas. Wtedy, gdy daliśmy Ukraińcom broń, kiedy nikt nie chciał im jej dać, gdy otworzyliśmy nasze granice, kiedy inne były jeszcze zamknięte dla Ukraińców, a premier Morawiecki jeździł po Europie, nawołując do „nawrócenia sumień". Ten czas się skończył i dziś Polska jest obserwatorem wojny, udostępniającym tylko – z powodu położenia geograficznego – swoje terytorium dla tranzytu na Ukrainę. Co może nawet nie jest najgorszym rozwiązaniem, zważywszy, że wojna i tak zmierza w coraz gorszym kierunku.

NIE MA ZGODY

Ćwierć wieku po historycznym rozszerzeniu na Wschód sojusznicy kompletnie nie wiedzą, co mają począć ze skutkami tego rozszerzenia. Gdy coraz wyraźniej wygląda na to, że odepchnięcie Moskali na Ukrainie wymaga bezpośredniego zaangażowania armii sojuszniczych, tylko Macron i Bałtowie chcą rozmawiać na ten temat, a wszyscy inni – od Bidena przez Scholza po Tuska – wpadają w panikę. Za wspomnienie o takiej możliwości nieszczęsnemu Macronowi tak zmyto głowę, że z podwiniętym ogonem musiał teraz głośno odwoływać zapowiadaną swoją wizytę w Kijowie.

Nie ma zgody sojuszników na wyposażenie Ukraińców w rakiety zdolne rozwalić most Kerczeński, bo choć niemieccy generałowie rozważają szczegóły takiej operacji na podsłuchu rosyjskiego wywiadu, to kanclerz wpada w panikę na myśl o czymś takim.

Nie ma zgody na zaproszenie Ukrainy do NATO, co dałoby Zełenskiemu jakieś pole manewru negocjacyjnego, bo sam Biden jest tu zagubiony i nie wie, jak postąpić. Nie ma zgody nawet na dotychczasowy sposób pomocy Ukrainie (wedle reguły: bijcie się, ale nie wygrywajcie), bo obóz Trumpa całkiem logicznie doszedł do wniosku, że podtrzymywanie pacjenta kroplówką bez nadziei na wyleczenie jest coraz bardziej absurdalne.

Co ciekawe, nie ma nawet zgody na przesunięcie na wschodnią flankę jakichś realnych sił sojuszniczych, na wypadek gdyby Moskale przełamali front i pomaszerowali na Kijów oraz Odessę. A taki właśnie scenariusz jako najbardziej prawdopodobny miał ponoć przedstawić na zamkniętym posiedzeniu Macron, lecz przy dzisiejszych standardach utrzymywania tajemnicy jego opinia natychmiast wyciekła do mediów. W dniu wizyty Dudy i Tuska dziennikarz TVN zapytał o to polskiego premiera. I od zaskoczonego tak niewygodnym pytaniem Tuska zyskał w końcu odpowiedź, iż Ameryka jasno mówi, że nie ma w planie niczego takiego. Innymi słowy, wśród sojuszników nie ma nawet zgody na to, żeby przygotować wschodnią flankę do realnej obrony, jeśliby Ukraina zaczęła się wywracać. Krótko mówiąc: w sprawie dalszego biegu spraw na Wschodzie w NATO nie ma zgody na nic. Sojusz sprawia wrażenie, jakby bezsilnie czekał na rozwój zdarzeń, doskonale świadom tego, że idą one w jak najgorszym kierunku.

Na początku spotkania Biden powtórzył Dudzie i Tuskowi, że „zaangażowanie Ameryki w obronę Polski jest żelazne", co zawsze dobrze usłyszeć, choćby nie wiem który raz z rzędu. Choćby dlatego, że frazeologia na temat Ukrainy ostatnio wyraźnie się odmieniła Bidenowi, zapewne nieprzypadkowo. O ile wcześniej rytualna formuła prezydenta USA brzmiała: „Ukrainę będziemy wspierać tak długo, jak będzie trzeba", o tyle ostatnio Biden wyraził ją w nieco zmienionym wariancie: „Ukrainę będziemy wspierać tak długo, jak to możliwe". Każdy powinien się domyślić, że nie będzie to możliwe w nieskończoność, zważywszy na to, iż żaden kraj demokratyczny nie ma zdolności finansowania cudzej wojny *ad infinitum*, bo się to w końcu nudzi obywatelom. Trzeba więc podjąć w końcu męską decyzję: czy Kijów ma pogodzić się z utratą części terytorium, bo za chwilę będzie jeszcze gorzej, co Zełenskiemu publicznie doradza papież? Czy też rozpoczynamy poważną rozmowę nad propozycją Macrona, aby wcześniej czy później NATO samo zabrało się za odpychanie Moskali od Europy? Minorowe nastroje podczas jubileuszu rozszerzenia biorą się z trwogi przed postawieniem sobie tych pytań.

Reklama | 34/0224/Fv

eprasa.pl 0d93b09f36

Bolszewizacja prokuratury

O karuzeli ludzi do brudnej roboty, „skręcaniu" śledztw i ścieżce Polski do państwa totalitarnego w mocnym wywiadzie mówi Markowi Pyzie zastępca prokuratora generalnego *Michał Ostrowski*

Jak się panu pracuje na urlopie?

Michał Ostrowski: Nie jestem na urlopie, bo skończył mi się on w połowie lutego, prawidłowo udzielony z upoważnienia prokuratora krajowego Dariusza Barskiego. Przed miesiącem z prokuratorem Robertem Hernandem próbowaliśmy wrócić do Prokuratury Krajowej. To było poniżające. Prowadził nas funkcjonariusz Służby Więziennej uzbrojony w broń palną i miotacz gazu. Nie mam do niego pretensji, bo wykonywał polecenia. Gdy dowiedzieliśmy się, że „doprowadza" nas do podającego się za p.o. prokuratora krajowego pana Bilewicza, zrezygnowaliśmy. Chcieliśmy jedynie dostać się do własnych gabinetów. Próbowaliśmy użyć swoich kart dostępowych, lecz okazały się nieaktywne. Na tym zakończyła się nasza wizyta.

Pański urlop, który ogłosił Adam Bodnar, ma trwać do 15 marca, a więc nasza rozmowa ukazuje się pierwszego dnia roboczego po jego zakończeniu. Co dalej?

Tylko według ministra Bodnara będzie to pierwszy dzień roboczy. Nie wiem, czy zostanę dopuszczony do pracy. Nie otrzymałem żadnej informacji, a już pod koniec stycznia, zaraz po zablokowaniu dostępu, zwróciłem się do ministra o wyjaśnienie podstaw jego działań. Odebrałem to jako formę dyskryminacji, bo przecież wielu prokuratorów jest na urlopach, długotrwałych zwolnieniach lekarskich, a karty mają aktywne. Potraktowano tak tylko mnie i zastępcę prokuratora generalnego Roberta Hernanda. Dopóki nie otrzymam od ministra informacji, że mogę pracować oraz – co najistotniejsze – zakresu czynności związanego z moimi kompetencjami, będę czekał. Mam się znów odbijać od drzwi albo jakiś funkcjonariusz Służby

Fot. Andrzej Skwarczyński

eprasa.pl 0d93b09f36

Więziennej ma wyznaczać, gdzie mam przebywać?

Minister Bodnar pana ignoruje?

Niestety tak. Czekam na spotkanie z nim. Nie może być tak, że od 13 grudnia jestem jego zastępcą i nie doczekałem się żadnej rozmowy poza krótką 12 stycznia, kiedy pan Bodnar siłowo przejmował prokuraturę, więc oświadczyłem mu, że dopuszcza się bezprawia i proszę, by się wycofał. Nie miałem żadnych innych kontaktów ze swoim bezpośrednim zwierzchnikiem, którego kierownictwa nigdy nie kwestionowałem. Chciałbym usiąść, porozmawiać, omówić sytuację i zająć się tym, na czym się znam, czyli walką z przestępczością gospodarczą. Osiem lat temu od podstaw tworzyłem poświęcony jej departament. Po prostu proszę o tego typu zakres czynności. Z tego, co widziałem w jednym z zarządzeń prokuratora generalnego, ani ja, ani prokurator Hernand nie mamy przypisanych konkretnych czynności nadzorczych. Ogólnie stwierdza się w nim, że mamy wykonywać zadania przydzielone przez prokuratora generalnego.

Których nie ma.

Ano nie ma.

Dopełnił się za to – choć znów nielegalnie – „konkurs" na prokuratora krajowego, w efekcie którego premier powołał na tę funkcję Dariusza Korneluka.

Ten konkurs był farsą, a o jego rozstrzygnięciu informowałem dzień przed ogłoszeniem nazwiska zwycięzcy. Wiedziałem, że „wygra" prokurator Korneluk i to on będzie ostatecznym wykonawcą działań kadrowych. To tylko karuzela ludzi do brudnej roboty. Te wszystkie powołania są niezgodne z prawem, bo przecież stanowisko jest obsadzone przez prokuratora Barskiego. A poza tym mój przełożony prokurator Bodnar w jednej z wypowiedzi niestety stwierdził, że to powołanie nastąpi bez opinii prezydenta, podczas gdy przepis mówi wyraźnie: musi być opinia głowy państwa do powołania, a do odwołania pisemna zgoda. Nie mieliśmy do czynienia ani z jednym, ani z drugim.

Adam Bodnar odwołał półtorej setki prokuratorów z delegacji do innych jednostek – co się dzieje z tymi postępowaniami i dlaczego te odwołania są tak niebezpieczne?

Nie mam pełnej wiedzy z powodu odcięcia mnie od budynku PK, czy wszystkie te odwołania zostały ostatecznie zrealizowane. Ale postępowania odwołanych lub przesuniętych do innych zadań prokuratorów na pewno przejmują ich koledzy, zapoznają się z materiałem dowodowym, a trwa to miesiącami. Jeżeli przykładowo profesjonalnym prokuratorom z Prokuratury Regionalnej w Warszawie odbiera się postępowania, a lądują one w konsultacjach w PK bądź w Ministerstwie Sprawiedliwości, to oznacza zamrożenie tych śledztw.

> Jeśli chodzi o bezpośredni wpływ Zbigniewa Ziobry na prokuraturę, to w ciągu ośmiu lat wydał on może 20–30 poleceń, a pan prokurator Bodnar tylko do końca stycznia już ponad 100

Zamrożenie nie jest jeszcze największą bolączką. Mamy już przecież kilka głośnych spraw, które są – lub mają być – umarzane.

To choćby przykład Szczecina, gdzie w sprawie związanej z nadzorem KNF nad SKOK Wołomin jest wywierana presja na oskarżyciela przez prokuratora regionalnego, by cofnął akt oskarżenia, bo takie są „oczekiwania społeczne" i zabiera mu się to śledztwo.

Mówimy o sprawie, w której straty Skarbu Państwa sięgają ponad 1 mld zł. O czym to świadczy? Jak nazwać takie działania funkcyjnych prokuratorów?

Mamy do czynienia z jakąś formą „bolszewizacji". Nie wolno wskazywać prokuratorom, że nie liczy się prawo, orzecznictwo ani bodaj te nieszczęsne opinie prawne, lecz oczekiwanie społeczne. Do praworządności i wykonywania zadań przez prokuratora jest wprowadzany czynnik ludowy.

A kto analizuje te oczekiwania społeczne? Kto je definiuje?

No właśnie. Okazuje się, że takimi demiurgami są np. osoby wyznaczane do kierowania dużymi prokuraturami regionalnymi.

Szczecin jest wyjątkowym przypadkiem. Mamy tam sprawę prokurator Barbary Zapaśnik, która prowadziła to śledztwo, ale sąd je umorzył, sięgając po argumentację ministra Bodnara, jakoby pani prokurator nie była skutecznie przywrócona ze stanu spoczynku. To śledztwo idzie do kosza?

Ta sprawa została umorzona na etapie postępowania sądowego. Mamy w niej zażalenie prokuratora regionalnego w Szczecinie oraz złożone przeze mnie. Tyle że to pierwsze było proforma, a moje merytoryczne, choć cofnięte przez prokuratora Bodnara, posługującego się w tym celu prokuratorem Bilewiczem. Prokurator regionalny stwierdził, że pani prokurator Zapaśnik była w stanie spoczynku, ale mogła wykonywać czynności, bo była prokuratorem. Przecież to jest bzdura! Wszak mamy mnóstwo śledczych w stanie spoczynku – czy oni mają teraz dowolnie prowadzić śledztwa, wydawać postanowienia o zatrzymaniu osób, przeszukaniu, wysyłać akty oskarżenia? Prokurator regionalny, a raczej osoba, która taką funkcję piastuje, wcale nie chciał wywrzeć określonego efektu w sądzie. Jeżeli teraz Sąd Apelacyjny podzieli stanowisko Sądu Okręgowego i nie uwzględni zażalenia prokuratora regionalnego, to owoce tego śledztwa rzeczywiście trafią do kosza. Będzie prawomocne umorzenie.

eprasa.pl 0d93b09f36

Czy takich przypadków jest więcej?

Mamy jeszcze jedną sprawę prowadzoną przez panią Zapaśnik, a dotyczącą zorganizowanej grupy przestępczej. Tam złożono wniosek o umorzenie postępowania.

I kolejny – o 2 mln zł odszkodowania od pani prokurator za prowadzenie czynności wobec jednego z oskarżonych, gdy rzekomo nie miała do tego prawa.

Widzi pan, do czego doprowadziło niezgodne z prawem postępowanie Adama Bodnara? Kłopoty pani Zapaśnik wynikają bezpośrednio z takiej interpretacji prawa przez ministra, na podstawie której postanowił pozbyć się Dariusza Barskiego. Skutków tego będziemy mieli coraz więcej w prokuraturach w całym kraju. Przestępcy będą podnosili łby i teraz to oni będą ścigać śledczych.

„[...] polecam niezwłoczne, każdorazowe informowanie mnie o poleceniach [...] kierowanych do prokuratur regionalnych, okręgowych i rejonowych przez zastępców Prokuratora Generalnego" – napisał minister Bodnar do prokuratorów regionalnych. O czym świadczy to pismo?

Pan prokurator Bodnar próbuje cenzurować wszelkie kompetencje swoich zastępców i określać, które ich decyzje są właściwe. A wystarczyłoby, gdyby z nami rozmawiał. Jeżeli ma inne zdanie w jakiejś sprawie, niech wyda zgodne z prawem polecenie, a nie odwołuje się do cenzury. Prokurator generalny Zbigniew Ziobro regularnie spotykał się z zastępcami, czasem rozmawialiśmy wiele godzin. Gdyby chciał nam narzucać swoją wolę, toby z nami nie dyskutował. Choćby to świadczy o pewnym pójściu na skróty albo raczej nieliczeniu się z tzw. elementarną kulturą urzędowania.

A jak w tym przypadku jest z przestrzeganiem prawa? Przecież Adam Bodnar zasiada jednocześnie w Senacie.

Jako senator nie może wykonywać czynności prokuratorskich. Czym innym jest bowiem sprawowanie funkcji prokuratora generalnego, który jednak nie prowadzi sam żadnych postępowań, a czym innym angażowanie się w decyzje typowo śledcze. A to właśnie miało miejsce. Prokurator generalny, twierdząc, że jest osobą apolityczną, oderwaną od bieżących wydarzeń politycznych, wykonywał czynności w postępowaniach cywilnych inicjowanych przez prokuraturę, a mianowicie przejmował sprawy do prowadzenia.

> Boję się, że za chwilę może dojść do sytuacji, gdy bez sądu będzie się kogoś próbowało pozbawić wolności

Ma pan na myśli śledztwa w sprawie zamachu na media publiczne.

Tak. Prokurator Ziobro nigdy czegoś takiego nie robił. Poza tym jeżeli chodzi o jego bezpośredni wpływ na prokuraturę, to w ciągu ośmiu lat wydał może 20–30 poleceń, a prokurator Bodnar tylko do końca stycznia już ponad 100. Ja sam otrzymałem ich kilkanaście.

Jaka powinna być konsekwencja takiego zachowania z jego strony? Złożenie mandatu?

Wolałbym, aby po prostu przestrzegał prawa, był prokuratorem generalnym, który uznaje i rozmawia ze wszystkimi swoimi zastępcami. Dla dobra obywateli, dla Polski i jej stabilności prawnej.

Czy jest możliwe, by rząd – a zwłaszcza premier i minister sprawiedliwości – nie wiedzieli, że przekraczają przepisy? By działali w dobrej wierze?

Nie ma czegoś takiego jak dobra wiara, kiedy w grę wchodzi takie łamanie przepisów. Oni zresztą nie powołują się na to, że działają w jakimś nadzwyczajnym stanie. Prokurator generalny powtarza jak mantrę, że przywraca praworządność, a niestety w obszarze mi znanym często jest odwrotnie.

Na posiedzeniu zarządu PO Donald Tusk miał mówić swoim podwładnym, że „jeśli dadzą ciała, to do władzy wróci PiS, a wszyscy obecni na sali pójdą siedzieć". To raczej oznaka, że szef rządu doskonale wie, co robi – łamie prawo.

Jeżeli taka wypowiedź padła, to jest przerażająca. Byłoby to pokazanie, że owszem, posunęliśmy się o kilka kroków za daleko, ale w tym łamaniu prawa będziemy się posuwać jeszcze dalej. Boję się, że za chwilę może dojść do sytuacji, gdy bez sądu będzie się kogoś próbowało pozbawić wolności.

Mieliśmy już uwięzienie dwóch posłów, wobec których Sąd Najwyższy orzekł, iż mają mandaty.

W dodatku zatrzymano ich w pałacu prezydenckim. Tu też śledztwo z urzędu wszczęła warszawska prokuratura, a teraz jest ono w martwym punkcie. Przypuszczam, że zostanie umorzone. Podobnie jak postępowanie w sprawie nielegalnych działań związanych z próbą odsunięcia od kierowania Prokuraturą Krajową Dariusza Barskiego, w której zawiadomienia złożyli wszyscy zastępcy prokuratora generalnego. To śledztwo zostało zabrane prokuratorowi, który ośmielił się je prowadzić. A nam przecież nie chodziło o to, by oskarżać prokuratorów Bilewicza czy Bodnara, lecz aby wyjaśnić kulisy tego siłowego przejęcia prokuratury 12 stycznia. Wciąż nie znamy odpowiedzi na pytanie, co się wydarzyło tego dnia. Dlaczego do godz. 15.00 pan Bodnar uznawał Dariusza Barskiego za prokuratora krajowego, a dwie godziny później już nie? Przecież dosłownie dzień wcześniej, 11 stycznia, wskazał, że prokurator Barski ma pełne kompetencje do powoływania prokuratorów i asesorów. Dzień później już ich nie miał. Co się stało w ciągu tych kilku godzin? Kiedy w tym okresie premier podpisał tę rzekomą nominację na p.o. dla pana Bilewicza, czy z nim rozmawiał i o czym? To miało wyjaśnić śledztwo.

eprasa.pl 0d93b09f36

Obraz, który wyłania się z pańskich słów, jest wstrząsający. Bezprawne decyzje, naciski, represje, umarzanie śledztw niewygodnych dla władzy, czystki kadrowe powodujące zablokowanie postępowań.

Mało tego, kilkaset etatów asesorskich zostało zagwarantowanych na ten rok jeszcze przez poprzedni rząd. Teraz są one przekształcane na etaty prokuratorów w regionach, krajówce. Pod płaszczykiem przywracania godności zabiera się młodzieży możliwość objęcia zaszczytnego stanowiska asesora bądź prokuratora prokuratury rejonowej. Tylko po to, by ktoś otrzymał tytuł, na jakim mu zależy – mimo że w 2016 r. nikt mu nie obniżył pensji. Mamy więc tytułomanię. Znam przykład z jednej z prokuratur regionalnych, do której na funkcję naczelnika jednego z wydziałów powróciła pani niepotrafiąca posługiwać się komputerem.

Co znaczy, że nie potrafi posługiwać się komputerem?

Dyktuje wszystko sekretarce albo pisze ręcznie.

Dokąd doszliśmy? W jakich państwach obowiązują takie reguły, o jakich pan opowiada?

Na pewno w żadnym państwie europejskim. Ale na świecie takie znajdziemy. Nazywamy je państwami totalitarnymi.

Weszliśmy na tę ścieżkę?

Jeżeli to będzie postępować dalej w takim tempie, rzeczywiście zbliżymy się do państwa totalitarnego. Jeżeli za chwilę środowiska biznesowe zorientują się, że nie mają gdzie dochodzić sprawiedliwości, to państwo zacznie się nam rozsypywać na wszystkich poziomach. Jaki inwestor zaryzykuje pieniądze, nie mając pewności, że organy ścigania i wymiar sprawiedliwości funkcjonują zgodnie z prawem?

Na początku marca „GW" napisała, że prokuratura miała swojego Pegasusa. Chodzi o system Hermes – narzędzie do analizy ogólnodostępnych źródeł w internecie. Szybko wydał pan oświadczenie, że nie prowadzono żadnej inwigilacji za pośrednictwem Hermesa, bo ten system nie daje nawet takich możliwości. Ale minister Bodnar wie swoje i mówi: „Z tych informacji, które mam do tej pory, wynika, że to nie był tylko środek służący do »białego wywiadu«. To naprawdę za dużo kosztowało i miało za dużo różnych funkcji, żeby mogło służyć tylko do »białego wywiadu«". Co pan na to?

Może pan prokurator Bodnar i jego zaplecze wiedzą więcej na temat tego programu niż ja.

> Pod płaszczykiem przywracania godności zabiera się młodzieży możliwość objęcia zaszczytnego stanowiska asesora bądź prokuratora prokuratury rejonowej

Ale to pan go używał w pracy.

Oczywiście i nie wahałem się tego robić. To jest doskonałe narzędzie analityczne, które kosztowało tyle, ile porównywalne programy dostępne na rynku. Ale Hermes dawał najszersze możliwości, jeśli chodzi o analizę ogólnodostępnych źródeł. Ponadto nie zawierał elementów nieprzydatnych dla prokuratury, np. pozwalających tworzyć awatary, fałszywe historie na kontach społecznościowych czy przenikać do zamkniętych grup na forach. Od takich działań jest policja. Potrzebowaliśmy systemu, który uporządkuje dane dostępne w internecie, wstępnie zweryfikuje ich pochodzenie i wiarygodność. Proszę sobie wejść na platformę X [d. Twitter] i spróbować szybko znaleźć tam coś opublikowanego przed wieloma miesiącami. Nie sposób.

Hermes sobie z tym radził?

Doskonale! Weźmy np. cyberataki przypuszczane z jakichś fejkowych kont. Wstępna selekcja za pomocą Hermesa umożliwia ukierunkowanie postępowania w takich sprawach. Program oferuje też informacje z darknetu, w którym funkcjonują najgroźniejsi przestępcy, czy z tzw. baz wyciekowych, np. z Krajowej Szkoły Sądownictwa i Prokuratury, albo ze sklepów internetowych. Każdy użytkownik sieci może dotrzeć do tych informacji, ale zajmie mu to mnóstwo czasu. Hermes skracał poszukiwania do minimum. Co więcej, rok temu każdy prokurator, asesor czy aplikant mógł wziąć udział w szkoleniu prowadzonym online przez Prokuraturę Krajową z zastosowania tego programu. Mnóstwo osób się na to zdecydowało. Wśród śledczych powszechna jest wiedza, po co nam to narzędzie. Również prokuratorzy ze stowarzyszenia Lex Super Omnia korzystali z analiz Hermesa. Dziś mamy do czynienia z czarnym PR w sprawie tego systemu, by odwrócić uwagę od ważniejszych kwestii.

Za czarny PR możemy uznać tekst w „Wyborczej". Ale gdy prokuratura w Rzeszowie wszczyna śledztwo i sprawdza, kogo inwigilowaliście Hermesem, to jest coś więcej.

Ale niczego nie znajdzie. Straci czas i pieniądze. Nie tylko swoje, lecz także służb specjalnych.

One też są zaangażowane w tę sprawę?

Z tego, co wiem, w tych dniach trwają czynności ABW w Prokuraturze Krajowej. Zatrzymuje się nośniki danych, komputery, plombuje pomieszczenia ekspertów ds. analizy kryminalnej, przeszukuje i przesłuchuje świadków. Jeśli rzeczywiście chodzi wyłącznie o Hermesa, to można się tylko złapać za głowę. Mamy bowiem wojnę za wschodnią granicą, a funkcjonariusze ABW zajmują się pokazówką w PK. Można być tym przerażonym.

Druga część wywiadu z prokuratorem Michałem Ostrowskim na portalu wPolityce.pl.

eprasa.pl 0d93b09f36

Agenci globalizmu

Ostatnie Pokolenie brzmi jak nazwa apokaliptycznej sekty. Zniszczyli warszawską Syrenkę i przerwali koncert w Filharmonii Narodowej. Na świecie uderzają w miliony zwykłych ludzi, a działają na korzyść garstki bogatych. To agentura globalizmu

MACIEJ WALASZCZYK

„Idiotki", „ostatnie pokolenie debili", „może dobrze, że ten świat się kończy", „niech to naprawdę będzie ostatnie pokolenie", „ostatnie pokolenie kretyńskiego wandalizmu", „ciekawe, czy to za ruski, czy chiński hajs?". To tylko mała część reakcji na szokujące w wymowie zniszczenie farbą pomnika warszawskiej Syrenki i zakłócenia koncertu w Filharmonii Narodowej.

W Europie organizacje o tej samej nazwie celowo blokują ulice, którymi codziennie rano tysiące samochodów wjeżdżają do centrów miast. Ludzie się denerwują, a policja bezradnie pozwala na bezkarność. Choć potrafi być brutalna i bezwzględna dla działaczy pro-life czy rolników. W Niemczech przed świętami niszczono choinki bożonarodzeniowe, a wcześniej fasady Bramy Brandenburskiej czy bazyliki św. Marka w Wenecji. Celem ataków stają się bezcenne obrazy – symbole europejskiego dziedzictwa kulturalnego. Półtora roku temu w Galerii Narodowej w Londynie młodociani z ruchu Just Stop Oil oblali zupą pomidorową „Słoneczniki" van Gogha i przykleili się klejem do ściany. Dwóch innych w Monachium przykleiło się do ramy XVII-wiecznego obrazu Petera Paula Rubensa „Masakra niewinnych", podobne akcje miały miejsce w galeriach we Frankfurcie i Dreźnie. W styczniu br. dwie aktywistki klimatyczne oblały zupą pomidorową „Mona Lisę" w paryskim Luwrze.

Tymi samymi metodami posługują się też przeciwnicy wojny izraelsko-palestynskiej, którzy kilkanaście dni temu zniszczyli obraz lorda Balfoura na Uniwersytecie Cambridge.

CZEKA NAS TO SAMO?

Po dewastacji Syrenki pojawiło się nawet rejtanowskie w duchu oświadczenie ministra kultury sprzeciwiające się tego rodzaju akcjom. Jest chichotem historii, że 35 lat temu działacze ruchu Wolność i Pokój, w którym Bartłomiej Sienkiewicz brał udział, grupy w założeniu anarchistyczno-pacyfistycznej, a w efekcie w 1990 r. zasilającej szeregi policji politycznej III RP, jeszcze chwilę wcześniej zwalczali budowę elektrowni atomowej w Żarnowcu. Wtedy również były happeningi, protesty, blokady i rozhisteryzowane dziewczyny mówiące o końcu świata. Wówczas młodzi także podnosili argument, że są ostatnim pokoleniem, które może coś zrobić dla „matki Ziemi", a ktoś przy pomocy podatnej na wzniosłe hasła młodzieży wyciągał w ten sposób polityczne korzyści. Dziś jest podobnie.

Niszczenie arcydzieł kultury – pomników, obrazów, elewacji, przyklejanie się do jezdni – ma pobudzić do refleksji nad mającą się rozgrywać wokół nas katastrofą klimatyczną. Wywołuje jednak irytację i bezsilną złość. Instynktownie czujemy, że próbują nas pouczać niedojrzali dorośli z bezpiecznych domów, w rzeczywistości niedający nadziei na przyszłość. Jesteśmy przedmiotem wyrafinowanej gry, której stawką są nasza wolność, zasoby, pieniądze, przyszłość.

WITAMY W DOMU WARIATÓW

Czy państwo również odczuwają „straty ekologiczno-klimatyczne jak

eprasa.pl 0d93b09f36

śmierć kogoś bliskiego"? Objawiają się one podobno w syndromie „żałoby klimatycznej", „nieustannej solastalgii", a więc w egzystencjalnym cierpieniu spowodowanym zmianami środowiskowymi, „dystresie klimatycznym" i „stresie pretraumatycznym". Podobno doświadczanie i przeżywanie „żałoby zorientowanej na środowisko naturalne" jest kluczowym elementem przejścia od wiedzy na temat konsekwencji antropogenicznych zmian klimatu do radykalnych działań. Tego rodzaju prace ukazują się pod maską naukowych także w Polsce. Intuicja wkurzonych internautów jest trafna – ci ludzie zostali już zdefiniowani jako ofiary „psychologii kryzysu klimatycznego". W tym kontekście ich działania są więc całkowicie uzasadnione. Katastroficzna propaganda, także fundowana w szkołach pod szyldem proekologicznej edukacji, powoduje, że u niektórych pojawiają się zaburzenia psychiczne na tym tle: depresja, zespół stresu pourazowego czy zaburzeń lękowych. Greta Thunberg i jej międzynarodowa kariera aktywistki ruchu Fridays For Future od początku była jakimś medialnym humbugiem naznaczonym tego rodzaju dysfunkcjami. Jednak dewastacje dzieł sztuki, zakłócanie wydarzeń sportowych i kulturalnych, utrudnianie życia przez blokowanie dróg i naiwność dzieci wciąganych w te działania z trudem ukrywają fałsz całego przedsięwzięcia, którego skutki uderzają wyłącznie w zwykłych ludzi. Towarzyszą temu apokaliptyczne wizje końca świata.

Działalność osób, które oblały farbą Syrenkę, poniekąd sponsoruje warszawski ratusz i Rafał Trzaskowski, a więc jądro politycznego establishmentu. Ostatnie Pokolenie wynajmuje 160-metrowy lokal miejski w centrum Warszawy za 25 zł/m². Gniazdo – Centrum Aktywizmu Klimatycznego to jeden z wielu przykładów finansowania skrajnej lewicy przez Trzaskowskiego. Zyskali także wsparcie środowisk związanych z „Gazetą Wyborczą", a ich działania są ukazywane jako „kontrowersyjne", ale potrzebne.

Ostatnie Pokolenie i wszystkie inne tego rodzaju organizacje wpisują się też w tradycję tzw. kawiorowej lewicy, którą od pewnego czasu we Francji określa się jako „gauche bobo" – lewica bobo. Takiej, która utraciła kontakt z rzeczywistością, a jej działalność obsługuje interesy wielkiego biznesu. Chcą tego samego, co forsują czerwono-zielone elity UE i ich odpowiednicy z globalnych agend. Chodzi o ograniczenie poruszania się samochodami spalinowymi, rezygnację z paliw kopalnych, ograniczanie produkcji mięsa i promocję weganizmu. W Niemczech również zaczęło się od wezwań do zwiększenia inwestycji w transport, a kończy na postulacie wprowadzenia limitu prędkości 100 km/h na autostradach.

Działalność ekstremizmu klimatycznego jest finansowana przez Climate Emergency Fund, organizację charytatywną z siedzibą w Beverly Hills, powiązaną z gwiazdami Hollywood i czołowymi liberalnymi organizacjami non-profit związanymi z Partią Demokratyczną. Ostatnie Pokolenie, działające m.in. w Niemczech, Austrii, Włoszech i Polsce, stanowi część finansowanej przez CEF sieci A22, do której należą im podobne organizacje, takie jak Extinction Rebellion, School Strike for Climate, Sunrise Movement czy Declare Emergency. Ta ostatnia nazywa zależność od paliw kopalnych „ludobójczą" oraz „przestępczą" i to ona przyznała się do rozmazania farby na gablocie rzeźby w National Gallery of Art w Waszyngtonie.

Sponsorami CEF są m.in. Rory Kennedy, córka zmarłego senatora Roberta F. Kennedy'ego, Aileen Getty, filantropka, miliarderka i dziedziczka fortuny rodziny Getty, zbudowanej na przemyśle naftowym, a nawet Adam McKay z Hollywood, który we wrześniu 2022 r. zadeklarował przekazanie organizacji 4 mln dol. i wyreżyserował „Nie patrz w górę", film w klimatach alegorycznej apokalipsy przeznaczonej dla masowego odbiorcy. Do fundatorów CEF zaliczają się także znany z serialu „Sukcesja" Jeremy Strong, komik Chelsea Handler, aktor i gwiazda „Doliny Krzemowej" Thomas Middleditch oraz Abigail Disney, córka byłego dyrektora Walt Disney Company. Na czele organizacji stoi natomiast Margaret Klein Salamon, z zawodu... psycholog kliniczny, która na skalę globalną lansuje wspomniane wyżej psychologiczne diagnozy „klimatycznej żałoby", „wprowadzenie społeczeństwa w tryb awaryjny", stosując „komunikację kryzysową", „taktykę bojową".

NIEMIECKI PROBLEM Z EKSTREMIZMEM

Lewicowy radykalizm od czasów reformacji ma w Niemczech długą tradycję. Jednak zielony terroryzm stał się w pewnym momencie nie do zniesienia, nawet gdy rządzi tam SPD w koalicji z Zielonymi. Niemiecką odnogą Ostatniego Pokolenia (Letzte Generation) w końcu zajęła się policja. Wszystko w związku z atakami na rafinerię PCK w Schwedt, gdy rok temu zakręcili zawory, zakłócając tym samym dostawy ropy naftowej. Na niektórych ciąży zarzut tworzenia organizacji przestępczej, a monachijski sąd, który legalizował inwigilację ich rozmów telefonicznych, stwierdził, że jej powodem było popełnienie przestępstw, które „nie były środkiem swobodnej, demokratycznej i konstytucyjnej dyskusji". Berlińska administracja domaga się od organizacji prawie 150 tys. euro plus odsetki za zniszczenie elewacji Bramy Brandenburskiej. Jej usuwanie na koszt podatników okazało się kosztowne i trudne, ponieważ ekstremiści użyli farby na bazie rozpuszczalników, która głęboko wniknęła w piaskowiec. Łącznie przeciwko nim toczy się ok. 4 tys. postępowań karnych. Większość wyroków skazujących dotyczy blokad dróg, które jest kwalifikowane jako wymuszenie. Również spółki związane z Lufthansą zażądały od organizacji 740 tys. euro odszkodowania. To oczywiście konsekwencja blokad ruchu na lotniskach w Berlinie, Düsseldorfie i Monachium.

Nie ma idei tak głupiej, w którą nie uwierzą ludzie schyłkowego Zachodu. Szczególnie dotyczy to mieszkańców wielkich miast, w tym ludzi młodych, którzy znaleźli się w ideowej i religijnej próżni. Analfabeci z licencjatem, proletariat zastępczy, którym manipulują silni i bogaci.

Fot. Piotr Molecki/East News

eprasa.pl 0d93b09f36

Jak się oprzeć agenturze wpływu?

Agentura wpływu prowadzi obliczoną na długie lata dywersję informacyjną. Dyskretnie sączy swój jad w środowiskach decyzyjnych i opiniotwórczych, powoli popychając je w kierunku samozniszczenia lub zniszczenia struktur państwa. Polacy potrafili się jej oprzeć w formie „organizacji bez organizacji"

Z dr. Rafałem Brzeskiem, ekspertem ds. tajnych służb, rozmawia Jakub Augustyn Maciejewski

Czym jest właściwie agentura wpływu? Czym się różni od tradycyjnych szpiegów?

Rafał Brzeski: Tradycyjny szpieg zbiera informacje. Agent wpływu nie zbiera informacji, tylko je rozpowszechnia. Najczęściej prawdziwe, ale wplecione w niszczącą narrację. Kolportuje też informacje zmanipulowane i sfabrykowane. Agentura wpływu prowadzi obliczoną na długie lata dywersję informacyjną. Dyskretnie sączy swój jad w środowiskach decyzyjnych i opiniotwórczych, powoli popychając je w kierunku samozniszczenia lub zniszczenia struktur państwa.

Gdyby pan podejrzewał niektórych naszych polityków o agenturę wpływu, a z powodu prawa nie możemy tu typować kandydatów, którą z motywacji by pan im przypisał: worek, korek czy rozporek? Przypomnijmy, że to pierwsze oznacza przekupstwo, drugie alkohol, a trzecie kobiety (choć w przypadku „piątki z Cambridge" chodziło raczej o mężczyzn).

Ostrożnie, bo feministki pana rozszarpią, ale byłby to lincz mało zasadny, gdyż rozporek gra najmniejszą rolę. Liczy się worek, w wulgarnie bezpośrednim sensie wypełnionych reklamówek, na równi z korupcją w niemonetarnych kategoriach awansu społecznego, zawodowego, profesjonalnego czy twórczego. Nie bez znaczenia jest też masowanie ego, ekscytacja wizją salonów, w czasach sowieckich przeniesienia do wyższej nomenklatury, a obecnie do wyższego kręgu wtajemniczenia.

Czy Rosja pozostaje najlepszym werbunkowym agentury wpływu? Kiedyś jednym z rodzajów ich paliwa była ideologia wiecznej sprawiedliwości, dziś tego czynnika mobilizacyjnego już nie ma.

Czasy ideologii dawno minęły. Nawet gretynizm (od Grety Thunberg) już się powoli wypala i zostają tylko zapóźnieni – ci, którzy się jeszcze nie połapali i nadal wrzeszczą, kiedy inni już pozwijali transparenty. Jedynym paliwem zostaje wymierny wsad do worka. Pozostałe kategorie, czyli korek i rozporek, używane są tylko jako narzędzia zdobywania kompromatu celem skrócenia czasu werbunku, zaś w werbunku na zasadzie kompromatu Rosjanie to rzeczywiście specjaliści wysokiej klasy. Przecież te czapki z napisem „Aurora" same nie spadły z nieba na głowy. Ktoś w Petersburgu się o to zatroszczył.

Rosyjska inwazja na naszego wschodniego sąsiada, operacja białoruskiego KGB z użyciem nielegalnych imigrantów, polaryzacja

eprasa.pl 0d93b09f36

Fot. Materiały prasowe

polskiego społeczeństwa – czy jest lepszy kraj dla obcych agentur niż Polska?

Nie wiem. Może istnieje. Wiem, że wielcy tego świata, realni lub nadymani, postanowili go przebudować, a Polska i Polacy znów są dla nich zawadą. Nowe technologie komunikowania się oraz pojmowanie sprawiedliwości wedle wstecznych norm, a nie „tak jak my je rozumiemy", utrudniają im prostą anihilację Polaków. Trzeba więc nasłać agenturę i zrobić to w białych rękawiczkach, a najlepiej, żeby Polacy wykończyli się sami.

W książce „Wojna informacyjna – wojna nowej generacji" opisuje pan agentów wpływu, którzy dysponowali gazetami, wydawnictwami, mandatami w krajowych parlamentach. Ale dziś agentem wpływu może być nawet tiktoker czy prezenter telewizji internetowej, który ma duże zasięgi i dyskretne wsparcie rosyjskich trolli. W szumie informacyjnym XXI w. jeszcze trudniej zidentyfikować takiego agenta wpływu czy też powstrzymać intoksykację jego treściami.

Biblijni „przedniejsi kapłani i starsi" sami „namawiali tłumy". Obecnie robią to cyniczni spryciarze, wynajęci przez bogatych i rządzących. Dla pieniędzy, iluzji władzy lub popularności szerzą w mediach pełne emocji narracje i dezinformacje zamiast prawdy oraz solidnych ocen. Brną w kłamstwo i samozakłamanie. Tak wtedy, jak i teraz kolporterzy kłamstwa wykorzystują chęć odbiorców do poznania prawdy. Ludzie chcą wierzyć, że jest nią to, co im się prezentuje. Mają przy tym zbyt mało czasu i wiedzy, aby szybko rozpoznać kłamstwo. O ten brak czasu starają się ci, którzy na wszelkie sposoby zmuszają ludzi do gonitwy za żywnością, dobrami materialnymi i przyjemnościami Brak wiedzy zabezpieczają osoby, które tną programy nauczania, aby młodzi ludzie nawet nie wiedzieli, czego szukać.

Kiedy jednak dociera w końcu do ludzi, że dali wiarę, a zostali oszukani, i tak nadal wierzą „na 50 proc.", bo bardzo trudno jest się przyznać przed samym sobą, że wystrychnięto nas na dudka. Trzeba to jednak zrobić, jeśli chce się być człowiekiem wolnym, a nie eksploatowanym zasobem ludzkim. Istnieje bowiem taki punkt, z którego nie tylko pojedynczy człowiek, lecz także cały naród nie ma już odwrotu, a wówczas problemem nie jest agresywna i hałaśliwa ekstrema, ale apatyczna większość, która bezwolnie pozwala sterować swymi mózgami i narzucać sobie przekonanie, że nie ma wyjścia i tak już musi być. Na moim podwórku nazywano takich przed laty „ciemna masa".

Gdybyśmy mieli opisać doskonałego agenta wpływu, to którego z klasyków współpracy z KGB byśmy wskazali? Pierre-Charles Pathé z jego dyskretnie prosowieckim biuletynem dla francuskich elit? Philip Agee z teoriami spiskowymi o CIA? Co charakteryzowało ich oddziaływanie?

Obaj byli różni ze względu na rynek, na którym działali. Pathé „obrabiał" polityków. Wpływał na decydentów i ludzi wpływowych, zorientowanych w międzynarodowym układzie sił. Musiał działać subtelnie. Agee agitował zbuntowane młodzieżowe masy sprzeciwiające się wojnie

eprasa.pl 0d93b09f36

w Wietnamie. Dla jego amerykańskich odbiorców istotniejsza była zapewne obawa przed kartą poboru i pójściem w kamasze niż odraza do matactw CIA. Dla młodych odbiorców europejskich istotniejsze były adresy domów personelu amerykańskiego wywiadu rezydującego w poszczególnych krajach, gdyż ułatwiały demonstracje. Dla sowieckich mocodawców agenci wpływu obu kategorii byli cenni, ponieważ gwarantowali chaos, a w mętnej wodzie kremlowskie ryby czują się najlepiej.

Jaka jest dzisiaj granica między agenturą wpływu a państwowym soft power? Możemy sobie wyobrazić komentatora czy nawet polityka, który ma na koncie pieniądze od Zjednoczonych Emiratów Arabskich za analizy albo polityka czy dziennikarza, który był jedynie na szkoleniach Fundacji Gorczakowa w Moskwie. A to, że jeden uderza w Amerykę na europejskim forum, a drugi uderza teoriami spiskowymi w broniącą się Ukrainę, po prostu jest przypadkiem.

W świecie służb wywiadowczych istnieje wiele maksym o przypadkach, ale wszystkie sprowadzają się do stwierdzenia, że w zasadzie nie ma przypadków niekontrolowanych.

Jakie treści agentura wpływu w Polsce miałaby teraz rozpowszechniać, by osłabić naszą suwerenność i zdemontować mechanizmy obronne?

Polska jako państwo nie ma już suwerenności. Została strzaskana przez rządzącą obecnie tłuszczę dyplomowanych parobków i tylko jej szczątki unoszą się jeszcze na morzu kłamstwa. Suwerenność pozostała jedynie w świadomości poszczególnych obywateli Rzeczypospolitej i to daje nadzieję na jej odtworzenie. Połączenie tych małych suwerenności indywidualnych najpierw w wolę odzyskania, a potem dążenie do suwerenności grupowej jest jeszcze możliwe, ale trzeba działać szybko. Zanim rządzący skutecznie zamienią w programach szkolnych pamięć o suwerenności w naukę kopulacji.

Jako jedną z recept na opór wobec obcych wpływów podaje pan tworzenie „organizacji bez organizacji". Brzmi jak oksymoron. Jakie znamy przykłady takiego tworu, który by działał skutecznie?

„Organizacja bez organizacji" to ruch społeczny bez sztywno określonej struktury, bez wertykalnej hierachii, bez organizacyjnego zaplecza materialnego. Ruch, którego cementem są jedność wartości, chęć utrzymania tych wartości, wola dokonania zmian dla zachowania wyznawanych wartości, wiedza oraz wola zdobywania tej wiedzy, determinacja w osiągnięciu postawionego sobie samemu celu. Taka radykalna decentralizacja sprawia, że dopóki istnieje wspólna myśl i obowiązuje zasada przestrzegania wspólnego katalogu wartości, dopóty organizacja jest praktycznie nie do rozbicia. Bo jej nie ma. Do pewnego stopnia „organizacją bez organizacji" jest ruch MAGA, popierający Donalda Trumpa. Przetrwał już cztery lata, mimo prób rozbicia, wyśmiania, ukarania, wykluczenia. Ma symbol, ale nie ma ani hierarchii ani formalnej organizacji.

> Ludzie chcą wierzyć, że to, co im się prezentuje, jest prawdą. Mają przy tym zbyt mało czasu i wiedzy, aby szybko rozpoznać kłamstwo. O ten brak czasu starają się ci, którzy na wszelkie sposoby zmuszają ludzi do gonitwy za żywnością, dobrami materialnymi i przyjemnościami

A w Polsce? Czy „organizacją bez organizacji" można by nazwać np. ruch katolików wokół pielgrzymek papieskich w PRL albo – na mniejszą skalę – kult żołnierzy wyklętych w połowie poprzedniej dekady? Mieliśmy ten sam zestaw symboli, wartości, bohaterów i rytuałów: modlitwy, zgromadzenia czy marsze, przemówienia, publikacje oraz znaki (np. zdjęcia wyklętych) i to bez odgórnych nakazów.

Ruch katolików wokół pielgrzymek papieskich był spontaniczny, ale pozostawał sterowany przez hierarchię Kościoła. Znacznie bliższy „organizacji bez organizacji" był kult żołnierzy wyklętych, zwłaszcza w powiązaniu z aktywnością grup rekonstrukcyjnych. Wspólnie tworzyły ruch budzenia pamięci o wielkości ducha i siły Rzeczypospolitej. Władcy PRL oraz ich mocodawcy włożyli wiele wysiłku i środków, aby przysypać popiołem tę wielkość, mimo to zakiełkowała na nowo.

Zjawiskową erupcją „organizacji bez organizacji" był wyjazd Polaków na pogrzeb Jana Pawła II. W ciągu sześciu dni od śmierci Ojca Świętego ok. 1,5 mln naszych rodaków wyjechało z Polski do Rzymu i wróciło po pogrzebie. 1,8 tys. km w jedną stronę. Zachodni koledzy z branży pytali mnie wielokrotnie, jak to przygotowano, jaka instytucja kierowała gigantyczną logistyką takiego przesunięcia mas ludzkich, kto rzucił hasło. Trudno im było uwierzyć, że zrobili to anonimowi ludzie z potrzeby serca, zjednoczeni jedną myślą. Upierali się, że ktoś musiał być liderem. Wówczas dotarło do mnie, że mają rację. Lider był, ale tylko duchem, gdyż już nie żył.

Czy widzi pan jakiś zespół wartości, które dziś mógłby nas połączyć w taką „organizację bez organizacji"?

Dzisiaj nie widzę. Na razie narasta masa krytyczna. Ale proszę się nie martwić. Lada dzień rządząca ekipa coś wymyśli i Polacy będą musieli odpowiedzieć.

eprasa.pl 0d93b09f36

Bez kroplówki Ukraina nie przetrwa

Brutalna prawda jest taka, że Ukraina już obecnie jest bankrutem, nie ma pieniędzy na kontynuowanie wojny, normalne funkcjonowanie państwa i odbudowę

MAREK BUDZISZ

Anonimowy ukraiński dowódca, który udzielił niedawno wywiadu niemieckiemu tygodnikowi „Der Spiegel", powiedział, że Rosja ma przewagę inicjatywy na całym froncie, może swobodnie decydować, gdzie atakować, a linie obrony trzymają się jeszcze tylko dlatego, że Moskale nie wszędzie mają potencjał wystarczający do natarcia i nie uderzają z pełną siłą. Podobne oceny formułują analitycy amerykańskiego Instytutu Studiów nad Wojną. Ich zdaniem jeśli dostawy amunicji i uzbrojenia z Zachodu utrzymają się na tak niskim poziomie jak obecnie, w najbliższej przyszłości trzeba się liczyć z ryzykiem szybszych niż do tej pory postępów Rosjan. Konrad Muzyka, polski analityk, który niedawno wrócił z wizyty studialnej na ukraińskiej linii frontu, powiedział Radiu Wolna Europa, że jego zdaniem Rosjanie będą metodycznie zdobywać kolejne miejscowości. O blitzkriegu nie ma mowy, ale dziś Ukraina jest w najgorszym położeniu od połowy 2022 r. O trudnej sytuacji na froncie mówi też gen. Ołeksandr Syrski, który niedawno zastąpił Walerija Załużnego na stanowisku dowódcy ukraińskich sił zbrojnych, a podobne obawy artykułował również w ostatnich dniach William J. Burns, szef CIA.

BRAK AMUNICJI

Powodem takiej sytuacji jest brak amunicji, szczególnie artyleryjskiej, którą Ukraińcy muszą obecnie racjonować. Minister obrony Rustem Umierow skierował niedawno do swych zachodnich partnerów list, w którym prosi o przyspieszenie dostaw, choćby wysłanie przez państwa Unii obiecanego jeszcze wiosną 1 mln sztuk pocisków artyleryjskich kal. 155 mm. Nie będzie z tym łatwo, bo kierujący europejską dyplomacją Josep Borrell powiedział niedawno, że do tej pory udało się pozyskać jedynie 52 proc. z obiecanego 1 mln, mimo że rok, jaki Unia dawała sobie na sfinalizowanie dostaw, już dawno minął, a całość uda się wysłać nie wcześniej niż do końca tego roku. To zdecydowanie niewystarczające tempo dostaw, tym bardziej że ich wielkość jest niższa od deklaracji.

Jak niedawno informowali dziennikarze CNN, w tym roku Rosjanie wyprodukują 2,5 razy więcej pocisków artyleryjskich niż całe NATO razem wzięte, a tylko z Korei Północnej dostaną więcej amunicji niż Kijów od Zachodu. Jak argumentuje Umierow, aby móc powstrzymywać Rosjan, ukraińskie Siły Zbrojne muszą otrzymywać przynajmniej 200 tys. pocisków miesięcznie, których dziś nie ma, bo jak

Fot. Andrzej Skwarczyński

eprasa.pl 0d93b09f36

obliczają niezależni analitycy, dziennie wystrzeliwują oni co najwyżej ok. 5 tys. sztuk.

Jak powiedział dziennikowi „Frankfurter Allgemeine Zeitung" Ołeksandr Kamyszyn, ukraiński minister przemysłu strategicznego, paradoksem obecnej sytuacji jest to, że „Ukraina mogłaby produkować trzy razy więcej sprzętu i amunicji, niż robi to obecnie", ale nie jest w stanie. Dlaczego? Powód jest prosty – nie ma pieniędzy i dlatego nie wykorzystuje się połowy mocy wytwórczych rodzimego sektora zbrojeniowego, który nadal jest niemały, choć nie tak wielki jak za czasów ZSRR, kiedy Ukraina była zbrojownią imperium. Co prawda Zełenski deklaruje publicznie, że chciałby, aby Ukraina znów stała się jednym z największych producentów broni na świecie, ale skokowy wzrost produkcji 500 firm sektora zbrojeniowego, z których 400 to przedsięwzięcia prywatne, jest blokowany przez brak środków w państwowej kasie.

Wynika to z faktu, że międzynarodowa pomoc ekonomiczna, którą pozyskuje Ukraina, nie może być przeznaczana na zakup broni i amunicji, a dochody państwowego budżetu niemal w całości są przeznaczone na kontynuowanie wojny. Jeśli nie wzrosną, to i skala zamówień zbrojeniowych się nie zmieni. W takiej sytuacji kwestia wydolności ukraińskiej gospodarki obok dostaw sprzętu wojskowego z zagranicy staje się kluczowym czynnikiem, jeśli myślimy o utrzymaniu oporu Kijowa. Zmusza to do postawienia pytania, w jakiej kondycji ekonomicznej Ukraina rozpoczęła trzeci rok wojny.

Z analiz Kijowskiej Wyższej Szkoły Ekonomii wynika, że w ub.r. deficyt ukraińskiego budżetu wyniósł 48,1 mld dol. i gdyby nie pomoc zagraniczna, Kijów nie byłby w stanie sfinansować podstawowych wydatków państwa. 52 proc. środków, którymi dysponuje budżet, przeznacza się na cele wojenne i przekazuje Ministerstwu Obrony, a dodatkowe 13 proc. jest przeznaczane na inne wydatki związane z bezpieczeństwem. W praktyce oznacza to, że Kijów przeznacza całość własnych dochodów na wojnę, a państwo może funkcjonować

wyłącznie dlatego, że dociera do niego międzynarodowa pomoc finansowa. Ukraina wydaje 22 proc. swego PKB na kontynuowanie wojny.

Eksperci zwrócili uwagę na fakt, iż w ub.r. wykonanie ukraińskiego budżetu było znacznie gorsze od założeń. Rząd Szmychala planował bowiem deficyt na poziomie 35,4 mld dol. Pomoc Zachodu była znacząca, ale i tak miesięczne wydatki przewyższały dochody o 3,1 mld dol. Jeśli wsparcie nie napływa lub pojawiają się zakłócenia w rytmiczności, sytuacja szybko się pogarsza.

Niewiele wskazuje na to, że w najbliższym czasie może się to zmienić na lepsze – raczej przeciwnie, należy się spodziewać pogłębienia problemów. W pierwszym roku wojny ukraińskie PKB spadło o ponad 30 proc., w ubiegłym wzrost osiągnął, według analiz Międzynarodowego Funduszu Walutowego, poziom 5 proc., ale to i tak oznacza, że produkt krajowy jest dziś o jedną czwartą mniejszy w porównaniu z ostatnim rokiem pokoju.

Przyczyny są dwie – okupacja przez Rosjan 18 proc. terytorium i zniszczenia wywołane nalotami w pozostałej części kraju oraz wojenna emigracja, która spowodowała, iż dziś na Ukrainie przebywa, jak się oblicza, ok. 28 mln ludzi. Zdolnych do pracy jest znacznie mniej, bo 17 mln to emeryci i niepracująca młodzież.

Nicolas Bouzou, francuski ekonomista, który badał sytuację gospodarczą Ukrainy, jest zdania, że w związku z wojną każde przedsiębiorstwo straciło – biorąc pod uwagę tylko to, że mężczyźni poszli walczyć – od 10 do 20 proc. swoich pracowników. Sytuacja jest paradoksalna, bo w kraju nadal panuje 20-proc. bezrobocie, ale poziom inwestycji, w tym skala kredytów bankowych dla firm, jest najniższa w historii ze względu na wojnę.

ILE KOSZTUJE POBÓR?

Na koniec marca Rada Najwyższa wyznaczyła termin głosowania nowelizacji ustawy o mobilizacji, co zdaniem ekspertów i tak jest spóźnionym działaniem. Przede wszystkim dlatego, że walczące oddziały potrzebują pilnego zluzowania, odpoczynku i czasu na regenerację sił. „Dwa lata nie miałem przerwy, walczymy bez rotacji – oczywiście morale jest niskie i to zabija motywację – powiedział dziennikowi „The Financial Times" Ilja, który służy w brygadzie szturmowej. – Aby odpo-

Fot. Anna Bohdan/Shutterstock.com

eprasa.pl 0d93b09f36

wiednio odpocząć, potrzebujemy rotacji lub normalnych wakacji".

Ukraina planuje powołanie pod broń 500 tys. osób. To jednak nie wpłynie korzystnie na gospodarkę, tym bardziej że, jak wynika z analiz będących w posiadaniu komisji Rady Najwyższej, z 11,1 mln mężczyzn w wieku 25–60 lat, którzy mogą służyć w wojsku, nadaje się do tego tylko 3,7 mln. Pozostali cierpią na różnego rodzaju przewlekłe schorzenia. Te liczby wiele mówią o nastrojach tych, którzy nie zgłosili się do armii na ochotnika. Mobilizacja może zatem oznaczać nie tylko zabranie z rynku pracy 500 tys. osób, lecz także należy się spodziewać kolejnej, tym razem nielegalnej fali migracyjnej, zasilonej przez tych, którzy nie chcą iść walczyć.

To z tego powodu na Ukrainie zaczyna się mówić o mniej lub bardziej przymusowym ściągnięciu z emigracji tych, którzy opuścili kraj po rosyjskiej agresji. Serhij Łeszczenko, doradca Andrija Jermaka, szefa administracji Zełenskiego, wywołał skandal, kiedy w wywiadzie dla niemieckiej prasy powiedział, że państwa Zachodu powinny wstrzymać pomoc dla ukraińskich uchodźców, bo tego rodzaju krok może skłonić niektórych z nich do powrotu. Od tych słów zaczęli się oficjalnie dystansować przedstawiciele rządu, mając świadomość, że tego rodzaju propozycji nie poprą państwa wspierające Ukrainę. Jarosław Guzy, nasz ambasador w Kijowie, powiedział w wywiadzie, że „Polska będzie absolutnie neutralna" w kwestii powrotu ukraińskich migrantów. Podobne stanowisko zajmują też inne kraje Unii Europejskiej.

Oznacza to, że mobilizację – jeśli migranci nie wrócą, a na to się nie zanosi – z pewnością odczuje ukraińska gospodarka. Trudno przewidzieć, jak silny będzie to cios, trudno przewidzieć, ale doświadczenia Izraela, który w związku z wojną z Hamasem powołał pod broń 200 tys. rezerwistów, są wymowne. W czwartym kwartale ub.r. gospodarka kraju skurczyła się o 20 proc., rząd Netanjahu został zmuszony do zamrożenia wydatków i myśli o podniesieniu podatków, a dług publiczny ma wzrosnąć o 60 mld dol.

W związku z wstrzymaniem amerykańskiej pomocy ekonomicznej również na Ukrainie zaczyna się planować oszczędności i podniesienie podatków. Szacunki ekonomistów, na które powołuje się „Financial Times", mówią o tym, że tylko koszty żołdu, podstawowego wyposażenia osobistego i wyżywienia 500 tys. żołnierzy, których państwo chce powołać pod broń, wyniosą w br. 8,6 mld dol., pogłębiając nierównowagę ukraińskiego budżetu. Roksolana Pidlasa, kierująca komisją finansów publicznych w Radzie Najwyższej, jest zdania, że w takiej sytuacji niezbędne będzie podniesienie podatków, zaciśnięcie pasa w administracji publicznej i sprzedaż aktywów państwowych. To jednak może nie wystarczyć, bo od początku br. Kijów był w stanie zebrać deklaracje pomocy finansowej od zachodnich partnerów jedynie na ok. połowę tegorocznych potrzeb.

> Kijów przeznacza całość własnych dochodów na wojnę, a państwo może funkcjonować wyłącznie dlatego, że dociera międzynarodowa pomoc finansowa

BEZZWROTNE DOTACJE I KREDYTY

Ambasadorowie Unii Europejskiej porozumieli się ostatnio w sprawie kolejnej, wartej 5 mld euro transzy dla Kijowa, na Ukrainę mają też zostać przekazane odsetki od rosyjskich aktywów zablokowanych w Belgii, gdzie znajduje się siedziba międzynarodowego centrum rozliczeniowego. To kolejne 3 mld euro, które mają szansę dotrzeć na Ukrainę latem br. Rząd w Kijowie zaczął też rozmowy o kolejnych kredytach z takimi państwami jak Japonia, Kanada czy Wielka Brytania. Pieniędzy jest jednak zbyt mało i przetrwanie kraju bez amerykańskiej pomocy nie będzie łatwe. Tym bardziej że w przypadku wsparcia Stanów Zjednoczonych są to przede wszystkim bezzwrotne dotacje, podczas gdy Europa w większości udziela niskooprocentowanych kredytów.

Narastanie ukraińskiego długu publicznego, który w ub.r. zwiększył się o ponad 40 proc., obniża wiarygodność kredytową Kijowa. Na początku marca Agencja S&P Global Ratings po raz kolejny obniżyła ocenę wiarygodności Ukrainy, a jej eksperci, przedstawiając długoterminową, negatywną prognozę, napisali w komentarzu o konieczności rozmów na temat restrukturyzacji obecnego zadłużenia i perspektywie ogłoszenia niewypłacalności kraju. Już od dawna było oczywiste, że w tym roku Ukraina nie będzie mogła spłacić wynoszących 988 mld hrywien odsetek i rat zaciągniętych kredytów, tym bardziej mając dochody budżetowe na poziomie 1,3 bln hrywien, jednak oficjalny komunikat o możliwości niewypłacalności nie ułatwia rządowi w Kijowie rozmów w sprawie pozyskania dodatkowych środków od międzynarodowych pożyczkodawców.

Brutalna prawda jest taka, że Ukraina już obecnie jest bankrutem, nie ma pieniędzy na kontynuowanie wojny, normalne funkcjonowanie państwa i odbudowę. O tej ostatniej w Kijowie niewiele się już mówi, czego potwierdzeniem jest choćby to, że resort infrastruktury, który przygotowywał plany odbudowy, ma w tym roku trzykrotnie mniejszy budżet niż w ubiegłym. Środki zostały przekierowane na produkcję dronów i innego sprzętu bojowego, co tylko potwierdza fakt, że Kijów ma coraz mniej pieniędzy na prowadzenie wojny, a potrzeby rosną.

Zwycięstwo Ukrainy lub choćby tylko akceptowalne dla Kijowa zakończenie wojny zależy dziś od pomocy wojskowej Zachodu, ale w nie mniejszym stopniu od tego, ile pieniędzy uda się zmobilizować na kontynuowanie wojny. Spowolnienie w każdym z tych obszarów – a z tym mamy dziś do czynienia – przybliża tylko perspektywę porażki i zwycięstwa Rosji.

eprasa.pl 0d93b09f36

W co gra Macron?

Kierunek myślenia Macrona, taki jak przejęcie inicjatywy w sprawie wojny na Ukrainie i twarda postawa wobec Rosji, ogólnie jest słuszny. Jednak wysyłania zachodnich wojsk na front raczej nie będzie, bo – wobec bierności Amerykanów – ta koncepcja nie ma wystarczającej wagi i służy przede wszystkim wzmocnieniu politycznej pozycji prezydenta Francji

KONRAD KOŁODZIEJSKI

Gdy pod koniec lutego Emmanuel Macron zwołał w Paryżu pilny szczyt przywódców państw Unii Europejskiej i zaproponował na nim wysłanie wojsk NATO na Ukrainę, przytłaczająca część zachodniej opinii publicznej potraktowała to jako pomysł z pogranicza nieodpowiedzialności i szaleństwa. Było to o tyle zaskakujące, że wcześniej Macron nie dał się poznać jako jastrząb. Przeciwnie, wszyscy pamiętali jego nieustanne telefony do Putina tuż po wybuchu wojny i bezskuteczne próby namówienia moskiewskiego przywódcy do wycofania się z Ukrainy. Wydawało się więc, że i tym razem Macron odgrywa jakieś przedstawienie, tyle że potencjalnie bardziej niebezpieczne od poprzedniego.

Jednak niezależnie od tego, czy mamy tu do czynienia z teatrem, czy nie, Macron nie zniechęcił się dość chłodnym przyjęciem jego pomysłu w Europie. Oświadczył, że każde jego słowo w tej kwestii zostało przemyślane i „starannie dobrane". Wezwał też sojuszników, aby nie byli tchórzami, a następnie rozpoczął kampanię polityczną w sprawie wojny na Ukrainie. W jej ramach spotkał się już z liderami francuskiej opozycji, udzielił wywiadu dwóm czołowym stacjom telewizyjnym we Francji, a na poprzedni piątek zaplanował spotkanie z Olafem Scholzem, do którego – w ramach Trójkąta Weimarskiego – doprosił Donalda Tuska. Nic więc nie wskazuje na to, że Macron zamierza rezygnować. Choć dziś nie ma zgody na taki ruch, nie należy wykluczać wysłania zachodnich wojsk na Ukrainę w przyszłości – stwierdził. Wygląda więc na to, że francuski prezydent chce oswoić ze swoim pomysłem europejską klasę polityczną i opinię publiczną. Coś, co do tej pory wydawało się niewyobrażalne, a więc wejście wojsk NATO na Ukrainę, ma się stać poważnie rozważaną opcją. Podobnie jak wcześniej było z dostawami czołgów czy samolotów.

Pomysł Macrona, niezależnie od jego motywów (o czym będzie jeszcze mowa) oraz od tego, jak go oceniamy, wprowadza zupełnie inną optykę wojny. I to nie tylko w Europie, lecz także w Rosji, która w swoim pędzie na Zachód będzie musiała wziąć pod uwagę nowe, niespodziewane dla niej okoliczności.

BRAK STRATEGII

Do wybuchu wojny na Ukrainie na Zachodzie obowiązywała koncepcja, by przede wszystkim nie prowokować Rosji. Kryła się za tym obawa przed Moskwą, co ją jedynie zachęcało do prowadzenia bardziej agresywnej polityki. Konsekwencje zachodniego kunktatorstwa wobec Rosji dobrze znamy: w 2008 r. atak na Gruzję, w 2014 r. aneksja Krymu i wojna w Donbasie, aż wreszcie pełnoskalowa inwazja na Ukrainę w 2022 r. Elementarna logika podpowiada nam zatem, że na Ukrainie się nie skończy, bo im bardziej Zachód ustępuje, tym mocniej Moskwa napiera.

Aby osiągnąć swoje cele, Putin wcale nie musiał wybierać najbardziej drastycznego scenariusza, a jednak zdecydował się na to, ponieważ chciał wzbudzić przerażenie na Zachodzie. I trzeba przyznać, że udało mu się zrealizować ten cel. Wybuch wojny na Ukrainie rzeczywiście sparaliżował europejskie społeczeństwa, które do tej pory przekonywano, że największym zagrożeniem dla świata jest kryzys klimatyczny.

Niewiele lepiej zachowała się zachodnia klasa polityczna. Nad Niemcami nie będziemy się tu znęcać, bo o katastrofie ich polityki wschodniej napisano już wystarczająco dużo. Jednak zaniepokojenie mogła wzbudzać także postawa Stanów Zjednoczonych, będących filarem europejskiego bezpieczeństwa. Wprawdzie tuż po wybuchu wojny Joe Biden wyraźnie podkreślił, że USA będą bronić każdego cala terytorium NATO z całą mocą amerykańskiej siły. Ale w praktyce ta siła ograniczyła się do dość symbolicznej liczby żołnierzy rozmieszczonych w Polsce i na wschodniej flance. Ich obecność jest oczywiście bardzo ważna – stanowią oni bowiem polityczny sygnał dla Rosji, aby nie posuwała się zbyt daleko.

Mimo to trudno nie zauważyć wyraźnej niechęci Amerykanów do podejmowania jakichkolwiek poważniejszych kroków wobec rosyjskiej agresji. Podczas niedawnej wizyty prezydenta Dudy i premiera Tuska w Waszyngtonie Biden stwierdził, że nie ma planów ani potrzeby zwiększania amerykańskiego kontyngentu wojskowego w Polsce. To również jest sygnał dla Rosji, że USA nie zamierzają eskalować konfliktu. Z jednej strony to oczywiście dobrze, ale z drugiej trzeba pamiętać, że Moskwa odczytuje to prawdopodobnie w całkiem inny sposób – jako oznakę słabości Ameryki i zachętę do dalszej agresji.

W tej kwestii trzeba przyznać rację Donaldowi Trumpowi, który stwierdził, że Biden nie ma konsekwentnej strategii wobec rosyjskiej agresji na Ukrainie. Bo, brutalnie rzecz ujmując, opcje są dwie – albo ustąpienie i dogadanie się z Putinem, albo zatrzymanie go, znacznie mocniej angażując się na Ukrainie. Tymczasem Biden stanął w rozkroku: nie chce się dogadać, ale nie zamierza się też angażować. W rezultacie wojna trwa, a Zachód jest wystraszony i pogubiony.

Fot. Shutterstock

OKAZJA DLA MACRONA

Na tym tle pomysł Macrona może stanowić przełom w myśleniu o wojnie. Zamiast robić nieustanne uniki i tym samym zachęcać Putina do dalszej eskalacji konfliktu, należy się wykazać determinacją i wyraźnie narysować mu czerwoną linię, której nie może przekroczyć. Oczywiście można dyskutować nad tym, gdzie ta linia powinna przebiegać – czy, tak jak proponuje Macron, przez Kijów i Odessę – czy gdzieś indziej, ale ważne jest, aby Putin otrzymał wyraźny sygnał od Zachodu. Że nie tylko on decyduje o losach Europy.

Nie da się wykluczyć, że propozycja Macrona jest gruntem pod negocjacje pokojowe i że francuski prezydent chce uzyskać dla Zachodu lepszą pozycję wyjściową. Co jednak najważniejsze, jest pierwszą próbą przejęcia inicjatywy po tym, jak Biały Dom już od dawna nie wykazywał się żadną poważną aktywnością na tym polu i niewiele wskazuje na to, aby w najbliższym czasie miało się to zmienić.

Charakterystyczny jest choćby fakt, że Amerykanie praktycznie nie uczestniczą w dyskusji nad propozycją Macrona. Zdaniem złośliwych może to dowodzić, że nikt w Waszyngtonie nie traktuje pomysłów francuskiego prezydenta poważnie, ale równie dobrze może oznaczać, iż Amerykanie się asekurują, oddając pałeczkę

(i potencjalne ryzyko) w ręce innych. Bez względu na to, jaka jest prawda, wskazuje to na jakąś formę wycofania Stanów Zjednoczonych ze spraw europejskich, co oczywiście nie jest dobrą wiadomością. Co więcej, w przypadku wygranej Trumpa ten proces może – choć wcale nie musi – się nasilić. Możliwe, że Macron wyczuł dla siebie okazję i próbuje wypełnić próżnię w europejskiej polityce bezpieczeństwa, która powstała po zdystansowaniu się Ameryki i bankructwie niemieckiej linii.

To, czy wystarczy mu siły i autorytetu, pozostaje sprawą otwartą. Już dziś jest bowiem jasne, że główną bitwę o swoje przywództwo będzie musiał stoczyć z Niemcami. Być może więc na naszych oczach wraca dawny układ sił na kontynencie, gdzie, tak jak przez stulecia, Niemcy i Francja rywalizowały ze sobą o kontrolę nad Europą. Jeśli do tego dojdzie, to przyszłość Unii Europejskiej może się rysować w ciemnych barwach.

Wracając jednak do pomysłu Macrona – ma on kilka plusów. Po pierwsze, jest pierwszą próbą przejęcia inicjatywy w stosunku do Rosji, po drugie, wreszcie przełamuje paraliż wywołany wybuchem wojny, a po trzecie, jego konfrontacyjna formuła (wysłanie wojsk) świadczy o przyswojeniu przez Francuzów jedynego skutecznego języka w rozmowach z Moskwą. Bo paliwem rosyjskiej agresji jest strach i wygodnictwo Zachodu. Jeśli udałoby się to przełamać, co jest niesłychanie trudnym zadaniem, to Rosja się zatrzyma. Im dalej od Polski i NATO, tym lepiej. Tu jednak pojawiają się wątpliwości.

BROŃ ZAMIAST ŻOŁNIERZY

Rosja ustępuje wyłącznie przed siłą. Propozycja Macrona ma więc sens tylko wtedy, gdy stoją za nią realne, a nie tylko werbalne groźby. W rosyjskich mediach niedawno pojawiła się symulacja wojny z siłami NATO na Ukrainie. Rzecz jest o tyle ciekawa, że autor wspomnianej analizy doszedł do wniosku, iż wojska rosyjskie w swojej obecnej liczbie na Ukrainie musiałyby ponieść porażkę w starciu z oddziałami zachodnimi. Jego konkluzja była taka, że należy pilnie wzmocnić liczebność rosyjskiej armii. Propaganda Kremla wykorzystuje więc pomysł Macrona do dalszej mobilizacji rosyjskiego społeczeństwa.

Na razie niczego takiego nie widać po naszej stronie. Przy czym nie mam tu na myśli masowego poboru do wojska i odpalania silników w czołgach. Chodzi raczej o zwiększenie produkcji zbrojeniowej, a także demonstrację siły. Wysłanie wojsk na Ukrainę – co postuluje Macron – powinno być bowiem traktowane jako ostateczność i należy je poprzedzić znaczącym wzmocnieniem obecności wojskowej państw NATO na wschodniej flance. Niczego takiego – jeśli nie liczyć trwających właśnie ćwiczeń NATO – nie widzimy. Problem polega bowiem na tym, że tych sił ciągle jest za mało, aby definitywnie odstraszyć Moskwę. Przy tej okazji pojawia się pytanie, czy w ogóle możliwe jest odstraszanie Rosjan bez silnego wsparcia Amerykanów. Nie bez powodu Kreml dąży przecież do wypchnięcia USA z Europy, wychodząc z założenia, że da sobie radę z ich sojusznikami.

O niekonsekwencji Zachodu świadczy nie tylko brak wystarczających nakładów na obronę, lecz także polityczna miękkość w takich kwestiach, jak broń nuklearna. Przeniesienie rosyjskich głowic jądrowych na Białoruś zostało niemal zupełnie zignorowane. Tymczasem jedyną zrozumiałą odpowiedzią dla Putina powinien być podobny ruch z przeciwnej strony, choćby w postaci przyłączenia Polski do programu nuclear sharing. W tym przypadku po raz kolejny wygrało asekuranctwo i trzeba za to obwiniać nie tylko niemiecki strach i rosyjską agenturę w Berlinie, lecz także nieustanne uniki Białego Domu.

To jasne, że Amerykanie chcieliby rozwiązać problem Ukrainy europejskimi rękami, ale to niemożliwe. I nikt nie powinien się na to godzić. Tak samo jak nie należy wychodzić przed szereg, jeśli chodzi o wysyłanie wojsk na Ukrainę. Jeśli Francja i inni sojusznicy chcieliby takiego rozwiązania, powinni pójść przodem. Przede wszystkim jednak muszą się wykazać wiarygodnością: wzmocnić flankę wschodnią i zainwestować w armię oraz zbrojenia. Nie wchodzi bowiem w rachubę pomysł, że Polacy dadzą żołnierzy, a Francuzi, Niemcy czy Amerykanie będą wszystko kontrolować z bezpiecznej odległości. Na rzecz Macrona nie przemawia też niedawne otwarcie francuskiej misji wojskowej w Mołdawii. Okazało się bowiem, że będzie się ona składać z jednej osoby. Jeżeli tak ma wyglądać zaangażowanie Francji, to może dajmy sobie spokój.

Niedawno Wołodymyr Zełenski dość przytomnie zauważył, że Ukrainie nie potrzeba dziś zagranicznych żołnierzy, lecz pieniędzy i broni. Podstawowy minus pomysłu Macrona polega zaś na tym, że proponuje Zełenskiemu żołnierzy, a nie broń.

W sferze politycznej propozycja francuskiego prezydenta jest właściwa, bo wskazuje Rosji granice. Cóż jednak z tego, skoro nie towarzyszą jej inne, znacznie bardziej pilne działania. Nie wyczerpano przecież wszystkich dostępnych możliwości. Choćby tych, o których mówi Zełenski.

POLITYCZNA GRA

Prawdopodobnie Macron wcale nie się łudzi, że wraz z kilkoma państwami europejskimi zdoła pokonać Moskwę w polu. Jego cel jest inny. Liczy na to, że zdoła zbudować koalicję, z którą Moskwa zechce rozmawiać o pokoju. Gdyby to się udało, Macron przejdzie do historii, a Francja zdobędzie dominującą pozycję w Europie. Oczywiście możliwy jest też inny scenariusz – że stanie się nowym Chamberlainem, który przywiezie ze sobą nic niewarty świstek papieru. Bez kooperacji z Amerykanami jest to niestety całkiem możliwe.

O grze politycznej prowadzonej przez Macrona może również świadczyć fakt, że, tak jak wspomniałem, nie widać, aby Europa poważnie szykowała się do wojny. Zamiast inwestycji w obronność mamy rojenia o armii europejskiej oraz kolejne pakiety klimatyczne, osłabiające gospodarkę kontynentu.

Sam Macron, podobnie jak inni liberalni władcy Europy, wykorzystuje zaś wojnę do rozprawy z populistycznymi (czytaj: prawicowymi) rywalami. Wkrótce wybory europejskie, których wyniku unijna oligarchia obawia się chyba bardziej niż Putina. I to on, choć jest realnym zagrożeniem, występuje tutaj w roli stracha na wróble, co w konsekwencji jest bardzo niebezpieczne. Bo gdy sytuacja wojenna stanie się naprawdę poważna, wszyscy to zignorują.

Oczywiście to dobrze, że Macron, pomijając jego motywy, zabrał głos w sprawie powstrzymania rosyjskiej agresji i rozpoczął dyskusję na ten temat. Ale na poważne propozycje musimy chyba jeszcze poczekać.

eprasa.pl 0d93b09f36

Protest feministek w Madrycie, 8 marca 2024 r.

Fot. www.mariomartija.es/Shutterstock.com

Totalitarny feminizm

Liderki Strajku Kobiet nigdy nie ukrywały, że inspirowały się argentyńskim i hiszpańskim radykalnym feminizmem, który ma na koncie niemałą listę „zbrodni". Nie można jednak wymagać rozsądku od kobiet, które same siebie redukują do roli „wściekłych macic". Obrazy, które oglądam od wielu lat w Madrycie przy okazji marszu feministek, tak naprawdę powinny się znaleźć kiedyś w annałach historii chorób społecznych. Pokolenie polskich Julek z pewnością zadba, aby skopiować wszystko, co najgorsze także z Hiszpanii

MAŁGORZATA WOŁCZYK

Jest piątek 8 marca w Madrycie i choć wydawało mi się, że do godziny zlotu tysięcy czarownic dzieli mnie bezpieczna ilość czasu, nie wiedzieć kiedy w ciasnej ulicy niechcący wdepnęłam w tłumek feministek maszerujących i pokrzykujących swoje nienawistne hasła. Przez blisko kwadrans nie było jak się od nich uwolnić, więc znalazłam się w gronie „sióstr" ubranych w tradycyjne już czarno-fioletowe barwy wojenne. Miałam nadzieję, że moja blond czupryna i błękitny płaszczyk będą wystarczającymi elementami wyróżniającymi mnie z tego tłumu, ale robiąc zdjęcia z bliska, ściągnęłam na siebie uwagę jednej z uczestniczek. W geście podarunku (a może testu) wręczyła mi hasło wypisane na tekturze o treści: „Machete al Machote" (Z maczetą na maczo). Pokręciłam niechętnie głową, więc odpowiedziała mi spojrzeniem pełnym pogardy. To jest akurat charakterystyczne dla wszystkich feministek – z chwilą, kiedy odmawiasz współuczestnictwa albo odmawiasz im prawa do reprezentowania siebie, stają się żeńską wersją twardziela gotowego przywalić prawym sierpowym.

Porwana przez tłumek feministek siłą rzeczy idę z nimi i czytam hasła wypisane na sztandarach i tekturach: „Nie jesteśmy tu wszystkie, brakuje tych zamordowanych przez heteropatriarchat", „Jesteśmy wnuczkami czarownic, których nie zdołaliście spalić!", „Manolo, sam se zrób obiad!", „Nie jesteśmy księżniczkami,

eprasa.pl 0d93b09f36

jesteśmy smokami", „Powiedz swojemu synowi, żeby nie gwałcił", „Nie rodzisz się kobietą, ale stajesz się nią", „Bez sióstr trans nie ma feminizmu", „Wyjmijcie różańce z naszych jajowodów, wyjmijcie księżowskie łapy z naszych wagin". Mogłabym bez trudu wypełnić ten tekst setką najbardziej absurdalnych haseł, które więcej mówią o stanie umysłu zmanipulowanych przez lewicę współczesnych kobiet niż o naszym świecie.

CENZURA W TEMACIE GWAŁTÓW

Hipokryzja jest jedną z naczelnych cech feminizmu pod każdą szerokością geograficzną. Feministki nienawidzą mężczyzn, bo heterycy ponoć tylko biją, gwałcą i wznoszą szklane sufity dla kobiet. Jeśli jednak gwałcą Arabowie i muzułmanie, wtedy nikt nie piśnie ani słowa, bo byłoby to stygmatyzowaniem przybywających masowo imigrantów, którzy są ich sojusznikami w bezpardonowej walce z tym, co tradycyjne i motywowane religią chrześcijańską. Jeszcze w lutym w prawicowych mediach udostępniono dane, że w związku z niekontrolowanym napływem imigrantów na Wyspy Kanaryjskie liczba gwałtów wzrosła tam o 83 proc. w skali roku! Hiszpanie nie usłyszą jednak o tym w mediach głównego nurtu, tak samo jak nie usłyszą tego Polacy dzięki czystkom w telewizji i posłuszeństwie mainstreamowych dziennikarzy, aby niewygodnych danych nie wyciągać na światło dzienne. Jak podaje Europa Press, liczba gwałtów dokonanych przez nieletnich wzrosła ogółem o 53,3 proc. od 2019 r., czyli od kiedy rządzi najbardziej feministyczny w dziejach rząd Hiszpanii. Cóż za paradoks! Ten sam los czeka Polki i niestety w równej mierze dotknie on zarówno rozsądne kobiety, jak i te krańcowo naiwne, które przeklinały rządy konserwatystów, nie mając świadomości, w jak bezpiecznym kraju żyły.

Pisząc o liście „zbrodni" hiszpańskich feministek na wstępie tego tekstu, byłam świadoma wagi słów, których używam. W mojej ocenie, ale też za sugestią wielu autorytetów w Hiszpanii, hiszpański feminizm ma „krew na rękach", a jego działania umykają polskiej opinii publicznej, zupełnie nieświadomej tego, z jakich wzorów czerpią polskie feministki.

„ZBRODNIA" NR 1

Każdy 8 maja w Madrycie jest dla mnie wspomnieniem horroru z pamiętnego 2020 r., gdy pomimo ostrzeżeń napływających do rządu Sáncheza o nieznanej epidemii już od grudnia panującej w Chinach, a od lutego zbierającej śmiertelne żniwo we Włoszech, nawiedzone feministki z paroma paniami ministrami na czele zachęcały całą Hiszpanię do wyjścia na ulice. W telewizji publicznej aktywistki i polityczki pokrzykiwały bojowo: „Heteropatriarchat zabija bardziej niż koronawirus".

Okazało się, że wirus podjął wyzwanie i dokonał masakry o rozmiarach nieznanych od czasu grypy hiszpanki. Zorganizowane w tym dniu w czterech największych miastach Hiszpanii masowe manifestacje zadziałały jak infektodromy. Te arcypotężne wylęgarnie wirusa w tłumie kobiet spowodowały eksplozję zakażeń i powszechny szok w następnych dniach. Dziennikarze szybko zrozumieli perwersję sytuacji stworzonej przez rząd, bo nie pozwolono np. we wcześniejszych dniach na organizację małego chrześcijańskiego kongresu pod pretekstem groźby epidemii, a jednocześnie zachęcano do wielotysięcznych manifestacji z okazji Dnia Kobiet. Ministry, które jak zwykle szły w pierwszym szeregu, miały już lateksowe rękawiczki i powtarzały między sobą półgłosem, aby podjąć pewne środki ostrożności, o których jednak nie wiedziały miliony innych bezbronnych kobiet. Mimo że starałam się nie zbliżać do tłumu z obawy o nieznanego mi wtedy jeszcze wirusa, niestety z czystej dziennikarskiej ciekawości robiłam zdjęcia przy scenie i poruszałam się po zatłoczonych ulicach Madrytu, łapiąc zresztą wtedy moje pierwsze zakażenie koronawirusem. Kobiety, które szły w ścisku, najczęściej pracowały jednak w sektorze socjalnym i nieświadome transmisji wirusa zaniosły go następnego dnia do szkół, barów, szpitali, domów starości, do swoich rodzin.

Efekt był porażający i zapewne niektórzy pamiętają relacje o blisko 1 tys. zmarłych Hiszpanów każdego dnia przez bodaj trzy pierwsze miesiące pandemii (informowałam o tym w korespondencjach radiowych). Nie ma się jednak czym pocieszać, bo i nasze arcyzdolne do wszystkiego feministki wyległy na ulice podczas Ogólnopolskiego Strajku Kobiet, choć było to już ponad 18 miesięcy od początku pandemii. One też miały w głębokim poważaniu oczywiste ryzyko koncentracji tłumów i skutek, jaki wywoływały zgromadzenia w pandemii, czyli skokowy wzrost zachorowań i związane z tym śmiertelne przypadki. Można więc powiedzieć, że na dużo mniejszą skalę, ale Polki też przyczyniły się do tego przez swoje ideologiczne zaślepienie.

KOLEJNE „ZBRODNIE" FEMINIZMU

Są jeszcze inne powody, dla których feminizm, zwłaszcza hiszpański, można

Fot. Pedro Pascual/Shutterstock.com

eprasa.pl 0d93b09f36

nazwać ideologią soft totalitarną. Parę lat temu sławny francuski filozof Rémi Brague powiedział, że dawne ideologie totalitarne zabijały miliony osób, a dziś ideologia modernizmu nie pozwala narodzić się milionom osób. Trudno się z tym nie zgodzić. Sprawa hekatomby spowodowanej przez aborcję jest oczywista, ale istnieją aspekty, o których mniej się mówi.

Parę lat temu grupka Hiszpanów prosiła mnie, abym opublikowała w Polsce dowody na przemysłowe wykorzystywanie szczątków abortowanych dzieci do produkcji kremów z kolagenem w laboratoriach kosmetycznych. Wręczono mi kilkanaście sugestywnych zdjęć, z których jasno wynikało, że składowane ciała dzieci z późnych aborcji (a Hiszpania słynie z turystyki aborcyjnej) są natychmiast transportowane do laboratoriów kosmetycznych. Trudno dziś o lepszy biznes niż ten, który obiecuje, zwłaszcza kobietom, zatrzymanie czasu i kolagenu w skórze. Pytanie, na ile ten przemysł rzeczywiście „żywi się" komórkami abortowanych dzieci. Brak mi wiedzy i kompetencji, aby to rozstrzygnąć, ale od tamtej pory lepiej rozumiem ten potężny, wręcz irracjonalny lobbing na rzecz aborcji.

Wreszcie czwarty argument, który stanowi istotę sporu i rozłamu w obecnym nurcie feminizmu: absolutne zanegowanie kobiecości i tragiczne konsekwencje ideologii trans dla zdrowia psychicznego i fizycznego dzieci oraz młodzieży. Pęknięcie feminizmu na tym tle nastąpiło ledwie dwa lata temu. Część feministek wreszcie uznała, że emancypacja kobiet poszła tak daleko, że „wymazano kobiety".

Dość głośny i porażający przykład zastosowania prawa uchwalonego pod dyktando ideologii trans Hiszpanie obserwowali całkiem niedawno, gdy paru policjantów i wojskowych ogłosiło się kobietami lesbijkami, nie rezygnując przy tym ze swego statusu małżeńskiego, rodziny, a nawet wyglądu w typie macho. Prawo pozwala im postrzegać siebie jako kobiety bez żadnej nawet terapii hormonalnej, orzeczeń lekarskich o dysforii płci czy korekty chirurgicznej. Wystarczy tylko orzeczenie subiektywnej woli. Tym samym silni brodacze w wojskowych uniformach z całą powagą na twarzy wyjaśnili za pośrednictwem telewizji publicznej, że czują się lesbijkami i tym samym oczekują lepszej emerytury, dodatków na dziecko, własnego pokoju w koszarach i osobistej łazienki dzięki swojej nowo obranej płci żeńskiej.

> Hipokryzja jest jedną z naczelnych cech feminizmu pod każdą szerokością geograficzną. Feministki nienawidzą mężczyzn, bo heterycy ponoć tylko biją, gwałcą i wznoszą szklane sufity dla kobiet. Jeśli jednak gwałcą Arabowie i muzułmanie, wtedy nikt nie piśnie ani słowa, bo byłoby to stygmatyzowaniem przybywających masowo imigrantów

PAN I PANI W JEDNYM

W ciągu ostatniego roku aż 37 mężczyzn w Ceucie w ten sam sposób zmieniło płeć, nie rezygnując przy tym ze swego wyglądu i statusu. Słusznie więc zdrowa część społeczeństwa i część tradycyjnych feministek buntuje się przeciw temu aktowi ośmieszenia kobiecości i niemożności zdefiniowania w praktyce, kim jest kobieta w świetle obowiązującej ustawy o osobach transseksualnych. Co gorsza, to szalone prawo autorstwa ministry równości Irene Montero wywołało ogromny efekt „contagio social", czyli zaraźliwości społecznej między małoletnimi, którzy wskutek mody podejmują nie tylko urzędową zmianę imienia, lecz także często nieodwracalne kroki medyczne: terapię hormonalną lub amputację organów płciowych w przekonaniu, że ich niezadowolenie z dojrzewającego ciała musi oznaczać pomyłkę w metryce urodzin i konieczność korekty płci.

Nowa ustawa o prawach osób transseksualnych i LGBT z lutego 2023 r. zezwala na bezpłatną zmianę płci już u dzieci od 16. roku życia. Wcześniej należało przedstawić w urzędzie zaświadczenie lekarskie lub leczenia klinicznego potwierdzającego „dysforię płciową" lub świadectwo przyjmowania hormonów przez dwa lata. Zatem dzieciom w wieku 16 lat nie wolno głosować, pić alkoholu, zrobić prawa jazdy, ale mogą dowolnie zmienić płeć. Ponadto dzieci w wieku 14–16 lat mogą również wystąpić o zmianę płci, tyle że w przeprowadzeniu tego procesu muszą towarzyszyć im rodzice, a jeśli opiekunowie prawni nie wyrażą na to zgody, do czasu rozstrzygnięcia sporu dziecku zostanie wyznaczony obrońca sądowy.

To prawo funkcjonuje już w niektórych regionach Hiszpanii i sprawia, że rodzice przeciwstawiający się zmianie płci swojego dziecka stają się celem ataków oraz prób odebrania im praw rodzicielskich (czasem udanych). I to znów nie koniec, bo małoletni od 12. do 14. roku życia również może zmienić płeć, o ile posiada zezwolenie sędziego, który zbada jego dojrzałość. Efekt zaraźliwości społecznej w niektórych regionach, takich jak Walencja, osiągnął poziom 10 tys. proc., w Katalonii 8 tys. proc.

To wszystko wydaje się tak surrealistyczne, że aż niewiarygodne dla kogoś, kto porusza się tylko w polskiej rzeczywistości, ale jest to okrutna prawda o rewolucji queer i trans, którą ma na sumieniu feminizm i agenda LGBT. Ilekroć więc usłyszymy o „zdobyczach" współczesnego feminizmu na gruncie „praw kobiet i praw człowieka", od razu powinny się nam zapalić wszystkie lampki alarmowe. Polacy nie mogą się zgodzić na import szaleństw z Zachodu, bo radykalny feminizm, mimo sztandarów i haseł, którymi się zasłania, prawiąc o szczęśliwości kobiet, w istocie urządza im prawdziwe piekło.

eprasa.pl 0d93b09f36

Zielona Wyspa traci wiarę w postęp

Fiasko referendum w sprawie zmiany zapisów w konstytucji dotyczących roli kobiet i rodziny pokazuje, że wielu Irlandczyków ma już dość lewicowo-liberalnych eksperymentów

ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Wexford, portowe miasto położone na południowym wschodzie Irlandii przy ujściu rzeki Slaney do Morza Irlandzkiego, liczy niecałe 9 tys. mieszkańców. Malownicze i pełne zabytków, jest magnesem dla turystów. W Dzień Kobiet mieszkańcy Wexford i otaczających go gmin udali się do urn, by zagłosować w referendum w sprawie zmiany liczącej 87 lat konstytucji. Chodziło o wprowadzenie do niej postępowych zapisów odnoszących się do roli kobiet i rodziny. Zagłosowało 42,9 proc., z czego ponad dwie trzecie na „nie". Jeden sfrustrowany mieszkaniec Wexford – jak poinformował publiczny nadawca RTÉ – nie zaznaczył na karcie do głosowania ani „tak", ani „nie", tylko napisał: „Język zbyt nieprecyzyjny. Spróbujcie jeszcze raz".

Tego „jeszcze raz" prędko jednak nie będzie. Na to porażka dla rządu premiera Leo Varadkara była zbyt dotkliwa. Irlandczycy w zdecydowany sposób odrzucili zmianę w definicji małżeństwa (67,7 proc.), a aż 73,9 proc. głosowało przeciw nowemu określeniu roli kobiet. Był to najwyższy odsetek głosów na „nie" w historii przeprowadzonych dotychczas referendów w Irlandii. I wielkim zaskoczeniem dla dublińskich liberalnych elit politycznych. Szczególnie po udanych referendach w 2015 r. i 2018 r., legalizujących małżeństwa jednopłciowe i aborcję. „Tak" zwyciężyło tylko w jednym z 39 okręgów wyborczych – w Dún Laoghaire, południowym przedmieściu Dublina, gdzie mieszkają piękni, bogaci i wpływowi. Liberalne elity, które, jak się wydaje, już zupełnie oderwały się od rzeczywistości.

PROTEKCJONALNE, NIEZROZUMIAŁE

Premier Irlandii uznał porażkę. Według niego rząd otrzymał aż „dwa ciosy" od elektoratu. „Naszym zadaniem było przekonać ludzi do tych zmian. To nam się nie udało" – zaznaczył. Tylko dlaczego tak się stało? Liberalne media oraz politycy doszukują się przyczyn w „nieudolnej" kampanii referendalnej rządu. Ludzie mieli nie wiedzieć, nad czym głosują. „Kampania była pozbawiona ikry. Protekcjonalna, arogancka. A proponowane definicje, m.in. trwałych związków, niezrozumiałe" – grzmiał poseł lewicowej partii Sinn Féin Maurice Quinlivan. Pojawiły się głosy, że odpowiedzialny za kampanię referendalną minister ds. dzieci, niepełnosprawnych, równości i integracji Roderic O'Gorman powinien się podać do dymisji. Inni wskazywali na problemy gospodarcze Irlandii, na sztucznie pompowane bogactwo.

Obok Luksemburga, Norwegii i Szwajcarii Irlandia ma najwyższy PKB *per capita* w Europie. W rzeczywistości jest jednak rajem podatkowym, którego wzrost napędzają głównie amerykańskie korporacje, w tym wielu gigantów z Doliny Krzemowej, które mają tu swoje siedziby. Sami Irlandczycy mają żyć skromnie, coraz skromniej, na tle pogarszającego się kryzysu mieszkaniowego. Wynik referendum ma być wyrazem niezadowolenia

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 0d93b09f36

z polityki gospodarczej i społecznej rządu – taką żółtą kartką.

Tyle że to więcej niż żółta kartka, a Irlandczycy dobrze wiedzieli, nad czym głosują. Rząd chciał usunąć z konstytucji zapis o małżeństwie jako podstawie, „na której opiera się rodzina". Miał być on zastąpiony klauzulą mówiącą, że rodziny mogą się opierać „na małżeństwie lub na innych trwałych związkach". W drugim projekcie ustawy chciano usunąć z konstytucji zapis o roli kobiet „prowadzących domy" jako jeden z fundamentów państwa. Słowo „kobieta" miało przy tym zostać zastąpione słowem neutralnym płciowo. Konstytucja chroni w szczególności matki, np. państwo nie może ich zmuszać do pracy zarobkowej. Zamiast tego miał zostać wprowadzony zapis uznający „opiekę, którą otaczają się wzajemnie członkowie rodziny". Rząd forsował referendum jako zwycięstwo feminizmu nad „seksistowskim językiem", zawartym w rzekomo przestarzałej konstytucji, opracowanej w 1937 r. pod auspicjami Kościoła katolickiego.

O JEDEN MOST ZA DALEKO

Dla Irlandczyków było to jednak o jeden most za daleko. W ciągu ostatnich kilkunastu lat kraj zmienił się z jednego z najbardziej konserwatywnych w jeden z najbardziej postępowych państw UE.

Kiedyś premier Varadkar określił cel Irlandii jako „bycie w unijnej awangardzie". Od chwili objęcia urzędu w 2017 r. z zapałem pracował nad tym, co nazywał „konieczną rewolucją obyczajową". Irlandczycy zgodzili się na wiele zmian, bo najwyraźniej uznali, że niewiele na tym tracą. Tym razem było inaczej. Według niezależnego senatora Rónána Mullena, „ludzie nie lubią, gdy narzuca się im niedopracowane pomysły, oni naprawdę wiedzą, czego chcą". „Głosowali za pozostawieniem w konstytucji odniesienia do matek, aby nie były zmuszane do opuszczenia domu ze względów ekonomicznych, a także za utrzymaniem więzi między małżeństwem a rodziną" – dodał. Jego zdaniem są to rzeczy fundamentalne, które dotyczą każdego. Tym bardziej że przez całą kampanię referendalną ministrowie nie potrafili powiedzieć, czy „trwałe związki" doprowadzą do uznania poligamii za rodzinę. Jeden z ministrów zasugerował nawet, że bigamia może stanowić „trwały związek".

Mniejsze partie, jak lewicowa, ale prorodzinna Aontú (Jedność), wskazywały, że proponowane zapisy dla wielu Irlandczyków były równoznaczne z wykreśleniem matek, a nawet kobiet z konstytucji. Ich zdaniem mogło to mieć także negatywne konsekwencje dla prawa dziedziczenia i podatkowego. Pojawiła się też kwestia imigracji, bowiem zmiana definicji rodziny mogłaby pociągnąć za sobą ułatwienia w tzw. programach łączenia rodzin, które nie byłyby już ograniczone do tradycyjnych małżeństw i ich dzieci. Szczególnie jeśli jako trwały związek miałaby uchodzić poligamia, praktykowana w wielu krajach muzułmańskich.

NO GO ZONES I CENZURA

Fakt, że członkowie koalicji rządzącej byli zupełnie nieprzygotowani na porażkę w tej dziedzinie, wynika z tego, że żyją oni w liberalnej bańce. Referendum przygotowały im NGO, żyjące z publicznych dotacji, jak Krajowa Rada Kobiet. Według „The Daily Telegraph" w kraju liczącym zaledwie 5 mln mieszkańców działa ok. 34 tys. organizacji pozarządowych, które otrzymują 6 mld euro ze środków publicznych (dla porównania: budżet na opiekę zdrowotną zwykle nie przekracza 20 mld euro). Zdecydowana większość to małe organizacje, które wykonują zwykłą pracę charytatywną. Niektóre zajmują się jednak wyłącznie jednym – lobbowaniem w rządzie w kierunku postępowych zmian. A ludzie mają inne zmartwienia.

Pod koniec listopada ub.r. po tym, jak nożownik zaatakował dzieci przed jedną ze szkół, doszło do zamieszek w centrum Dublina. Napastnikiem okazał się Algierczyk od 20 lat żyjący w Irlandii i wcześniej karany m.in. za posiadanie noża. Wówczas liderka opozycyjnej Sinn Féin Mary Lou McDonald oświadczyła, że „Dublin przestał być bezpiecznym miastem", a policja „straciła kontrolę nad niektórymi dzielnicami". Miesiąc później w hrabstwie Galway spłonął hotel, w którym miano umieścić 70 azylantów. Takie oprotestowywanie ośrodków dla uchodźców oraz ich podpalanie zaczęło się w 2018 r., ale po dublińskich zamieszkach nabrało na intensywności.

Zaledwie pokolenie temu Irlandia liczyła 3,5 mln ludzi i prawie 0 imigrantów. Dziś 20 proc. (czyli ponad 1 mln) osób mieszkających w Irlandii urodziło się za granicą. 141 tys. imigrantów przybyło tu w 2023 r. To najwyższy poziom od ponad 16 lat. Setki z nich koczują zresztą w namiotach w centrum stolicy. Niegdyś otwarte społeczeństwo zaczęło się obawiać o swoją kulturę i tradycję. „Jesteśmy w punkcie, w którym mamy kryzys. Problemem jest niezdolność rządu do zapewnienia mieszkań, infrastruktury społecznej i usług – w szczególności sprawiedliwej i skutecznej opieki zdrowotnej dla każdej osoby mieszkającej w tym kraju" – zaznaczyła w rozmowie ze „Sky News" socjolog, prof. Anne Holohan z Trinity College Dublin.

Zamiast tego rząd oferuje Irlandczykom kolejne postępowe pomysły, jak właśnie nieudane referendum z 8 marca. A dla tych, którym się to nie podoba, ma łatkę skrajnej prawicy, której w Irlandii w zasadzie nie ma, oraz cenzurę. Ustawa o mowie nienawiści została zaproponowana przez rząd w 2022 r. i przewiduje penalizację wypowiedzi lub zachowań, które „mogą podżegać" do przemocy lub nienawiści wobec osoby o „wyszczególnionych cechach". Zbiór cech, które będą podlegały ochronie, obejmuje m.in. rasę, kolor skóry, pochodzenie etniczne i orientację seksualną. Osobie uznanej za winną może grozić kara grzywny albo pozbawienia wolności do 5 lat.

EPILOG

Ustawa celowo została sformułowana szeroko. Brakuje w niej wyraźnie zdefiniowanego pojęcia nienawiści, z którą nowe przepisy mają walczyć. Może nią więc być wszystko, w zależności od tego, kto dokonuje oceny. Do więzienia można także pójść za posiadanie książek i filmów uznawanych za obraźliwe, nawet jeśli dana osoba nikomu ich nie udostępniała. To samo dotyczy memów, zdjęć i filmików na telefonie. Wystarczy przy tym przypuszczenie, że dane działanie lub dane słowa „mogły" kogoś obrazić, by zostać ukaranym. Petycję przeciwko ustawie podpisały już dziesiątki tysięcy osób. Jest to Nowy Wspaniały Świat, któremu Irlandczycy 8 marca, podczas referendum, wystawili nie żółtą, a czerwoną kartkę. Kilka dni przed Dniem Matki. Pytanie, czy irlandzkie władze wyciągną z tego wnioski.

eprasa.pl 0d93b09f36

Gra o polską stawkę

Polska będzie silna albo nie będzie jej wcale – choć takie postawienie sprawy niepodległości i podmiotowości RP zdaje się radykalne, analiza dominujących koncepcji politycznych obecnych od lat w Niemczech oraz Rosji wskazuje na realność takiej alternatywy. Obaj nasi sąsiedzi od dekad mają bowiem wypracowane polityczne doktryny dotyczące Europy Środkowej. I mówiąc łagodnie, nie są one korzystne dla Polski. Żeby realizować własną agendę i szukać mechanizmów rozwoju, rząd RP musi mieć klucz do neutralizowania pomysłów Berlina i Moskwy na ułożenie relacji w Europie Środkowej

Podstaw do budowania silnej pozycji w Europie Polska ma wiele. Jednym z naszych atutów jest położenie geograficzne. Rzeczpospolita, leżąca na skrzyżowaniu ważnych szlaków komunikacyjnych, mająca dostęp do Morza Bałtyckiego, na której terenie znajduje się tzw. Brama Brzeska i Przesmyk Suwalski, ma duży wpływ na sytuację geostrategiczną Europy i może, a nawet powinna mieć aspiracje kształtowania europejskiej architektury bezpieczeństwa. Warunkiem silnej i podmiotowej Polski jest znalezienie mechanizmów przełamania koncepcji przez lata rozwijanych w Berlinie i Moskwie. Sprawa rosyjskiej polityki wobec Europy Środkowej jest dość jasna i znacznie lepiej znana w Polsce. Kreml od lat prezentuje wizję naszego regionu jako obszaru, na którym Rosja chce realizować swoje własne interesy. Takie oczekiwania są jasne choćby po ostatnim wystąpieniu Dmitrija Miedwiediewa, który nakreślił wizję „granic strategicznych Rosji" i wskazał na obszary, w których władze polityczne powinny być przychylne wobec rosyjskiej polityki. W tej koncepcji Moskwa ma oczywiście własne pomysły na to, kto i jak powinien rządzić w Europie Środkowej. Zresztą Kreml konsekwentnie realizuje działania, które mają przywrócić jego wpływy na obszarze dawnego ZSRS i krajów satelickich. W tej koncepcji Polska powinna być krajem formalnie zawieszonym w strukturach zachodnich, ale faktycznie funkcjonować w szarej strefie buforowej między

eprasa.pl 0d93b09f36

Europą Zachodnią a Rosją. Kreml wielokrotnie formułował takie oczekiwania w sposób dobitny i jednoznaczny, w grudniu 2021 r. w istocie stawiając Zachodowi ultimatum – wycofanie NATO z Europy Środkowej w zamian za pokój w Europie.

POLSKA POWINNA ZNIKNĄĆ

W koncepcjach rosyjskich strategów i propagandystów Polska jest krajem, który w strukturach Zachodu powinien być członkiem drugiej kategorii. Właśnie po to, by być podatnym na rosyjskie interwencje i wpływy. Oferta rosyjska dla naszego kraju jest bowiem jednoznaczna: ma być on miejscem realizowania przez Rosję jej interesów albo wrogiem. I wielokrotnie wybrzmiało to w ustach najważniejszych polityków na Kremlu. „Przez dość długi czas w historii Polska była częścią naszego państwa. [...] Praktycznie przez resztę czasu Polska była naszym wrogiem, szkodziła naszemu państwu, prowadziła z nami wojny, popierała tych, którzy z nami wojowali itd." – w ten sposób rzecznik Władimira Putina Dmitrij Pieskow określił historię stosunków między Polską a Rosją. Inny z rosyjskich propagandystów, Aleksander Dugin, mający realny wpływ na geopolityczne wizje Kremla, zaznaczył, że Polska powinna w ogóle zniknąć z mapy Europy. „Na eurazjatyckim kontynencie dla Polski miejsca nie ma. [...] W swoim geopolitycznym oraz sakralno-geograficznym rozwoju Rosja nie jest zainteresowana istnieniem niepodległego państwa polskiego w żadnej postaci" – pisał, dodając, że to nie kwestia emocji, ale „praw geografii sakralnej i geopolityki". W ostatnim czasie w rosyjskiej propagandzie nasz kraj jest wielokrotnie atakowany i krytykowany m.in. za „rusofobię", czyli w rzeczywistości realizowanie działań sprzecznych z interesami Kremla. W głośnym wywiadzie Putina dla prorosyjskiego dziennikarza z USA Tuckera Carlsona Polska pojawiała się wielokrotnie i zawsze w złym kontekście. Rosyjski przywódca prezentował historię RP jako pasmo działań wymierzonych w Rosję i agresywnych wobec Rosjan. Despota prezentował wiele historycznych absurdów, ale przekaz miał być jeden: Polska pozostanie wrogiem, dopóki będzie realizowała politykę sprzeczną z interesami Rosji i rosyjskim planem na Europę.

Zagrożenia kolonializmem ze Wschodu są dla Polaków oczywiste. W przeszłości Kreml wielokrotnie atakował Polskę, popełniał wiele zbrodni i prowadził grabież. Polskie społeczeństwo realnie ocenia politykę Moskwy i widzi jej ostrze, wymierzone w nasz kraj również dziś. Rosyjskie działania dotyczą ataków propagandowych, hybrydowych i presji politycznej, a wrogość jest faktem. Jeśli Rosja zidentyfikuje możliwości wprowadzenia swoich planów w życie, będzie próbowała doprowadzić do faktycznego oderwania Europy Środkowo-Wschodniej od reszty Zachodu i wymusić zmiany strategii politycznych, które pozwolą Moskwie korzystać z zasobów tych państw, a także realizować swoje cele ich kosztem. Wrogi wobec Europy Środkowej plan jest głęboko zakorzeniony w świadomości rosyjskich elit, czego Polacy wielokrotnie doświadczyli w przeszłości.

MITTELEUROPA 2.0

Mało kto natomiast zna historię innych doktryn i strategii geopolitycznych, które są dla Polski równie niepokojące. Chodzi o niemieckie koncepcje polityczne. Kilka miesięcy temu mówił o tym prof. Grzegorz Kucharczyk w bardzo ciekawym wywiadzie dla portalu wPolityce.pl. Ekspert nakreślił historię koncepcji Mitteleuropy, którą Berlin w różnych odsłonach i różnymi metodami realizuje od dekad. Rozmowa z prof. Kucharczykiem koncentruje się na koncepcji Friedricha Naumanna, niemieckiego liberalnego polityka i publicysty, który zbudował i promował nowe podejście do działań Rzeszy Niemieckiej wobec Europy Środkowej.

Koncepcja Naumanna nie zakłada użycia wobec Polski działań militarnych. To raczej plan wykorzystania wielu elementów politycznego, kulturowego i gospodarczego wpływu, by realizować koncepcje korzystne dla Berlina. Zarysowany przez niego pomysł można przyrównać do działań z zakresu soft power, które mają zapewnić autorowi wpływu pozycję dominującą, ale bez atrybutów agresji czy inwazji. „Naumann w swojej koncepcji Mitteleuropy nie pisał, że ziemie w Europie Środkowej mają być bezpośrednio wcielone do Rzeszy. Nic takiego u niego nie występowało, a nawet pisał wprost – gdyż ciąg jego rozumowania był jasny – że nie można germanizować np. Polaków. Uważał, że mają oni prawo mieć własne szkoły, urzędy, a nawet własne państwo. Wszystko to jednak powinno wypełniać służebną rolę wobec nadrzędnych interesów Rzeszy, to Berlin miał ustalać tempo, zakres i granice rozwoju całej Europy Środkowej, w tym Polski. Mówiąc dzisiejszym językiem, to w Berlinie miano określać nieprzekraczalną barierę rozwojową, czyli taki szklany sufit" – tłumaczy prof. Kucharczyk. Ta koncepcja nosi więc charakter dominacji polityczno-społecznej, która ma dać stronie niemieckiej konkretne korzyści ekonomiczne i rozwojowe, czyli, mówiąc wprost, ma pozwolić Niemcom rozwijać się kosztem krajów Europy Środkowej, w tym Polski.

W rozmowie prof. Kucharczyk opisuje również relacje między doktryną Naumanna a koncepcjami Bismarcka czy Maxa Webbera, nakreślając jednocześnie, że plan kolonizacji Europy Środkowej był powszechny w myśli politycznej Niemiec. Stratedzy różnili się w szczegółach, bowiem – jak mówił prof. Kucharczyk – „Naumann zakładał, iż trzeba odejść od takiej prostej, twardej polityki pod hasłem »ausrotten«, czyli wykorzeniania, jak mówił Bismarck o Polakach. Twarda polityka, której twarzą był właśnie Bismarck, była według Naumanna błędna, nieskuteczna i jak gdyby w zarodku niszczyła dopełnienie przez Niemcy pewnego rodzaju sieci imperialnych wpływów". Analiza prof. Kucharczyka jest jednoznaczna – niemieckie koncepcje z przełomu XIX i XX w. powszechnie zakładały próby podporządkowania sobie Europy Środkowej. Różnice dotyczyły metod, a nie celów.

Wywiad z prof. Kucharczykiem dowodzi, jak mocno zakorzeniona w historii Niemiec jest koncepcja podporządkowania sobie Europy Środkowej. Rzeczywiście, niemiecka polityka od czasu Bismarcka obfituje w wielokrotnie podejmowane próby

eprasa.pl 0d93b09f36

podporządkowania krajów i narodów Europy Środkowej. Berlin próbował to robić metodami wojennymi, a także działaniami o charakterze wpływu kulturalno-gospodarczego. Jego dzisiejsza polityka również zakłada takie oddziaływanie w Europie. „Nowoczesny soft power i oddziaływanie przez budowanie wpływów kulturowych, wychowywanie miejscowych elit, to wszystko można nazwać Mitteleuropą w wersji 2.0" – wskazuje Kucharczyk. W ostatnich dekadach wyraźnie widać realną dominację polityczno-gospodarczą Berlina w Europie. Realizowaniu tej koncepcji służy obecny kształt Unii Europejskiej, który zapewnia Niemcom uprzywilejowaną pozycję polityczną, rozwojową i gospodarczą. Niemcy bardzo chętnie realizują opisane działania również poprzez aktywność swoich fundacji, które dziś często mają strategiczne znaczenie dla polityki zagranicznej RFN. To pokazuje, że koncepcje omówione przez prof. Kucharczyka nie pozostają jedynie na papierze. Berlin rzeczywiście wciela je w życie.

WIDMO NOWEGO RESETU

Koncepcja polityczna wobec Europy Środkowej jest więc obecna i widoczna do dziś, nie tylko w Rosji, lecz także w Niemczech. Choć działania tych dwóch państw opierają się na innych mechanizmach oddziaływania, oba mają wspólny mianownik, jakim jest próba ułożenia po swojemu stosunków politycznych i gospodarczych z Europą Środkową. Ułożenia, co oczywiste, pod własne potrzeby. Sytuacja, w której nasi sąsiedzi mają ugruntowane myślenie o regionie, jest niepokojąca i szkodliwa dla naszych możliwości rozwojowych. Sytuacja robi się realnie niebezpieczna, gdy te kraje zaczynają współdziałać. Oba państwa mają w swoich koncepcjach politycznych wobec Europy Środkowej zaszyty mechanizm współdziałania i współpracy.

W cytowanym wcześniej wywiadzie Putina udzielonemu Carlsonowi prezydent Rosji sam z siebie nawiązał do relacji rosyjsko-niemieckich. Oskarżył on Polskę o doprowadzenie do wstrzymania połączenia gazowego między Rosją a Niemcami, co w narracji Kremla jest działaniem szkodliwym dla całej Europy. Ukłon w stronę Niemiec nie jest przypadkiem. To element szerzenia wizji powrotu do stosunków Berlin–Moskwa, na których oba państwa zyskiwały kosztem reszty Europy. Przejawem tego i symbolem jest projekt Nord Stream, który zakłada realizowanie wspólnych interesów kosztem bezpieczeństwa i gospodarki Europy Środkowej. Ten deal dawał Rosji realne korzyści finansowe oraz narzędzia nacisku strategicznego na Europę Środkową (szantaż i presję energetyczną, a nawet logistyczną możliwość przekierowania tras dostaw gazu na Zachód, co otwierało drogę do ataku militarnego na Ukrainę), Niemcom umożliwił zaś pozyskanie taniego surowca, co stało się kluczowe dla szybkiego rozwoju ich gospodarki (odcięcie RFN od taniego gazu z Rosji skutkuje poważnym osłabieniem gospodarki). Jak ujawnił w jednym z ostatnich programów na Kanale Zero Sławomir Dębski, niemiecka klasa polityczna miała świadomość, że koszty tego porozumienia poniesie m.in. Polska. „No cóż, jesteśmy gotowi zapłacić taką cenę" – miał Dębskiemu odpowiedzieć niemiecki dyplomata. To dość jednoznaczne potwierdzenie tego, że Niemcy przedkładali biznes z Rosją i własną egoistyczną potrzebę rozwoju ponad bezpieczeństwo Europy Środkowej.

Rosja od dwóch lat powtarza apele i oferty do Niemiec, by stali się liderem kolejnego resetu, który zgodnie z założeniami Moskwy pozwoli na powrót do rosyjskiej gry o pozycję w Europie. Te apele wynikają z dobrego rozeznania strategicznych i długofalowych koncepcji niemieckiej polityki wobec Wschodu. W przeszłości Berlin, nawet wbrew własnej logice i realnej ocenie sytuacji w Rosji, widział bowiem w Kremlu partnera. „Jeżeli mówimy o Mitteleuropie, to Naumann uważał, że mimo tego, iż Rosja jest krajem skorumpowanym, mimo że może ją czekać kolejna rewolucja, to jednak jest stałym elementem, z którym niemiecka polityka powinna się liczyć. On właściwie odwoływał się do słynnych słów Bismarcka, który porównywał Rosję do pogody, czyli stałego czynnika. Rosja zła czy dobra, ale zawsze jest" – tłumaczy prof. Kucharczyk. Przejawy takiego spojrzenia na stosunki Rosja–Niemcy do dziś widać w debacie publicznej w RFN. Ostatnio widmo nowego resetu jest wręcz mocniej odczuwalne.

> W dużej mierze to od nas zależy, czy będziemy zarządzać, czy będziemy zarządzani. Mamy potencjał budowania podmiotowości w regionie. Powinniśmy mieć też ambicje

Niemiecka i rosyjska koncepcja ułożenia pod siebie stosunków w Europie Środkowej jest dla Warszawy wyzwaniem rozwojowym. Współbrzmienie tych koncepcji staje się zagrożeniem egzystencjalnym. Jeśli Polska chce mieć szanse na rozwój gospodarczy, podmiotowość polityczną oraz stabilne bezpieczeństwo, musi znaleźć potencjał neutralizowania i przełamania tych koncepcji. Dlatego tak ważna jest polityka bezpieczeństwa, oparta na własnym potencjale oraz współpracy sojuszniczej, głównie z USA, Wielką Brytanią czy Szwecją, a także silne relacje z państwami regionu, głównie wschodniej flanki NATO. Dlatego tak ważna jest budowa oraz rozwijanie formatów wzmacniających potencjał Europy Środkowej, np. projekt Trójmorza. Polska jako jedyny kraj regionu ma potencjał przewodzenia – jeśli będzie chciała z niego korzystać. W dużej mierze to od nas więc zależy, czy będziemy zarządzać, czy będziemy zarządzani. Mamy potencjał budowania podmiotowości w regionie. Powinniśmy mieć też ambicje.

Stanisław Żaryn

Autor jest doradcą prezydenta RP, byłym zastępcą ministra koordynatora służb specjalnych

eprasa.pl 0d93b09f36

Scruton czuł się tu jak w domu

Fundacja Europa Karpat i Przemyskie Towarzystwo Kulturalne upamiętniły 80. rocznicę urodzin Rogera Scrutona, wybitnego brytyjskiego filozofa i pisarza, konserwatysty zaangażowanego w latach osiemdziesiątych w pomoc działaczom antykomunistycznym w Polsce, Czechosłowacji i na Węgrzech

Roger Scruton w czerwcu 2019 r. został odznaczony przez prezydenta Andrzeja Dudę Krzyżem Wielkim Orderu Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej

Fot. Krzysztof Sitkowski/KPRP

W spotkaniu, które odbyło się 3 marca br. w Przemyślu, uczestniczyli m.in. europoseł prof. Zdzisław Krasnodębski i dr Jan Musiał – na żywo oraz prof. Maciej Szymanowski, Marek Matraszek i Jacek Karnowski – online.

Witając uczestników spotkania, poseł Marek Kuchciński, gospodarz historycznego „Strychu Kulturalnego" i prezes Przemyskiego Towarzystwa Kulturalnego w latach 1989–1999, powiedział m.in.: „Do przypomnienia tej wybitnej postaci zachęciła nas też wielka debata o przyszłości Unii Europejskiej, tocząca się dzisiaj w całej Europie. Roger Scruton oceniał przyszłość Europy także przez pryzmat sporu między światem komunistycznym po 1989 r. w naszym postkomunistycznym kraju a światem konserwatystów, postrzegających przetrwanie czy funkcjonowanie cywilizacji europejskiej w oparciu o m.in. tradycyjny system wartości. Ten spór trwa i ma swoje konsekwencje w polityce, kulturze, sztuce, życiu społecznym. [...] W latach komunizmu Roger Scruton odwiedzał nie tylko Polskę, lecz także inne państwa obozu socjalistycznego: Czechosłowację i Węgry. Dlatego celem upamiętnienia jego obecności w naszych krajach rozpoczynamy dzisiaj cykl internetowych spotkań »Europy Karpat« pod nazwą »Klub Dyskusyjny E-Scruton Cafe«".

Prof. Zdzisław Krasnodębski wspominał polskie wizyty Rogera Scrutona, którego poznał osobiście w 1983 r., goszcząc go przez kilka dni w swoim warszawskim mieszkaniu. Później spotykał się z nim wielokrotnie: „Roger przyjechał do Polski, żeby wspierać opozycyjne, podziemne środowiska konserwatywne. Wcześniej działał już w ten sposób w Czechosłowacji, założywszy w Wielkiej Brytanii Stowarzyszenie im. Jana Husa. Widział, że Polska jest inna, bardziej tradycyjna i religijna, bardziej zmobilizowana do walki z komunizmem, szczególnie po wyborze papieża Jana Pawła II. Gdy przyjechał do Polski i nawiązał pierwsze kontakty, założył w Wielkiej Brytanii organizację Jagiellonian Trust, czyli Powiernictwo Jagiellońskie. Miało ono za zadanie szerzyć idee konserwatywne przez dostarczanie zainteresowanym książek i czasopism konserwatywnych, a także organizowanie wykładów i seminariów w prywatnych mieszkaniach. Scruton był inicjatorem, a pomagało mu grono znajomych i przyjaciół: Jessica Douglas-Home, Agnieszka Kołakowska, David Levy, Dennis O'Keffe i inni. To oni założyli to stowarzyszenie, w którym również działali przedstawiciele Polonii, emigracji politycznej. Później organizowaliśmy wspólne spotkania. [...] Dlaczego Roger Scruton i jego brytyjscy przyjaciele interesowali się Polską? Zauważyli, że w Polsce, na Węgrzech, w Europie Środkowej dzieją się rzeczy decydujące dla całego kontynentu, całego Zachodu. Potem upadł mur berliński".

Wygrane przez Komitet Obywatelski „Solidarność" wolne wybory do Senatu w 1989 r., przyłączenie komunistycznej NRD do kapitalistycznej RFN

eprasa.pl 0d93b09f36

i wreszcie rozpad Związku Sowieckiego wiele osób w Polsce uważało za ostateczny upadek komunizmu w Europie. To złudzenie nie mogło być udziałem Rogera Scrutona, którego marksistowscy filozofowie z czołowych brytyjskich uczelni potępiali jako skrajnego prawicowca i doprowadzili do pozbawienia go stałej pracy jako profesora na uniwersytecie w Londynie.

Trzeźwo oceniał tę sytuację również prof. Zdzisław Krasnodębski: „Dzisiaj buduje się taki mit, że komunizm jest zjawiskiem wyłącznie wschodnioeuropejskim, a w związku z tym uważa się, że gdy upadł mur berliński, to skończyły się te tendencje polityczne i kulturowe, które do komunizmu doprowadziły. Tymczasem jest to produkt kultury Europy Zachodniej. Trzeba pamiętać, o czym zresztą Scruton zawsze mówił, że Marks nie był przecież Rosjaninem. Pochodził z Trewiru, a swoje życiowe dzieło pisał w muzeum brytyjskim. A więc to są naprawdę idee wyrosłe na Zachodzie. Partia komunistyczna we Francji była ogromnie wypływowa po wojnie, tak samo jak włoska partia komunistyczna. W mojej młodości, kiedy po raz pierwszy wyjechałem na Zachód, to na uniwersytetach zachodnich spotkałem wierzących w marksizm profesorów i intelektualistów, podczas gdy u nas w Polsce »marksiści« to byli już najczęściej cyniczni pragmatycy".

Marek Matraszek, dziennikarz i komentator polityczny, przypomniał, że gdyby nie poznał na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim Marka Kuchcińskiego, „to Roger Scruton nigdy nie usłyszałby o Przemyślu i o środowisku niezależnej kultury skupionej wokół »Strychu Kulturalnego« i Przemyskiego Towarzystwa Kulturalnego. To był więc – zapewniał Matraszek – zwykły splot przypadków, który zaowocował niemałymi osiągnięciami, jeżeli chodzi o obecność Rogera Scrutona w Polsce. On obdarzał Przemyśl niezwykłą atencją i sympatią. Jego przyjazdy do Polski zawsze były związane z pytaniem: »A czy i tym razem mogę się wybrać do Przemyśla?«. Jego wizyty odbywały się nie tylko w połowie lat 80., ale również m.in. w 1990 r. Wtedy to na zamku krasiczyńskim odbyła się pierwsza wielka konferencja, publiczna i otwarta, o myśli konserwatywnej, o prawicy w Europie Środkowo Wschodniej. Pan marszałek Kuchciński był wtedy gospodarzem tej konferencji, a Roger Scruton i jego brytyjscy przyjaciele z Fundacji Jagiellońskiej również byli tam obecni".

Marek Matraszek wspomniał również, że w Wielkiej Brytanii Roger Scruton czuł się całkowicie wyobcowany jako filozof konserwatywny. Jego konserwatywne poglądy były lekceważone i potępiane przez lewicowych profesorów czołowych brytyjskich uniwersytetów, jak Oxford czy Cambridge. W konsekwencji stracił stanowisko profesora Birkbeck College w Londynie. Czuł się więc bardziej swobodny, głosząc swoje poglądy i działając publicznie w krajach Europy Środkowej, także w Polsce: „Roger Scruton może najbardziej czuł się u siebie w domu właśnie w Przemyślu, gdzie mury Starego Miasta były echem przeszłości, ale przede wszystkim czuł, że w Przemyślu postrzegano świat poprzez wartości wspólnoty lokalnej, tradycji, języka, kultury, religii, więzów krwi. I to, co było dla niego najcenniejsze, widział jak w soczewce właśnie w środowisku intelektualnym na »Strychu Kulturalnym« prowadzonym przez Marka Kuchcińskiego. [...] Właśnie tu się czuł najbardziej u siebie, ponieważ to miejsce w naturalny sposób wyznawało te wartości, które on uznawał za najważniejsze w życiu.

> Roger Scruton: „Ze wszystkich miejsc, w których nawiązałem przyjaźnie w ciągu tych trudnych lat, dwa z nich jawią mi się jako symbol polskiego ruchu oporu przeciwko komunizmowi: Katolicki Uniwersytet Lubelski oraz Przemyśl"

Redaktor naczelny tygodnika „Sieci" Jacek Karnowski przypomniał m.in. ostatnie wizyty Rogera Scrutona w Polsce (w latach 2016 i 2019), zauważając, że odbyły się one w szczególnych okolicznościach: „To był jednak świat, w którym władzę polityczną sprawował niebywale mu życzliwy obóz, który go celebrował, odznaczał i także eksponował. Była to więc z pewnością jakaś chwila jego osobistego triumfu. Również Kongres Polska Wielki Projekt, a także wszystkie inne przedsięwzięcia. Roger Scruton przeczuwał jednak coś, czego my może nie widzieliśmy. A mianowicie kruchość tego wszystkiego, co stanowiło o władzy obozu Zjednoczonej Prawicy. Taką kruchość, którą teraz czujemy. Procesy, które doprowadziły brytyjskich konserwatystów tam, gdzie są, czyli do momentu, w którym opierają się na elektoracie 65 plus, a wśród młodych poparcie dla nich wynosi zaledwie dziesięć czy kilkanaście procent. Te same procesy dotyczyły również Polski. On widział, że neomarksiści tutaj są i że toczy się już ta wojna, niszcząca wszystko, że ten walec jedzie, zostawiając zgliszcza z tego świata, który kochamy i w którym chcielibyśmy żyć. [...] Zaglądając do jego książek, zawsze miałem wrażenie, że on mnie w jakiś sposób rozczarowywał taką cichością swojej odpowiedzi na pytanie: co robić? Bo książek, które opisują kres naszej cywilizacji, jest aż nadto. Wszyscy to mniej więcej wiemy i przeczuwamy. A tych, którzy próbowaliby odpowiedzieć na pytanie, »co robić?«, jest bardzo niewielu. Scruton próbował, ale jego odpowiedzi były nadzwyczaj skromne, chwilami jakby wyciśnięte. Sprowadzały się do tego, że ważne jest piękno, że trzeba zbliżać się do tego, co dobre, co podtrzymuje porządek, że trzeba dystansować się od tego, co sieje chaos i zniszczenie. Ale on był z tego świata, w którym konserwatyści ponieśli całkowitą klęskę, a my jesteśmy w tym świecie, w którym toczył się spór i w Polsce jeszcze się toczy".

45/1123/F

eprasa.pl 0d93b09f36

Jak dziś odzyskać młodzież dla idei konserwatywnej? Prof. Krasnodębski radzi po prostu wsłuchać się w wypowiedzi Scrutona – są pewne elementarne wartości, które warto przyjąć. „Konserwatyzm to utrzymywanie czegoś, co jest dla nas fundamentalne: miłość, dobro, piękno, szacunek dla naszych rodziców, dla rodziny, wspólnoty, narodu" – podsumowuje prof. Krasnodębski.

Kończąc tę relację, przypomnijmy, że podczas VI Kongresu Polska Wielki Projekt w czerwcu 2016 r. marszałek Sejmu Marek Kuchciński w obecności przewodniczącego kapituły medalu Zdzisława Krasnodębskiego oraz prezydenta Andrzeja Dudy odznaczył sir Rogera Scrutona Nagrodą im. Prezydenta Lecha Kaczyńskiego – medalem Odwaga i Wiarygodność za zaangażowanie w budowę dobrego wizerunku Polski i działalność wspierającą opozycję antykomunistyczną w naszym kraju. W czerwcu 2019 r. brytyjski filozof został odznaczony przez prezydenta Andrzeja Dudę Krzyżem Wielkim Orderu Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej. Dodajmy, że w 1998 r. Roger Scruton otrzymał z rąk prezydenta Václava Havla czeski medal Za Zasługi I stopnia, a w grudniu 2019 r. został odznaczony przez premiera Victora Orbána węgierskim Orderem Zasługi.

Po dekoracji medalem Odwaga i Wiarygodność Roger Scruton w szczególny sposób wspominał swoje spotkania na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim oraz w Przemyślu: „Ze wszystkich miejsc, w których nawiązałem przyjaźnie w ciągu tych trudnych lat, dwa z nich jawią mi się jako symbol polskiego ruchu oporu przeciwko komunizmowi: Katolicki Uniwersytet Lubelski, który zachował swoją intelektualną autonomię w latach komunizmu, oraz Przemyśl, miasto w południowo-wschodniej Polsce, które było w centrum wielu konfliktów i gdzie coś pozostało ze starego społecznego ducha. Już wówczas w Przemyślu istniała grupa dyskusyjna poświęcona ideom filozoficznym i politycznym. Nasze wizyty tam były entuzjastycznie witane przez uczestników. Nawiązaliśmy w tym mieście kontakty z artystami, autorami podziemnych wydawnictw i wkrótce zorientowaliśmy się, że Przemyśl był miejscem, które chciało pozostać sobą mimo ponurej komunistycznej rzeczywistości".

Roger Scruton zmarł 12 stycznia 2020 r. w wieku niespełna 76 lat, w niewielkiej angielskiej wiosce Brinkworth, gdzie pod koniec życia mieszkał otoczony miłością rodziny, zwierzętami oraz szacunkiem lokalnej społeczności. Po jego śmierci, jak zauważył prof. Zdzisław Krasnodębski: „Kiedyś liberalny, a dzisiaj lewicowy »The Economist« napisał – »Zmarł filozof głęboki, chociaż kontrowersyjny«".

Jacek Borzęcki

REKLAMA

SALTUS
UBEZPIECZENIA
saltus.pl

W ofercie ubezpieczenia:
mieszkaniowe,
zdrowotne, NNW,
podróżne i na życie!

Dostępne m.in. w placówkach Spółdzielczych Kas oraz Banków Spółdzielczych

TOWARZYSTWO UBEZPIECZONYCH

eprasa.pl 0d93b09f36

Kto wymyślił Zielony Ład

Zielony Ład nie jest projektem ochrony klimatu, lecz całkowitej zmiany stosunków gospodarczych i społecznych. Sposobem na pełną kontrolę życia obywateli Europy

DARIUSZ MATUSZAK

Teza postawiona na początku tego tekstu może się wydawać teorią spiskową, ale przestaje nią być, gdy przyjmie się deklaracje pomysłodawcy Zielonego Ładu. Ten projekt nie narodził się w Unii, lecz w USA, a wymyślił go w 2019 r. piekielnie bogaty informatyk z Doliny Krzemowej Saikat Chakrabarti w czasie kampanii do Kongresu. Z grupą towarzyszy postanowił znaleźć jakąś łatwo sterowalną, ale niepozbawioną pasji i charyzmy osobę i wprowadzić ją do Kongresu. Wyszło na to, że najlepiej nadaje się kelnerka Alexandria Ocasio-Cortez. Jak już ją wprowadził, został szefem jej personelu i wymyślił Green New Deal, więc pani Alexandria ogłosiła, że jak się nie powstrzyma globalnego ocieplenia, to ok. 2030 r. Ziemię czeka zagłada. Apokaliptyczną wizję podchwyciła mierzwa ekosekt, Partia Demokratyczna i otoczenie Joe Bidena, który już prowadził kampanię prezydencką w 2020 r. i potrzebował wyborców skrajnej lewicy. A potem jak zaraza z Chin koszmarny, totalitarny projekt przywędrował do Unii.

Pomysłodawca Nowego Zielonego Ładu Chakrabarti był tak napompowany sukcesem, że wygadał się co do swoich prawdziwych intencji. Okazało się, że nie chodzi o klimat czy tym podobne bzdury, tylko o narzędzia, które całkowicie zmienią stosunki gospodarcze w USA. Coś, co pozwoli przejąć kontrolę nad gospodarką i zaprowadzić socjalizm.

Ameryka wycofała się z co głupszych pomysłów, poszczególne stany mają zbyt dużo suwerenności, by Waszyngtonu mógł im wszystko narzucić, ale państwa Unii można traktować jak prowincje i Bruksela nie musi się hamować, wprowadzając w życie totalitarny projekt.

DROGA DO NĘDZY

Opowieść o genezie Zielonego Ładu jest potrzebna, by zrozumieć jego istotę. To projekt politycznej inżynierii społecznej, a nie sposób na to, by do 2100 r. temperatura na Ziemi była prawidłowa. Nawet jeśli ktoś uważa, że intencją nie jest zmiana stosunków gospodarczych i społecznych, to właśnie takie będą jego skutki. Nie da się też ukryć, że projekt wymaga porządków totalitarnych, bo obejmuje wszystkie aspekty życia. Już w 2020 r. mówiła o tym przewodnicząca Komisji Ursula von der Leyen, anonsując go podczas orędzia o stanie Unii: „Musimy zmienić sposób, w jaki traktujemy przyrodę, jak produkujemy i konsumujemy, żyjemy i pracujemy, odżywiamy się i ogrzewamy, podróżujemy i transportujemy".

Nie wiem, jak ta Niemka traktuje przyrodę, ale jeśli chce, to niech sobie

eprasa.pl 0d93b09f36

zmienia swój sposób jej traktowania. Poziom pychy i arogancji przebija skalę. Tej kobiecie roi się, że jest naszą władczynią i może nam mówić, co mamy jeść, jak podróżować, ogólnie – jak żyć. I my się na to godzimy. Ani pandemia, ani wojna na Ukrainie i kryzys nie są w stanie zawrócić władców Unii z drogi ku totalitarnym porządkom.

Do czasu ogłoszenia owego totalitarnego ładu pomysły, by zaprojektować klimat na planecie, były rozproszone. Teraz wszystko jest zebrane w jednym manifeście, w dyrektywie wszystkich dyrektyw pod nazwą Zielony Ład, czy też „Fit for 55", co niby należy rozumieć jako gotowy, wspaniały projekt lepszego życia, a tak naprawdę oznacza zagłodzenie kontynentu do 2055 r.

Na totalitarny ład należy bowiem patrzeć w całości, by pojąć jego szaleństwo. Gdy poszczególne pomysły będziemy rozpatrywać pojedynczo, z podziałem na branże czy aspekty życia, będzie się wydawać, że to oddzielne sprawy rolników, transportowców, właścicieli domków albo firm. Być może uznamy, że jak obłąkańcy zrezygnują z nakazu ugorowania ziemi lub dostaniemy osłony na koszty energii, to sprawa będzie załatwiona. W rzeczywistości ten projekt w całości należy wywalić na śmietnik, zutylizować. To się nie nadaje nawet do recyclingu. Dlaczego? Bo totalitarny ład, koszmar centralnego planowania, doprowadzi nas do nędzy.

SZALONE PROJEKTY

Gdy piszę ten tekst, Parlament Europejski przegłosował wyremontowanie 75 proc. budynków w Unii – ponad 100 mln – by spełniały jakieś normy energetyczne. To dobry przykład, aby pokazać skalę klimatycznego szaleństwa. Zjednoczona Prawica też ma swego unijnego czempiona, wyznawcę klimatyzmu w osobie posła Waldemara Budy. W przypływie ekologicznego wzmożenia Ministerstwo Rozwoju i Technologii jeszcze pod jego rządami przyjęło Strategię Renowacji Budynków, która zakłada termomodernizację ok. 7,5 mln obiektów do 2030 r., czyli 236 tys. rocznie, a później 270 tys. Jaka jest skala tego przedsięwzięcia? Otóż w Polsce buduje się ok. 230 tys. mieszkań rocznie. Jakim więc cudownym zrządzeniem sił przyrody i Unii mielibyśmy termomodernizować 236 tys. budynków? Za co, czym, jakimi siłami? Nawet jeśli minister Buda rozhuśtał się w przypływie unijnej gorliwości i tak sobie napisał spod palca, to skala wyzwań stawianych przez szaleńców z Brukseli się nie zmienia.

Bo do tego dochodzi choćby likwidacja do 2040 r. wszystkich pieców na paliwa kopalne. Co z tego, że wymieniłeś, obywatelu, kopciucha na superekologiczny piec. Na złom z nim, bo, jak tłumaczą niektórzy, od kiedy Niemcy nie mogą mieć taniego gazu od Rusków, to nikt w Unii nie będzie używał tego paliwa.

Wszystko się kręci jak karuzela obsługiwana przez pijanego maszynistę i za chwilę nikt nie będzie wiedział, jaką instalację założyć w domu – Unia rozważa zakaz używania ekocudownych pomp ciepła, a właściciele i najemcy będą się doktoryzować z klas i certyfikatów energetycznych budynków oraz z handlu uprawnieniami do emisji gazów cieplarnianych ETS, bo za trzy lata będą za nie płacić jak producenci energii. Polska już trwoni na nie ok. 30 mld rocznie – w 2022 r. kupiliśmy ich za granicą za 33 mld, a od 2027 r. my, obywatele, będziemy pośrednio wydawać kolejne 21 mld rocznie tylko dlatego, że mamy dach nad głową. Ładna sumka – ponad 50 mld, czyli tyle co jedna trzecia kosztów budowy CPK. W trzy lata przepalimy Centralny Port Komunikacyjny. A to nie wszystko, bo przecież ETS obejmie transport samochodowy, wodny i lotniczy.

Będzie więc tak, że niby mamy remontować 230 tys. budynków rocznie, montować na dachach panele fotowoltaiczne, których 80 proc. produkują Chiny, a Unia ledwie 3 proc., przepalać 50 mld na ETS, zastępować samochody spalinowe elektrycznymi i „przywracać" gigantyczne obszary naturze – do 2030 r. 30 proc.

Bank Pekao obliczył, że do 2030 r. na „Zagłodzenie 55" Polska wyda 190 mld euro. A wszystko to w czasie, gdy za miedzą trwa wojna, Moskale zagrażają Europie, a cała Unia nie jest w stanie wyprodukować 1 mln pocisków artyleryjskich.

UNIJNA DOLINA ŚMIERCI

Oczywiście celem władców Unii nie jest nędza poddanych. Ona jak w socjalizmie będzie skutkiem ubocznym ich rojeń, że zaprojektują klimat i życie 500 mln ludzi, których trzeba trzymać w reżimie totalitarnego ładu, bo inaczej, jak Trzaskowskiemu, planeta im się zapali. Ja uważam, że to, co się dzieje na Ziemi, jest im całkowicie obojętne, a klimatyzm to narzędzie kontroli, zaspokajania żądzy władzy, pokarm dla pychy i poczucia wyższości. Nie przeszkadza im 40 tys. kilkuletnich dzieci pracujących jak niewolnicy w kopalniach Konga, by wydobywać lit potrzebny do ekocacek na czterech kółkach. A żadne cele, które oficjalnie wskazują brukselscy panowie, nie zostaną zrealizowane.

Gdy Ursula von der Leyen zapowiadała Zielony Ład, mówiła, że w Unii powstanie Dolina Wodorowa. Jakie to sprytne. Ameryka ma Dolinę Krzemową, a my będziemy mieli wodorową. Sprytne podwójnie, bo wodór jest najpowszechniejszym pierwiastkiem we wszechświecie. Sami więc państwo widzicie, że taki amerykański krzem nie ma szans z unijnym wodorem. O co z nim chodzi – nie wiadomo. Być może o silniki, a może o to, by go sprasować, aby w stanie stałym był idealnym przewodnikiem. Wystarczy tylko stworzyć takie warunki, jakie panują we wnętrzu Jowisza. Podobno udało się to na Uniwersytecie Harvarda. Podobno, bo gdy pomiędzy diamentami „sprasowano" kilkadziesiąt atomów wodoru, to owe diamenty rozprysły się jak szkło. No i gdzieś się te atomy wodoru zapodziały na podłodze. Może później sprzątaczka je zamiotła i wyrzuciła. Na razie zamiast wodorowej w Unii jest dolina śmierci, jak to na zlocie Światowego Forum Ekonomicznego w Davos ujawniła komisarz ds. innowacyjności Iliana Iwanowa. Chodziło jej o to, że Unia tak się stara, tyle zaplanowała wynalazków i odkryć naukowych, a nic z tego nie wychodzi.

Ale są i optymistyczne wieści. Haracz na ETS może się zmniejszyć, bo maleje zapotrzebowanie na energię. I to jest wielka zasługa unijnego ładu, bo dzięki niemu przemysł się zwija. Właśnie ogłoszono, że produkcja w Unii spadła o 6,5 proc. rok do roku, a 67 proc. niemieckich firm tego sektora zadeklarowało, że jest w trakcie przenoszenia fabryk do USA i na Daleki Wschód.

eprasa.pl 0d93b09f36

Lekcja o wolności

Z państwem ***Bogusławą*** i ***Tadeuszem Gorami***, byłymi nauczycielami i uczestnikami obrony krzyża w Miętnem w 1984 r., rozmawia Goran Andrijanić

eprasa.pl 0d93b09f36

Byli państwo nauczycielami w Zespole Szkół Rolniczych w Miętnem, gdzie w 1983 i 1984 r. trwał strajk młodzieży w obronie krzyży, które dyrekcja usunęła ze ścian. To były czasy bezpośrednio po stanie wojennym, kiedy komuniści masowo usuwali krzyże.

B.G.: W 1983 r. formalnie zniesiono stan wojenny. W czerwcu do Polski przyjechał Ojciec Święty, który powiedział wtedy, że mamy prawo bronić swoich wartości. Pamiętam, że dla nas wszystkich były to słowa, które dodały nam skrzydeł. Mówił, że mamy iść na ulice, na place naszych miast, do swoich przyjaciół, że mamy przywrócić im światło dnia. Zrozumieliśmy to dosłownie i poszliśmy do młodzieży. Ale w 1983 r. doszło też do zabójstwa Grzegorza Przemyka i ta zbrodnia odbiła się głośnym echem w całym kraju.

Chcę powiedzieć, że jesienią 1980 r. w Miętnem powstała Solidarność, bo bardzo duża grupa nauczycieli wyraziła chęć przynależności do tego ruchu. Czas stanu wojennego zweryfikował te postawy. Było nas mniej, ale nadal przyjeżdżaliśmy do Warszawy na różne prelekcje i konferencje. Wszystko, czego się dowiedzieliśmy, przekazywaliśmy uczniom. Uczestniczyli w wykładach, zapraszaliśmy do szkoły prof. Marka Drozdowskiego, który mówił o powstaniach i Katyniu. Patriotyzm wciąż był obecny wśród młodzieży. Oni to wynieśli z domu i z Kościoła, a my, nauczyciele, też się utożsamialiśmy z takimi postawami.

Na początku grudnia dyrektor szkoły wydał polecenia opiekunom, by zdjęli z sal krzyże. Wtedy zaczął się bunt uczniów.

B.G.: Ja wtedy uczyłam polskiego w trzech klasach maturalnych i kilku młodszych. Kiedy zaczęto zdejmować krzyże, mówiliśmy, że to nic nowego, że tak już się działo. Zresztą ja chodziłam do szkoły w PRL, a wtedy krzyży nie było.

Ale od czasu Solidarności uważaliśmy, że jako katolicy mamy prawo powiesić krzyż i nie powinno to nikogo ani razić, ani obrażać.

Ale bunt zaczął się od uczniów. To była oddolna inicjatywa. Młodzież poczuła, że potraktowano ją instrumentalnie. Mówiło się im, że samorząd jest ważny, że w szkole mają czuć się gospodarzami, ale nie zapytano ich o zdjęcie krzyża. To nie były dzieci, to była dojrzała młodzież. Szczególnie jeśli chodzi o klasy maturalne, bo to było pięcioletnie technikum i ci młodzi mieli po 19 lat. To była młodzież, która w domu pracowała w gospodarstwach. Wszyscy szybko uznali, że trzeba zareagować.

> Bunt zaczął się od uczniów. To była oddolna inicjatywa. Młodzież poczuła, że potraktowano ją instrumentalnie. Mówiło się im, że samorząd jest ważny, że w szkole mają czuć się gospodarzami, ale nie zapytano ich o zdjęcie krzyża

Panie Tadeuszu, pan też pracował w szkole. Czy wyglądało to na spontaniczną akcję?

T.G.: Tak, zdecydowanie. Po okresie Solidarności młodzież poczuła siłę, że sama coś znaczy, że może o czymś decydować. Ta mentalność kształtowała się właśnie w okresie solidarnościowym. Wtedy ludzie zduszeni przez system socjalistyczny wreszcie się wyprostowali i odzyskali swoją godność, uznali, że mają możliwość wpływania na pewne sprawy. O tym się rozmawiało w rodzinach i to wszystko kształtowało ich postawy. Ogólnie były to rodziny wierzące, ale trzeba przypomnieć, że dla uczniów krzyż był nie tylko znakiem wiary, lecz także tożsamości narodowej. Symbolem pewnych wartości, które wypływają właśnie z niego. Bo przecież nie wszyscy młodzi byli wierzący, mieli też rodziców, którzy byli w partii, na stanowiskach. Ale też stali się częścią tego strajku. Chodziło o wartości uniwersalne.

Nauczyciele poparli uczniów. Od grudnia 1983 do początku marca 1984 r. trwała gra z dyrekcją. Uczniowie i ich rodzice zawieszali krzyże na ściany, a te znowu były usuwane. Tak było do 5 marca.

T.G.: Wtedy po prostu przelała się czara goryczy. Po tym, jak krzyże znowu zniknęły, młodzież była zdecydowana, aby podjąć strajk okupacyjny.

Od grudnia do 7 marca to były krótkie protesty. Przez dwie, trzy godziny uczniowie organizowali jakieś modlitwy, śpiewali pieśni. Za każdym razem dyrektor coś obiecywał, że znajdzie jakieś rozwiązanie. 7 marca zaczął się strajk okupacyjny. Młodzież już od rana nie poszła na lekcje i wszyscy stanęli do strajku. Już ok. 11.00 Miętno zostało odcięte od świata. Z obu stron wjazdu do wsi ustawiły się posterunki milicji, przez które nie wpuszczano żadnych dziennikarzy. Wszystkich legitymowano, a przez kordon mogli się przedostać tylko mieszkańcy. Wieczorem, ok. 21.00, przyszedł dyrektor z prokuratorem, który nas poinformował, że szkoła zostaje zawieszona i od tego momentu wszyscy, którzy w niej przebywają, są tu nielegalnie. Młodzież postanowiła opuścić budynek i udać się do Garwolina, do kościoła, ale na przedmieściach została zatrzymana przez warszawską milicję. Informacja dotarła do garwolińskich księży, a w kościele uderzono w dzwony. Na miejsce, gdzie aresztowano młodzież, zaczęli zbiegać się mieszkańcy. Gdy przyszli księża, udało się wynegocjować, że milicja pozwoli młodzieży wrócić do internatu. Następnego dnia rano miała zostać odprawiona msza święta.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 0d93b09f36

I tak się stało?

T.G.: Tak. To było 8 marca 1984 r. Młodzież zaczęła wypełniać kościół, choć milicja znowu próbowała ją zatrzymać. Byli tam także mieszkańcy Garwolina, uczniowie tamtejszych szkół, a nawet zachodnie telewizje.

Komuniści ich wpuścili?

T.G.: Tak, bo w Garwolinie nie mieli już możliwości, by ich zatrzymać. Jest bardzo ładne nagranie telewizji ARD z tej mszy, nawet TVP Historia kiedyś to emitowała.

Jak dalej potoczyła się ta historia?

T.G.: Szkoła była zawieszona. Dyrekcja i administracja funkcjonowały normalnie. Do placówki ściągano rodziców, którym zaproponowano podpisanie oświadczenia o świeckości szkoły, czyli bez krzyża.

Czy to był rodzaj deklaracji lojalności?

B.G.: Tak. Mniejszość podpisała, ale większość rodziców zaczęła szukać innej szkoły dla swoich dzieci. Natomiast ministerstwo wydało wtedy zakaz przyjmowania uczniów z Miętnego.

Cała ta sytuacja trwała do 7 kwietnia, bo wtedy zostało podpisane porozumienie między ministerstwem i Episkopatem, zgodnie z którym nie będzie wymagane od uczniów podpisywanie oświadczeń lojalności. Młodzież będzie mogła wrócić do szkoły, wobec nauczycieli nie będą wyciągane żadne konsekwencje. Szkoła wróci do normalnej pracy i jeden krzyż zostanie powieszony w czytelni, w bibliotece szkolnej.

Czy te ustalenia były respektowane?

B.G.: Nie. Zwolniono siedmiu nauczycieli, a duża część uczniów musiała się przenieść do innych szkół. Ja też zostałam zwolniona. Nie przyjęto całych klas. Ci, którzy podjęli naukę w innych placówkach, już tam zostali i różnie potoczyły się ich losy. Niektórzy nie zdali matury w tych nowych szkołach, różnie też na nich patrzono. Ale wiedzieliśmy, że to jest zwycięstwo.

Dzisiaj też tak państwo uważacie?

B.G.: Oczywiście. Poczucie dumy zostało – nawet nie bohaterstwa, tylko dumy. Duchowym skutkiem tego wydarzenia było to, że wyciągnęliśmy wniosek z naszych przeżyć, że nie można zmusić człowieka do zła i akceptowania go, jeżeli nie ma na to zgody. Jeśli ktoś nie chce się na to zgodzić, jest największym wrogiem dla systemu, bo takiemu człowiekowi nie można narzucić żadnej ideologii. Była to sytuacja, w której uświadomiliśmy sobie, że wolność można wybrać, że wolność jest w nas, jak głosi tytuł filmu o bł. ks. Popiełuszce.

> Miętno zostało odcięte od świata. Z obu stron wjazdu do wsi ustawiły się posterunki milicji, przez które nie byli wpuszczani żadni dziennikarze. Wszystkich legitymowano, a przez kordon mogli się przedostać tylko mieszkańcy

Właśnie – w 1984 r. bł. Jerzy Popiełuszko został zabity.

B.G.: Byłam u księdza Popiełuszki, kiedy w Miętnem działo się to wszystko. Poprosił, żeby ktoś mu zrelacjonował, jaka jest u nas sytuacja. To były czasy, kiedy i w innych szkołach zdejmowano krzyże.

Dziś oczywiście jest inny kontekst polityczny i społeczny. Trudno porównywać tamtą młodzież z obecną. Ale czy jest jakieś aktualne przesłanie?

B.G.: To bardzo trudne, bo żyjemy w zupełnie innych czasach. Mam wrażenie, że teraz takie poczucie wolności, rozumianej jako swoboda działania, prowadzi do nadmiernego indywidualizmu. To powoduje, że każdy ma swoje racje i brakuje odniesienia do wspólnych wartości. Nie neguję poczucia inaczej rozumianej godności i wolności u tego pokolenia, bo tego nie da się porównać. Mam jednak wrażenie, że dzisiaj nie ma mocnego poczucia wspólnoty wśród młodzieży. Z punktu widzenia osoby wierzącej chciałabym powiedzieć, że odczuwaliśmy wspólnotę Kościoła i ludzi, którzy są zjednoczeni wokół tej samej sprawy – wiary.

T.G.: Niestety te wszystkie przemiany i totalny liberalizm, wprowadzający wolność bez odpowiedzialności, spowodował właśnie to, że dzisiaj mamy taką młodzież, a nie inną. Oczywiście wśród niej jest jeszcze duża grupa, która ma swoje wartości, swoje wyzwania.

W tym roku obchodzimy 40. rocznicę obrony krzyża w Miętnem. Nauczyciele i absolwenci już uczestniczyli w pielgrzymce dziękczynnej na Jasną Górę. Przed nami konferencje na temat tego wydarzenia i spotkania absolwentów z młodzieżą w Siedlcach, a także koncert oratoryjny „Opowieść o odwadze, miłości i Krzyżu", który odbędzie się 7 czerwca w Miętnem. Pamięć o tych wydarzeniach wydaję się mocna.

B.G.: W pierwszych latach po tych wydarzeniach nie mówiło się o nich zbyt dużo. Później to się zmieniło. Corocznie dla pierwszych klas w szkole w Miętnem jest przygotowana lekcja historii, opisująca wydarzenia sprzed lat. Zapraszani są absolwenci, tak by młodzież mogła swobodnie z nimi porozmawiać.

Niektórzy mówią, że zrobiliśmy z tego wydarzenia kult, jakąś religię, a ja odpowiadam, że tu nie trzeba tworzyć nowej religii. Ci, którzy bronią krzyża, są chrześcijanami. To, co się wydarzyło, było odpowiedzią na najważniejsze pytania. Kim dla ciebie jest Chrystus? Co znaczy dla ciebie krzyż? Po której stronie staniesz w konkretnej sytuacji? Kiedyś w życiu następuje moment, że Bóg zwraca się do każdego z nas. Tak jak do dzieci w wiosce koło Fatimy, w Betlejem do pasterzy i do nas w Miętnem.

eprasa.pl 0d93b09f36

Polska Fundacja Narodowa dba o polskie dziedzictwo na kresach

Fot. Maciej Bledrzycki/PFN

Polska Fundacja Narodowa od początku swojego istnienia jest zaangażowana w działania na Wschodzie. Realizowała projekty na Białorusi, Ukrainie, Litwie i Łotwie, nie tylko współpracując z różnymi partnerami instytucjonalnymi, lecz także wspierając społeczności lokalne w spełnianiu celów i ambicji związanych z ich rozwojem.

PFN od lat realizuje zadania na terenie Litwy, Łotwy i Ukrainy, co pozwala na zrozumienie wagi jedności i współdziałania pomiędzy narodami, które niegdyś tworzyły Rzeczpospolitą.

Działalność Polskiej Fundacji Narodowej koncentruje się na trosce o polskie dziedzictwo znajdujące się obecnie w granicach innych państw. Na działania PFN składa się również mecenat nad wieloma inicjatywami, których wspólnym zadaniem jest zachowanie pamięci oraz kultywowanie polskiej tradycji. Przejawia się to w sposób szczególny w przypadku Wilna – miasta o wielkim znaczeniu dla polskiej historii i kultury.

eprasa.pl 0d93b09f36

Muzeum Chrztu Litwy i inne instytucje

Jednym z kluczowych projektów realizowanych w ramach działalności PFN jest Muzeum Chrztu Litwy. Znajduje się ono na terenie franciszkańskiego kościoła pw. Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny, najstarszego kościoła litewskiej stolicy. Przez dziesięciolecia rządów komunistycznych świątynia wraz z położonym obok klasztorem niszczały, powoli popadając w ruinę. Dzięki projektom realizowanym przez Polską Fundację Narodową realne stało się przywrócenie im dawnej świetności. W ramach udzielonego wsparcia w latach 2018–2022 dofinansowano: prace wewnątrz klasztoru, które pozwoliły na dostosowanie pomieszczeń na potrzeby powstającego muzeum, zakup sprzętu multimedialnego oraz utworzenie wystawy stałej. Ekspozycja przedstawia polski wkład w chrzest Litwy oraz udział w nim franciszkańskiej wspólnoty. Uroczyste otwarcie obiektu miało miejsce 13 marca 2022 r.

Warto zaznaczyć, że w średniowieczu chrzest danego państwa był rozpatrywany nie tylko w znaczeniu metafizycznym, lecz także politycznym. Chrzest Litwy z rąk polskich ojców franciszkanów był następstwem ustaleń unii w Krewie oraz wielkim sukcesem polskiej dyplomacji. Wydarzenie to w znaczący sposób wzmacniało relacje polsko-litewskie, jednocześnie włączając Litwę w struktury chrześcijańskiej Europy.

Fot. Maciej Biedrzycki/PFN, materiały prasowe

eprasa.pl 0d93b09f36

Muzeum Chrztu Litwy to niejedyne działanie realizowane w kościele ojców franciszkanów, które otrzymało wsparcie Polskiej Fundacji Narodowej. Zainicjowano także m.in. utworzenie Instytutu Polskiego Dziedzictwa Narodowego na Litwie – instytucji, której zadaniem będzie zachowanie, utrwalenie oraz pomnożenie dorobku polskiej społeczności na Litwie, pielęgnowanie polskości oraz ochrona dóbr kultury i polskiego dziedzictwa narodowego. Do zadań Instytutu należą dokumentacja polskiej spuścizny na Litwie oraz digitalizacja i przechowywanie pozyskanych zbiorów. Istotną rolą Instytutu jest również promowanie wspólnej historii. Przez ponad 600 lat oba społeczeństwa przenikały się, czerpiąc wzajemnie ze swych kultur i tradycji, a historia Litwy jest w nierozerwalny sposób wpisana w historię Polski.

Wśród działań Polskiej Fundacji Narodowej trzeba wymienić również wsparcie udzielone w celu odtworzenia zabytkowych, barokowych organów kościelnych, zbudowanych zgodnie ze sztuką na wzór swych XVIII-wiecznych oryginałów. Zrekonstruowany instrument, oddany do użytku w czerwcu 2022 r., obecnie jest wykorzystywany nie tylko podczas liturgii, lecz także w celach edukacyjnych, kulturalnych i naukowych.

eprasa.pl 0d93b09f36

Polacy na kresach

Fot. Jacek Wojciechowski, materiały prasowe

Oprócz ochrony dóbr kultury i podtrzymywania pamięci, Polska Fundacja Narodowa realizuje również działania mające wymiar społeczny, dzięki którym umacniane są więzi z Polakami mieszkającymi za wschodnią granicą. Do takich działań z pewnością zalicza się „Paczka na Kresy" – cykliczny projekt, realizowany m.in. we współpracy z Fundacją Kresy w Potrzebie. Polega on na przeprowadzaniu zbiórek artykułów spożywczych, chemii gospodarczej, lekarstw i środków opatrunkowych. Materiały te trafiają na Wschód w przedświątecznym, bożonarodzeniowym i wielkanocnym okresie. W ramach akcji każdorazowo przekazywane jest kilkaset paczek, a wręczaniu darów nierzadko towarzyszą pełne wzruszenia rozmowy z obdarowywanymi.

Wsparcie Polaków na kresach nie byłoby też możliwe, gdyby nie zaangażowanie wolontariuszy, dla których PFN corocznie przygotowuje wyjazdy „Z miłości do Rzeczypospolitej Obojga Narodów". Ich celem jest zaznajomienie uczestników ze wspólną historią, kulturą oraz zabytkami Polski, Litwy i Łotwy, a także spotkania młodzieży z Polakami mieszkającymi na Litwie.

Nie mniej istotnym projektem PFN wspierającym Polaków żyjących na kresach jest ten realizowany ze Stowarzyszeniem Odra–Niemen Oddział Mazowiecki. Działanie to ma dwa wymiary – polega na przeprowadzaniu akcji promocyjno-edukacyjnych dotyczących wspólnej historii i kultury oraz organizacji zbiórek niezbędnych artykułów i ich dystrybucji wśród Polaków mieszkających na Litwie, Łotwie, Rumunii i Ukrainie. Zbiórki te odbywają się w Polsce podczas pikników rodzinnych, spotkań w szkołach, prelekcji dla uczniów oraz oficjalnych uroczystości państwowych.

Działania Polskiej Fundacji Narodowej nie byłyby możliwe bez wsparcia naszych fundatorów, którymi są: PKO BP S.A., Enea S.A., Energa S.A., GPW S.A., Grupa Azoty S.A., KGHM Polska Miedź S.A., Grupa LOTOS S.A., PKN ORLEN S.A., PGE S.A., PGNiG S.A., PGZ S.A., PHN S.A., PKP S.A., PWPW S.A., PZU S.A., Tauron Polska Energia S.A. oraz Totalizator Sportowy Sp. z o.o.

Artykuł sponsorowany | 31/1223/F

eprasa.pl 0d93b09f36

Oscarowe zagrania

Aktorskie Oscary 2024 dla Cilliana Murphy'ego, Emmy Stone, Da'Vine Joy Randolph i Roberta Downeya Jr. ucieszyły widzów, spełniły założenia producentów i zgrały się z parytetami Akademii, służąc hollywoodzkiej „strefie interesów"

Fot. Peace-loving/Shutterstock.com

eprasa.pl 0d93b09f36

Kadr z filmu „Strefa interesów”

JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

Dla dwójki nagrodzonych była to pierwsza oscarowa rywalizacja, dla trójki pierwsza w życiu statuetka Złotego Rycerza. Jeden z laureatów przetarł oscarowe szlaki swoim rodakom. Drugi dziękował ze sceny Dolby Theatre za „przywrócenie do życia”.

DUMNY IRLANDCZYK

Cillian Murphy został pierwszym Irlandczykiem nagrodzonym Oscarem. Odebrał statuetkę za rolę „ojca bomby wodorowej”, czyli Roberta Oppenheimera, amerykańskiego fizyka urodzonego w Nowym Jorku, ale – co dla niektórych środowisk bardzo ważne – o semickich korzeniach. Dobitnie zostały one podkreślone w jednym z filmowych dialogów. W innym amerykańskie zwycięstwo w atomowym wyścigu powiązano z decyzją nazistowskich Niemiec, które pozbyły się najlepszych, czyli żydowskich, naukowców.

Odbierając statuetkę za główną rolę męską (w wyróżnionym siedmioma Oscarami filmie „Oppenheimer” Christophera Nolana), Murphy mocno podkreślał, że jest „bardzo dumnym z wyróżnienia Irlandczykiem”. Dodawał też: „Zrobiliśmy film o człowieku, który stworzył bombę atomową, a ponieważ wszyscy żyjemy w świecie Oppenheimera, chciałbym zadedykować tę nagrodę tym, którzy zaprowadzają pokój na świecie”.

LEPSZY CZŁOWIEK

Szefa Komisji Energii Atomowej Lewisa Straussa, działającego niczym Salieri, zagrał w filmie Nolana Robert Downey Jr. i zdobył pierwszego Oscara. Po trzech nominacjach do tej nagrody (także za tytułową rolę w dramacie „Charlie” z 1992 r. i drugi plan w szalonej komedii „Jaja w tropikach” z 2008 r.), trzech dekadach kariery w Hollywood i ponad 70 filmach na koncie.

W poruszającej przemowie aktor dziękował: „Akademii i swojemu okropnemu dzieciństwu”, żonie za „przywrócenie do życia” (w połowie lat 90. ub.w. z powodu uzależnienia od narkotyków i alkoholu sięgnął dna) oraz prawnikowi, który przez lata wyciągał go z kłopotów.

„Potrzebowałem pracy w tym filmie bardziej niż ona mnie” – mówił ze sceny Dolby Theatre. „Chris [Nolan – przyp. red.] to wiedział. [...] Emma [Thomas, producentka – przyp. red.] zadbała o to, bym znalazł się w jednej z najlepszych obsad i ekip wszech czasów – z Emily [Blunt], Cillianem [Murphym]. To było fantastyczne. Dzięki temu stoję przed wami jako lepszy człowiek”.

BARDZIEJ NIŻ CAŁE NIEBO

Podczas 96. ceremonii wręczenia Oscarów afroamerykańskich aktorów reprezentowała Da'Vine Joy Randolph, nagrodzona za drugoplanową rolę (szkolnej kucharki) w „Przesileniu zimowym” Alexandra Payne'a. Pochodząca z Filadelfii aktorka, odbierając statuetkę, podkreśliła: „Zawsze chciałam być inna. Teraz zdaję sobie sprawę, że po prostu muszę być sobą”.

Jak pozostać sobą po tak karkołomnej roli, jak Bella z „Biednych istot”, wie doskonale Emma Stone. Jedyna wśród tegorocznych aktorskich laureatów, która po raz drugi sięgnęła po Oscara (choć była nominowana czterokrotnie – także za drugi plan w filmach „Birdman” z 2014 r. i „Faworyta” z 2018 r.). Kolejną statuetkę również dostała za główną rolę, z tym że „La La Land” Damiena Chazelle'a (nagrodzone w 2017 r. sześcioma Oscarami) przenosiło bohaterów w klimat klasycznych musicali, a Stone grała tam sympatyczną amerykańską dziewczynę. Tegoroczne, oszałamiające całościową wizją „Biedne istoty” Yórgosa Lánthimosa (w sumie z czterema Oscarami na koncie), niepokojące i perwersyjne, wymagały od aktorki brawurowego poprowadzenia roli. Pokazania postaci zniekształconej (fizycznie i mentalnie), która w drodze do samopoznania przechodzi przez często ekstremalne i szokujące doświadczenia.

Stone sprostała wyzwaniom, a na oscarowej gali uroczo „odegrała” rozprutą suknię, by na koniec podziękować najważniejszej osobie – trzyletniej córeczce, która zmieniła jej życie w technikolor. „Kocham cię bardziej niż całe niebo, moja dziewczynko” – zakończyła cytatem z piosenki Taylor Swift.

NASZE INTERESY

Dwa Oscary, w tym dla najlepszego filmu międzynarodowego, zdobyła „Strefa interesów” Jonathana Glazera. Przyjmując nagrodę, reżyser podziękował za znaczący polski udział w filmie, jednak na scenie Dolby Theatre nie stanęła producentka Ewa Puszczyńska, mimo że film – przy pomocy ponad 100 naszych twórców – w całości nakręcono w Polsce.

„Strefa interesów”, której akcja rozgrywa się dosłownie pod murem Auschwitz, jest przedstawiana jako kolejny głos w sprawie Holokaustu. Nawet jeden z polskich producentów użył określenia „mur getta”. Nikt tego nie sprostował, nie upomniał się o polskie ofiary Auschwitz, a od maja 1940 r. do marca 1942 r. było ich ok. 150 tys. (do tego ponad 20 tys. Romów i 30 tys. więźniów innych narodowości). Te liczby porażają nawet w zestawieniu z ponad 1 mln ofiar żydowskich.

O zawłaszczeniu tragedii Holokaustu, choć w innym kontekście, wspomniał też Jonathan Glazer: „Nasz film pokazuje, do czego prowadzi odczłowieczenie. I jak ukształtowało naszą przeszłość i teraźniejszość. Sprzeciwiamy się wykorzystywaniu żydowskiej tożsamości oraz tematu Holokaustu, by fałszywie uzasadniać okupację, która doprowadziła do konfliktu, który pochłonął tak wiele niewinnych istnień [...] w Izraelu, [...] w Gazie. To wszystko ofiary dehumanizacji”.

eprasa.pl 0d93b09f36

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

Tragedia kierownika hotelu – „Rojst Millenium"

Pierwszego „Rojsta", serial Jana Holoubka z 2018 r., przyjąłem euforycznie. Wyprodukował go Showmax, przejął Netflix. Był sugestywnym kryminałem, lecz także czymś więcej. Tekst o nim zatytułowałem „Smutek PRL". Z dwóch śledztw dziennikarskich wyłaniał się portret brzydkiego, poniemieckiego miasta, którym rządzą układy, a jednostka bywa bezlitośnie deptana. Dobrze uchwycono lepki czas normalizacji Jaruzelskiego w połowie lat 80.

Drugi „Rojst" zasłużył u mnie na tytuł „Smutek transformacji". Akcja rozgrywała się w 1997 r. podczas wielkiej powodzi. Znów mamy afery, poczucie kontynuacji, także personalnej, wobec czasów PRL. Nad miastem nadal dominuje ohydne gmaszysko, hotel Centrum, będący burdelem. To królestwo Piotra Fronczewskiego, cynicznego kierownika. Ta seria wzbudziła we mnie opory niektórymi wątkami. Tyle że Holoubek ma dar opowiadania. Czasem ciekawsze od głównych tematów są dygresje, drobne obserwacje. Gdy dodać świetną obsadę, było po co ślęczeć nocami przy laptopie.

Seria trzecia Netfliksa „Rojst Millenium" jest ogłaszana jako najlepsza. Rozgrywa się dwa lata po drugiej. Wielką dygresją jest oczekiwanie na przełom 1999 i 2000 r., mający przynieść kataklizm. Zaczyna się z grubej rury: kierownik, urządzający dla miejscowego high life'u przyjęcie urodzinowe, ginie straszną śmiercią. Znów mamy panoszących się gangsterów, owijających sobie wokół palca policję i prokuraturę, lewe interesy, wymuszenia. Zagadkę uwolnionej z tajemniczej opresji Cyganki, nazywanej poprawnościowo Romką. Jednocześnie znika córka redaktora Zarzyckiego (Dawid Ogrodnik).

Nie uważam tej serii za najlepszą. Jest dla mnie najmniej zaskakująca. Działa raczej ciepełkiem powrotu do znanych już bohaterów. Choć nadal jest w niej dar żonglowania obserwacjami. Może najbardziej w retrospektywnej opowieści z lat 60. o młodości kierownika hotelu, cwaniaka i przestępcy, który w finale staje się bohaterem rodzinnej tragedii. To ona pozostawia nas ze smutkiem.

Serial miewa fabularne niedoróbki: tu niedokończony wątek, tam niewyjaśniony szczegół. Do tego dochodzą kłopoty z językiem: policjanci, w 1999 r. nazywający cygańską dziewczynę „Romką", są postaciami jak z kosmosu.

Razi mnie wepchnięty na siłą wątek demonicznego prokuratora, fałszującego ustalenia wykopalisk archeologicznych w imię topornie antyniemieckich racji. Pomaga mu w tym ponury pan z IPN. W 1999 r. ta instytucja dopiero powstawała. A prokurator to satyryczna postać pisowca przeniesiona w przeszłość, gadająca o reparacjach, o których nikt wtedy nie myślał. Holoubek unikał politykowania, tu nagle bije politycznymi odniesieniami do współczesności. Teza, że IPN pomagał w fałszowaniu historii, jest insynuacją.

Uderza za to realizacyjna staranność filmu, zdjęcia chwytające odpowiednio przygnębiające plenery – wszak młody Holoubek zaczynał jako operator. I ponownie kreacje aktorskie. Filip Pławiak, charakteryzowany na młodego Fronczewskiego, z głosem modyfikowanym sztuczną inteligencją, jest objawieniem. Nie zawodzą powracający z drugiej serii policjanci: rewelacyjny

Łukasz Simlat jako wciąż pełen zahamowań Mika czy empatyczny Michał Pawlik jako dający się pokochać Dzidzia. Rola Magdaleny Różdżki jako wiecznie poranionej twardzielki-policjantki wydała mi się nieco zbyt stereotypowa. Mamy za to dużo świetnych epizodów (Cezary Kołacz jako wieczny barman). I jest wciąż pozyskujący nas mądrą empatią Andrzej Seweryn – redaktor Wanycz. Miałem wątpliwości wobec poprowadzenia w drugiej serii historii mającej wzbudzić współczucie do Niemców. A jednak jej zamknięcie wzrusza...

Piotr Zaremba

3 MIŁOŚCI

Chichot szatana

ROBERT TEKIELI

Niemców pozostanie tyle co pod gruszą – przepowiedziała 75 lat temu niemiecka mistyczka Teresa Neuman. „Puszcza będzie szumiała nad gruzami Berlina, miasta zbrodni i pychy. Na Kremlu zabłysną łacińskie krzyże. Jak w orną ziemię, wpadnie ziarno dobra i odmieni się oblicze narodu, który tyle wycierpiał".

Czy narody ponoszą konsekwencje swoich czynów? Czy grzech wpisany do konstytucji może być bezkarny? Czy błędna filozofia, fałsz zapisany w prawie i wprowadzany w życie polityczne musi prowadzić do chaosu i przemocy? Czy społeczeństwo niezdolne do napiętnowania i wyeliminowania struktur zła narzucanych przez zepsuty obyczaj, zdeprawowane prawo i zdegenerowane media nieuchronnie zmierza ku katastrofie?

Francuzi mają w ustawie zasadniczej zagwarantowane prawo do zabijania. 4 marca 2024 r. francuski parlament zapisał w konstytucji swobodę dobrowolnego przerwania ciąży. Już dotąd aborcja była we Francji – jak w najciemniejszych latach w ZSRS – metodą zapobiegania ciąży. Przynajmniej raz poddała się jej jedna trzecia Francuzek. Co roku nad Sekwaną morduje się ćwierć miliona dzieci. Czy ktoś sądzi, że ta rzeka krwi nie ma wpływu na społeczeństwo? Czy ktoś może pomyśleć, że trauma 10 mln kobiet nie odciska się piętnem zła na francuskiej zbiorowej duszy?

Jakby tego było mało, prezydent Francji Emmanuel Macron zapowiedział złożenie w kwietniu projektu ustawy o eutanazji połączonej ze wspomaganym samobójstwem.

Najnowsza inicjatywa ustawodawcza rządzącej w Kanadzie Partii Liberalnej ma dać władzom bezprecedensowe narzędzia do zwalczania przeciwników politycznych. Projekt ustawy C-63 ma zaostrzyć kary za „mowę i propagandę nienawiści". Obywatele o „niepoprawnych" poglądach będą mogli być śledzeni i karani przez władzę w oparciu o samo podejrzenie, że w przyszłości mogliby popełnić „przestępstwo z nienawiści" lub szerzyć „nienawistną propagandę". Zdaniem kanadyjskiego prokuratora generalnego prewencyjne kary pomogą „zderadykalizować" przeciwników kulturowego marksizmu. Kanada staje się wielkim obozem koncentracyjnym. Areszt domowy za poglądy, prewencyjne więzienie dla niewygodnych obywateli. Stalin znacząco popatrzył na Hitlera i Mao.

Kłamstwo i błąd zaadaptowane przez system polityczny. W takim świecie normalny człowiek się dusi, gubi albo staje się potworem.

Już wkrótce każdy polski szpital zostanie przecięty okopem wojny kulturowej. Łamane będą sumienia, wolni na duchu ludzie będą odnosić zwycięstwa. Polacy muszą walczyć, tym bardziej że taka walka przynosi dobre owoce

Donald Tusk ogłosił, że każde powołanie się przez lekarzy na klauzulę sumienia w szpitalu finansowym przez Narodowy Fundusz Zdrowia będzie z urzędu zgłaszane do prokuratury. W przypadku odmowy aborcji szpital straci kontrakt z NFZ w zakresie ginekologii. Mamy do czynienia z rażącym pogwałceniem wolności lekarzy i próbą ich zastraszenia. Co leczy aborcja? Nie ma takiej choroby.

W 1941 r. Hitler wprowadził aborcję w całym Generalnym Gubernatorstwie po to, by zniszczyć naród polski. Niemki dalej były karane za samą jej próbę. Jaki jest cel działań polskiego rządu? Szatan chichocze.

Jedno jest pewne. Już wkrótce każdy polski szpital zostanie przecięty okopem wojny kulturowej. Łamane będą sumienia, wolni na duchu ludzie będą odnosić zwycięstwa. Polacy muszą walczyć, tym bardziej że taka walka przynosi dobre owoce.

Sąd Najwyższy Alabamy orzekł, że zamrożone zarodki wykorzystywane w zapłodnieniu in vitro mogą być prawnie uznane za nienarodzone dzieci. Ponadto przypadkowe zniszczenie zarodków może podlegać ustawie Alabamy o bezprawnej śmierci nieletniego.

Podobnie Irlandia opowiedziała się właśnie przeciw cywilizacji śmierci. Na drodze referendum 67,7 proc. głosujących odrzuciło propozycję zmiany sformułowań konstytucji w celu uwzględnienia rodzin, które nie są oparte na małżeństwie. Druga poprawka dotyczyła kobiet. Art. 41.2 mówi o tym, że „państwo uznaje, iż poprzez swoje życie w domu kobieta daje państwu wsparcie, bez którego nie można osiągnąć wspólnego dobra" i „matki nie będą zmuszone przez konieczność ekonomiczną do angażowania się w pracę, zaniedbując swoje obowiązki w domu". Poprawka dotycząca zakwestionowania roli kobiet w domu została odrzucona przez 73,9 proc. Irlandczyków.

To proste. Trzeba walczyć, bo można wygrywać. Nie bądźmy samobójcami. Indywidualne zło sumuje się i w nieubłagany sposób prowadzi do zbiorowej katastrofy. Zło pełnione przez narody w końcu je niszczy. Mówiąc językiem prymitywnej popkultury: karma wraca.

Nasze zbiorowe losy zależą od sumy indywidualnych decyzji. Kiedyś zobaczymy konsekwencje każdego naszego wyboru. Ciekawe, czy zostanie nas więcej niż zmieści się pod gruszą. W piekle katolicy płoną najgorętszym ogniem.

eprasa.pl 0d93b09f36

WOJNA CYWILIZACJI

POPKULTURA

Może być Premierową *„Damę”* obejrzałem ze względu na sentyment do głównej bohaterki „Stranger Things”. Millie Bobby Brown z filmu na film staje się aktorką coraz dojrzalszą, nie tracąc charyzmy, dzięki której w roli Jedenastki przebiła się do czołówki swojego pokolenia w Hollywood. Niestety wspomniany film fantasy w reżyserii Juana Carlosa Fresnadillo niczego nie zmieni w jej karierze, zostanie zapomniany już za kilka tygodni. I dobrze. Olśniewający wizualnie, żenujący jeśli chodzi o scenariusz, stał się polem do popisu dla Brown, tyle że nie w kategoriach aktorskich, a kaskaderskich. Millie gra swoje, ale nie stworzono dla niej wystarczająco dużo miejsca, by wykreowała postać zapadającą w pamięć. Podobnie jest z Raymondem Andrew Winstonem i Robin Wright.

Historia jest nieskomplikowana, zmierza do oczywistego finału, jak to w filmach płaszcza i szpady, z tym że dziś obowiązkowo w tego typu produkcjach arystokratów – tych dobrych – grają czarnoskórzy aktorzy. Na własny użytek nazywam tego typu filmy „conanami”, kolejnym elementem obowiązkowym są w nich bowiem zbroje dla kobiet w formie zbliżonej do bikini.

„Dama” jest filmem feministycznym do bólu i do głębi, tak samo przeciwskutecznym w głoszeniu ideologii, jak polskie socrealistyczne fabuły. W pewnym momencie z ekranu pada fraza: „Zawsze trzeba kobiety, żeby zakończyć zadanie”. W wielu innych przypadkach pewnie bym się z tym zgodził, jednak tutaj girl power stało się czymś pomiędzy autoparodią a karykaturą. Galopująca ku zachodzącemu słońcu Millie Bobby Brown skrzydło w skrzydło z potężną, śmiercionośną smoczycą jest obrazem tak absurdalnym, jak słowa piosenki jednej z wyemancypowanych gwiazdeczek, że najlepiej to samej sobie kupić w prezencie kwiatki. Połykający swój ogon wąż, baron Münchhausen wyciągający się z bagna za włosy, zapatrzona w swój własny pępek kultura selfie.

POPKULTURA

Warte Zanim przejdę do kolejnej nowości, rzut okiem na *„Paradoks”*, serial sprzed 12 lat, zbudowany wokół postaci najlepszego śledczego w Polsce, inspektora Komendy Głównej Policji Marka Kaszowskiego, granego oczywiście przez Bogusława Lindę. Po pierwsze, dobre zdjęcia i scenografia, zmęczone twarze, wiarygodny klimat. Po drugie, niezłe aktorstwo, oprócz Lindy Anna Grycewicz i Arkadiusz Jakubik. Po trzecie, wielowarstwowa akcja – co odcinek nowa sprawa, ale w tle gruba gra pomiędzy umoczonym szefem Biura Służby Wewnętrznej Policji a Kaszowskim, w której oddelegowana do prześwietlenia kariery inspektora podkom. Joanna Majewska (Anna Grycewicz) jest tylko nadającym się do poświęcenia pionkiem. Serial doskonale oddaje atmosferę nieufności i instrumentalizowanych, powierzchownych relacji w środowisku, w którym zbrodnia jest codziennością, a powinność, służba i szczere motywacje mogą zostać zgłuszone przez kontakt z nieprawością oraz nieuczciwie zdobytym bogactwem. Dobra rozrywka, o ile tak w ogóle można powiedzieć o stylizowanym na kino skandynawskie kryminale. Dziwne, że serial nie doczekał się kontynuacji. Może nawet i szkoda, bo już się jej na pewno nie doczeka.

POPKULTURA

Warte Angielski książę i plantacja marihuany w rodowej posiadłości, łyse karki zadomowione w XV-wiecznych pałacach, czyli świeżuteńka komedia kryminalna zatytułowana *„Dżentelmeni”*. Dobry reżyser – Guy Ritchie („Sherlock Holmes”, „Król Artur: Legenda miecza”), bardzo zacna ekipa aktorska – Vinnie Jones, Joely Richardson, Daniel Ings, Kaya Scodelario, Theo James, do tego mnóstwo zwrotów akcji, dobre dialogi, interesujący montaż, a nawet odrobina niewymuszonego humoru – czy trzeba więcej? Osiem odcinków obejrzałem bez większego bólu. Zapewne będzie kontynuacja. Nie, żebym czekał, ale zajrzę.

***Robert Tekieli**, Polskie Radio*

eprasa.pl 0d93b09f36

Muzyka odchodzącego świata

DO KUPIENIA NA STRONIE WSKLEPIKU.PL

Andrzej Bieńkowski, „Trzymałem węża w garści", Prószyński i S-ka 2022

To zatrzymany w dziesiątkach, gawędziarskich kadrów świat tradycyjnej wsi, głównie z Mazowsza. Jego ostatnie tchnienia – bo tego świata już nie ma.

Przechodząc obok chałupy, został poczęstowany jagodami ze śmietaną. Tych kulinarnych wspomnień jest wiele: piętka świeżo wypieczonego chleba, kartofle w mundurkach i zsiadłe mleko, ogórki małosolne. Ta wieś to też zapach schnącego siana, stajni, obór i sławojek. Jej centralnym miejscem była ławeczka – siedząc na niej, bezceremonialnie komentowało się życie sąsiadów – i ciężka, całoroczna praca. Wzajemnie pilnowano obyczajowych reguł, ostatnim sposobem rozwiązania konfliktów mogło być spalenie domu. Dusza zmarłego szła do nieba dopiero z pierwszą grudą ziemi, rzuconą na trumnę przez księdza. Kim byli grabarze, opasy, huzary? To nieproszeni goście weselni. Obowiązkiem było dać im się napić i potańczyć, bo wesele mogli roznieść w drobny mak. Ale najważniejsi byli muzykanci.

Pierwszym, którego poznał autor, był skrzypek Józef Kędzierski. Musiał mu jednak ktoś przybębnić i basować, takie trio to podstawowy skład na polskich nizinach. „Zatkało mnie. Nigdy i nigdzie nie słyszałem takiej muzyki" – wspomina autor. Pan Józef i wielu innych krzesali z tych skrzypków ogień. Jana Trześniewskiego nakłaniał do gry przez kilkanaście lat. Jak wyjaśniał: „Gra to jak oddychanie, jakby człowiek nie miarkował gry z oddechem, toby wysiadł i więcej go na muzyki nie zaprosili". Na weselach skrzypkowie grali pod presją tancerzy. Potrafili to robić, przysypiając, ale jeśli nie dawali sobie rady, byli przeganiani. W ich grze było też coś ekstatycznego, wybuchały o nią domowe awantury. Skrzypek wywołujący euforię i trans tancerzy z definicji był osobą podejrzaną, także przez duchownych. Do tego dochodzi problem muzyków guślarzy.

Opowiedziane tu historyjki wyjaśniają też mechanizm wielkich kompleksów, które kazały jak najszybciej zapominać o tych obyczajach. Bieńkowski zasłużył się polskiej kulturze, uwieczniając na magnetofonie i kamerze VHS to dziedzictwo. Te oberki i mazurki brzmią dokładnie tak, jak słyszał je Chopin pod karczmą, na weselach i odpustach. Ta muzyka jest skarbem kultury naszego plemienia. Opowieść o niej zakłóca momentami polityczny zez autora, jego zasługi przeważają jednak nad środowiskowymi fobiami.

Maciej Walaszczyk

Ewangelizacyjny zgiełk

Zwolennicy Tymoteusza znajdą tutaj to, co lubią w najlepszym gatunku. Pod względem muzycznego rzemiosła, produkcji i przesłania ta płyta sytuuje się wysoko w hierarchii anielskich chórów.

„Sursum Corda" jest powrotem do momentu debiutu grupy nawróconych gwiazd punka i metalu sprzed 27 lat. W jednym miejscu skupiają doświadczenia z różnymi odmianami ciężkiego grania, w tym muzycznych mód, którym ulegali przez lata. Mamy więc perkusyjne duety (Polak, Krzyżaniak, Goehs), słyszymy też trzech wokalistów (Budzy, Maleo, Litza) oraz bardzo gęsto utkaną aranżami mieszankę gitarowych stylów i brzmień, czasem przesadnie synkopowanych rytmów, pasaży i zmian tempa, całej gamy efektów i ozdobników, z wielką wprawą stopionych w ewangelizacyjny czad. Otwierający płytę utwór „Zwiąż mnie" uderza słuchacza pulsacyjnym, potężnym riffem na niskich rejestrach w tle modlitewnych wezwań. Trashowe tempa, hardcore'owe łamańce z celowo złagodzoną agresją gitar na pewno dobrze wypadną na żywo. Przebojowy rockowy oddech w „Jesteś wierny" lub w momentami ciężkim bluesowym hymnie „Niewiasta" dodają temu wszystkiemu kolorytu. Płytę zamyka „Psalm 150" z „Alleluja!" wyśpiewywanym w stylu wielotysięcznej armii kibiców, a w tym konkretnym przypadku bojówki „Jezus Chrystus Fanatics".

Grupa od samego początku przyjęła konwencję wyśpiewywania tekstów zlepionych z biblijnych cytatów, m.in. psalmów. Niestety słowa i dźwiękowe decybele czasem rozchodzą się w przeciwnych kierunkach. Może powinienem zostać wyegzorcyzmowany, ale przyznaję – nie jestem zwolennikiem tzw. chrześcijańskiego rocka ze względu na formę krańcowo obcą kontemplacji, jak i celebracji Słowa Bożego. Poza tym co dzień jesteśmy nękani hałasem cywilizacji. A i efekt tej rockowej ewangelizacji rodzi pytania. 2Tm2,3 wielokrotnie grał na Przystanku Woodstock, bardziej legitymizując stojące za nim przesłanie organizatora. Chrześcijańskie świadectwo jakoś nie spowodowało, że grupa została wypluta z wnętrza systemowego Lewiatana. „Nie dawajcie psom tego, co święte, i nie rzucajcie swych pereł przed świnie, by ich nie podeptały nogami" – czytamy w Ewangelii. To moje osobiste uwagi i mogę się mylić. W ostatnim wywiadzie dla naszego tygodnika Dariusz Malejonek mówi o wielu ludziach, których nawrócenie nastąpiło pod wpływem kontaktu z ich muzyką i świadectwami wiary i nie mam powodu, by mu nie ufać. W górę serca!

2Tm2,3, „Sursum Corda", Stage Diving Club 2024

eprasa.pl 0d93b09f36

Nacjonalizm zrehabilitowany

Warto być nacjonalistą – przekonuje Yoram Hazony. Tylko państwo narodowe jest bastionem chroniącym nas przed imperialną tyranią i zabezpieczającym nasze wolności

„Nowy porządek światowy", „otwartość", „subsydiarność", „zasada jurysdykcji uniwersalnej", „porządek oparty na regułach" – to określenia nowej formy imperium, którym Hazony, filozof, biblista i teoretyk polityki przeciwstawia państwo narodowe. Dziś powrócił stary konflikt obu idei, tym bardziej że zmutowany marksizm i liberalizm mają skłonność do nieustannego poszerzania granic porządku politycznego na ludzkość. Hazony przypomina nam, że to utopia, której granicę wyznaczają religia, wspólne doświadczenia i język.

To książka napisana pod wrażeniem brexitu, choć jeszcze w 1990 r. Margaret Thatcher została zmuszona do odejścia przez własną partię, gdy zwątpiła w sens wstąpienia do UE, a także eksplozji trumpizmu i hasła „Ameryka first". Jest też pisana z pozycji izraelskiego patrioty, bo, jak przyznaje: „Całe życie byłem żydowskim nacjonalistą, czyli syjonistą". Zwraca uwagę, że taka identyfikacja to również nacjonalizm Gandhiego, 14 punktów Wilsona oraz Karta Atlantycka Churchilla. Przypomina, że do II wojny światowej żywiono przekonanie, iż zasada narodowej wolności jest kluczowa dla budowy sprawiedliwego, zróżnicowanego i stosunkowo spokojnego świata. Wszystko zmienił Hitler i zwycięstwo narodowego socjalizmu, powodując, że dawne instytucje sprzyjające narodowej niepodległości, zostały uznane za skompromitowane, a lojalność narodowa za coś moralnie podejrzanego.

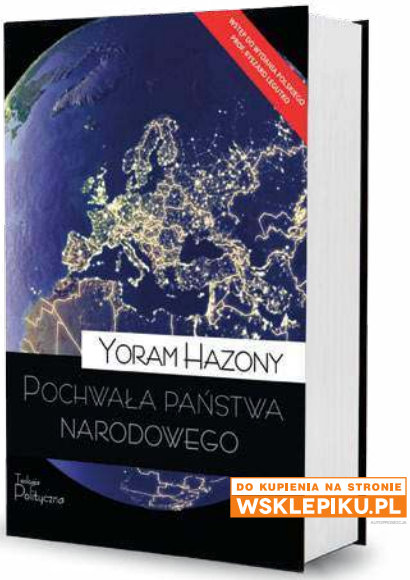

Yoram Hazony, „Pochwała państwa narodowego", Teologia Polityczna 2023

Hazony uważa, że oskarżanie nacjonalizmu o wywołanie obu wojen światowych i Holokaust jest narracją uproszczoną, bo Niemcy nie doświadczyli ograniczeń państwa narodowego, lecz pokusy imperialnej. Co więcej, również uniwersalistyczny marksizm, liberalizm czy islam udowodniły, że są zdolne do rozbudzania zażartej niechęci wobec swoich przeciwników. „Dziś to liberalno-imperialistyczne idee stały się jednymi z najpotężniejszych czynników przyczyniających się do wzrostu nietolerancji i nienawiści" – przekonuje. Jak podkreśla we wstępie prof. Ryszard Legutko, z jednej strony padają oskarżenia o szowinizm, biologizm i pogardę dla innych taktowane jako inwektywy pod adresem przeciwników politycznych, a z drugiej, w retoryce końca historii uznano, że sens istnienia państwa narodowego się wyczerpał. W Polsce szczególnie silnie doświadczamy tego oszustwa. Jednak wspólnoty europejskie od samego początku powstawały z myślą o przenoszeniu przez nie kompetencji państwa narodowego na poziom europejski.

Drugim powodem jest porządek amerykańskiej dominacji, w którym krnąbrne narody są zmuszane, z pomocą amerykańskiej potęgi wojskowej, do posłuszeństwa. To amerykańskie dominium Charlesa Krauthammera miało przewodzić trwałemu „dewaluowaniu pojęcia suwerenności" wśród wszystkich narodów na Ziemi. Hazony jest oczywiście przeciwnikiem tego rodzaju uniwersalizmu. Jako Żyd wywodzi również swoje antyimperialne uprzedzenia z opisywanych w Biblii doświadczeń Izraela z potęgami Babilonu, Egiptu, Asyrii i Persji. Dość bezceremonialnie piętnuje też uniwersalizm papieży i cesarzy, widząc w wojnie trzydziestoletniej nie tyle konflikt religijny, ile starcie wywiedzionej z rzymskiej tradycji cezarów koncepcji uniwersalnego imperium chrześcijańskiego z rodzącymi się państwami narodowymi.

Hazony jest piewcą Europy pokoju westfalskiego oraz krytykiem koncepcji umowy społecznej Johna Locke'a. Dlatego porządek liberalny jawi się raczej jako utopia o cechach totalitarnych, w której toleruje się wyłącznie jeden standard słuszności. Człowiek jest bowiem istotą rodzinną, rozwija się dzięki silnym więziom ze swoimi bliskimi, czuje wspólnotę miejsca, historii, symboliki, kultów, dąży do swoich. Przynależność do wspólnoty nie wynika ani z naszej zgody, ani z jej wycofania, a naród to nasze poszerzone „ja". To zobowiązania wynikające z lojalności, które wciąż są silnymi motywacjami – wraz z nadejściem nowoczesności indywidualizm nie zdołał ich przezwyciężyć. Autor zwraca uwagę na jeszcze inną ważną sprawę – istnienie państwa jest kruche, jest ono bezustannie narażone na utratę spoistości i niepodległości. Sprawiedliwe rządy przyczyniają się do stabilizacji porządku politycznego, ale głupie prowadzą do jego rozkładu, torując drogę anarchii i podbojowi przez innych. Pamiętajmy o tym.

eprasa.pl 0d93b09f36

MALARSTWO GUSTAVA KLIMTA

Na skraju złotego urwiska

„Aleja w parku zamku Kammer" (nad jeziorem Attersee, gdzie chętnie spędzał wakacje i skąd pochodzi wiele jego plenerowych dzieł) jako naturalna galeria? Dlaczego nie. Słynny pejzaż Gustava Klimta – urodzonego w Baumgarten (wiosce pod Wiedniem, dziś jednej z dzielnic miasta), jednego z najwybitniejszych przedstawicieli secesji i wiedeńskiego modernizmu – stał się tłem wirtualnej prezentacji (oraz nieoczywistej interpretacji) kilku jego „złotych" dzieł oraz podróży w czasie. Do Wiednia przełomu XIX i XX w.

Na początek: głośny „Pocałunek". W powszechnym odbiorze pełen namiętności. Cyfrowa głębia, pozwalająca zanurzyć się w tło (często przycinane, gdy obraz staje się nadrukiem, np. na porcelanie) zwraca jednak uwagę na detale, które mogą zmienić odbiór dzieła. Dlaczego kobieta ma tak nienaturalnie wykrzywioną głowę? A jej dłonie? Równie dobrze mogłyby odpychać, a nie przyciągać dominującego nad nią mężczyznę. Wreszcie fragment, który często ginie w popkulturowych i komercyjnych wersjach obrazu: dlaczego kobieta klęczy, i to na skraju (choćby najbardziej ukwieconego) urwiska? Do tego jest bosa, a jej kostki oplatają pnącza. Ponoć Klimt pokazał w „Pocałunku" artystyczną opresję, której w tamtym czasie byli poddawani twórcy.

Idźmy dalej, do ostatniego portretu najbardziej rozpoznawalnej postaci z dzieł artysty – Adele Bloch-Bauer – pięknej żony właściciela cukrowni, mecenaski sztuki i, jak byśmy dziś powiedzieli, wiedeńskiej celebrytki. To ją widzimy w „Pocałunku" (1907–1908), a także w budzącym namiętność (oraz zepchniętą do rogu obrazu grozę) obrazie „Judyta z głową Holofernesa" (1901).

Jej najsłynniejszym wizerunkiem jest tzw. Złota Dama (1907), oprawiona w misternie utkane złotnicze ornamenty, wśród których można tez znaleźć ochronne symbole (cały przód sukni jest wypełniony zmultiplikowanym okiem Horusa – staroegipskim znakiem odrodzenia i powracania do zdrowia). Miały one wzmacniać Adele, której kondycja uniemożliwiała utrzymanie kolejnych ciąż.

Nie bez powodu. W immersyjnej interpretacji portretu „Adele Bloch-Bauer II" (1912) kobieta w czarnym kapeluszu, doświadczona przez los także śmiercią nowo narodzonego dziecka, stoi na końcu ostro ściętego, wąskiego cypla. Nie ma oparcia w poruszających się za jej plecami wielkich, ukwieconych płaszczyznach. Od przepaści dzieli ją jeden krok.

Immersyjne (czyli dosłownie wciągające, wielowymiarowe i wzbogacone dźwiękiem) wprowadzenie do twórczości Gustava Klimta czeka na gości nowej ekspozycji w warszawskim SOHO ART CENTER (ul. Mińska 63). Cyfrowe zanurzenie w dzieła austriackiego malarza-złotnika to jedno z doświadczeń oferowanych na wystawie „KLIMT – The Immersive Exhibition".

Poza opcją cyfrową (także w wymiarze wielkoformatowej prezentacji, przybliżającej życie i twórczość artysty, a wyświetlanej na ścianach i suficie największej z sal) widzowie mogą liczyć na bezpośredni kontakt z naturalnej wielkości kopiami najwybitniejszych dzieł Klimta. Zaprezentowano je w tradycyjny sposób, ale bez obostrzeń wielkich galerii. Tu można podejść bardzo blisko, by zobaczyć strukturę nakładanej farby oraz precyzję niezwykłej, biżuteryjnej oprawy/dopełnienia obrazów z tzw. złotego okresu.

W sumie na wystawie w różnych formach pokazano ok. 300 dzieł. Z myślą o ceniących informacje biograficzne przygotowano jedną z sal. Dowiemy się z niej m.in., że wykształcony kosztem wielkich poświęceń wielodzietnej rodziny Klimt, ukończył Szkołę Rzemiosła Artystycznego w Wiedniu i na początku kariery zdobił m.in. klatki schodowe powstającego w tamtym czasie Teatru Zamkowego oraz Muzeum Historii Sztuk Pięknych. I, że otoczona ogrodem wiedeńska pracownia artysty przy ul. Feldmühlgasse 11, niedługo po jego śmierci (w 1918 r., miał 56 lat) została „obudowana" malowniczą willą, którą można zwiedzać do dziś.

Intrygującym doświadczeniem na warszawskiej ekspozycji może się okazać spotkanie z naturalnej wielkości woskową figurą Klimta. Ponoć ten syn złotnika – potężny, mierzący ponad 1,8 m wzrostu – był człowiekiem nieokrzesanym, a jednocześnie magnetycznym dla płci pięknej. Podkreślał, że jego największą inspiracją – w życiu i twórczości – są kobiety.

Jolanta Gajda-Zadworna

Fot. Materiały prasowe

eprasa.pl 0d93b09f36

SŁODKO-SŁONY

Karmelowy flan

ANNA MONICKA

Kilkudniowy wypad do Barcelony był dla mnie cudowną nagrodą za miesiące pracy. Marzyłam o obejrzeniu budowli genialnego wizjonera Antonia Gaudíego, ale ciągnęło mnie też na słynny targ La Boqueria, żeby poczuć rytm i energię tego niesamowitego miasta. Sagrada Família, której budowa rozpoczęła się pod koniec XIX w., choć wciąż nie jest dokończona, i tak wygląda obłędnie. Zwłaszcza jak na kościół budowany przez 136 lat bez pozwolenia. Modernistyczna Casa Batlló o organicznej fasadzie wyłożonej mozaikami, z dachem wyglądającym jakby pokryto go smoczą łuską, połyskująca w słońcu jak żywa, to kolejny obowiązkowy punkt na mapie nie tylko dla miłośników zakręconej architektury, niemal pozbawionej kątów prostych. Miła odmiana dla oka przyzwyczajonego do wszelkiej maści mazowieckich kostek. I prawdziwa uczta dla miłośników secesji, zresztą jak każdy spacer po urzekających uliczkach.

A targ zapiera dech w piersiach – nigdy nie widziałam tylu pięknych owoców i warzyw, a także tak wspaniałych szynek, kiełbas czy pieczywa. Szkoda, że u nas takie miejsca dopiero raczkują i są dość elitarne. Ten targ wybudowano w połowie XIX w., a jego korzenie sięgają 1217 r., kiedy na ulicy sprzedawano tu ryby i mięso.

Do dziś wspominam smak flanu z pobliskiej kafejki. Ten deser to tradycyjny hiszpański budyń z mleka, jajek, cukru i wanilii, oblany karmelem. Warto spróbować zrobić go w domu. Może być gwoździem programu w czasie świątecznego śniadania, to w końcu kolejny sposób na podanie jaj.

Potrzebujesz trzech całych jajek i trzech żółtek, laski wanilii, 0,5 l porządnego tłustego mleka, kubełka 30-procentowej śmietanki, odrobiny soli i niepełnej szklanki cukru. Najpierw robimy karmel – pół szklanki cukru trzeba skropić wodą i podsmażyć na patelni, aż zrobi się brązowy. Przelewamy go do porcelanowych foremek na babeczki, tak żeby równomiernie pokrył dno. Żółtka i jaja ubijamy z cukrem, mleko mieszamy z ziarenkami wyskrobanymi z laski wanilii i śmietanką, a potem ostrożnie dodajemy do niego jajeczny puch i przelewamy do naczyń z karmelem. Pieczemy w 160°C na blasze z wodą. Musi się ściąć, zajmie mu to ok. 40 min. Po wystudzeniu i schłodzeniu nakrywamy foremki talerzem i przekładamy do góry nogami, ale równie dobrze deser można podać bez wyjmowania albo upiec w większym naczyniu.

Fot. Shutterstock

WILCZYM OKIEM

Nymfeidy

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

W przypisach do „Świtezianki" możemy trafić na uwagę poczynioną przez Adama Mickiewicza: „Jest wieść, że na brzegach Świtezi pokazują się ondiny, czyli nimfy wodne, które gmin nazywa świteziankami". Tajemnicze istoty pochodzące z innego porządku (wymiaru?), kryjące się gdzieś w niezbadanej głębi jeziora, czasem tylko ukazujące się oczom ludzi.

Tajemnica i romantyczność są zamknięte nie tylko w poezji, lecz także w jeszcze większym stopniu w przyrodzie. Tam też znajdujemy organizmy istniejące realnie, przez to jednak wcale nie mniej zagadkowe i poruszające wyobraźnię, którym zauroczeni ludzie nadają nazwy wywodzące się z baśni, legend i mitów.

Przykładem takich organizmów są rośliny zwane nymfeidami. Grupa ta obejmuje gatunki wodnych roślin naczyniowych o osobliwej biologii, występujące również w Polsce: grzybienie, grążele, żabiścieki, kotewki.

Nymfeidy spędzają znaczną część życia, podobnie jak wspomniane nimfy, pod wodą, niewidoczne dla naszych oczu. Ich zasadniczą częścią są kłącza, niekiedy grube jak ramię i długie na kilka metrów, zagłębione w mulistym dnie lub pełzające po nim w swoim powolnym wzroście.

Wraz z rozpoczęciem pory ciepłej i postępującym wzrostem temperatury wody oraz wydłużającym się dniem rośliny się budzą. Z kłączy wyrastają liście, dążące od mrocznego dna w kierunku światła. Tam, na powierzchni, rozwijają się, tworząc gęsty kobierzec unoszący się na wodzie i prześwietlony słońcem. Później pojawiają się kwiaty – u grzybieni białych tak piękne, że nazywa się je liliami wodnymi.

Kłącza i ogonki liściowe wznoszące się ku górze przez wodną toń mają niekiedy długość wielu metrów i pod wodą tworzą środowisko przypominające słynne oceaniczne podwodne lasy brunatnic – ale występujące w naszych jeziorach, starorzeczach i meandrach rzek. Jeżeli rekiny zastąpimy szczupakami, morskie mięczaki błotniarkami i szczeżujami, koniki morskie linami, a meduzy stułbiami, możemy o gąszczu tworzonego przez nymfeidy powiedzieć za Darwinem: „Liczba istot żyjących wszelkich rzędów, których życie zależnem jest od wodorostów, jest godną uwagi. Można by zapełnić gruby tom opisem mieszkańców tych gąszczy wodorostowych. [...] Ilekroć podnosiłem jaką gałązkę wodorostu, zawsze znajdowałem na niej nowe i dziwne zwierzęta".

eprasa.pl 0d93b09f36

Interesujesz się historią?

Poznaj pasjonujące lekcje historii w formie e-booków

Nieznane strony historii Polski
10 pasjonujących opowieści o wybitnych Polakach i odkłamanych faktach | 106 stron

Powstanie Styczniowe 1863 r.
13 historii o najważniejszych ludziach powstania | 130 stron

Gdzie diabeł nie mógł
25 opowieści o niesamowitych kobietach | 178 stron

Nieznane opowieści o ludziach i wydarzeniach
12 lekcji historii, które pomagają zrozumieć przeszłość | 121 stron

Pupile historii
30 nietypowych lekcji historii | nie tylko dla wielbicieli psów | 128 stron

JAK ZDOBYĆ HISTORYCZNE E-BOOKI?

Wystarczy wykupić cyfrową prenumeratę tygodnika Sieci już od 5,90 zł

Zamów na:

siec.wpolityce.pl/oferta

Każdy nowy subskrybent znajdzie e-booki w zakładce Moje wydania/Sieci Extra

eprasa.pl 0d93b09f36

Michał Korsun prezentuje:

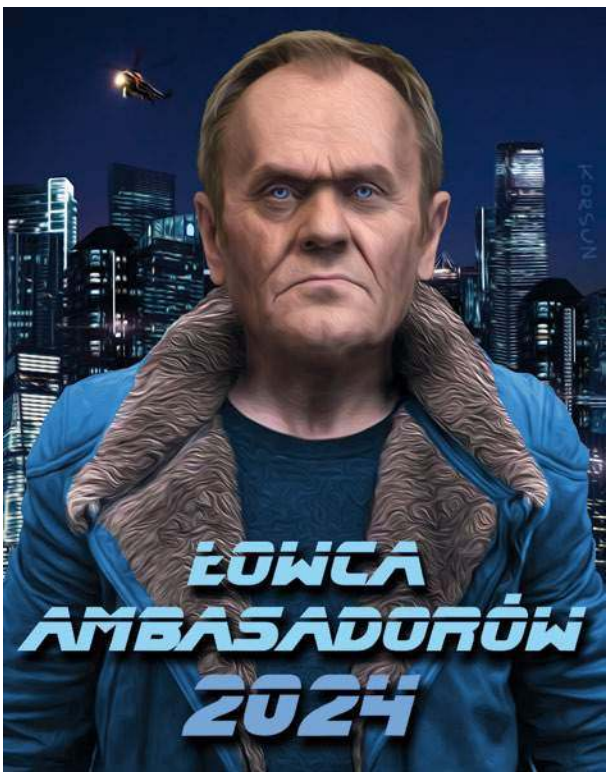

Wycinki z przeszłości

„Tygodnik Ilustrowany" z marca 1932 r. opublikował ciekawy fotoreportaż z ćwiczeń wojskowych przeprowadzonych w Tatrach przez 21. Dywizję Piechoty Górskiej. „Jakże zdziwieni musieli być kuracjusze i stali mieszkańcy Wisły i Istebnej, kiedy pewnego wieczoru ujrzeli się nagle w centrum wielkiego ogniska działań wojennych, na szczęście tylko fikcyjnych. Piechota na nartach; działa na płozach. Olbrzymie zaspy śniegowe, zaścielające trzymetrową powłoką drogi i zbocza górskie, wymagały niemałej zręczności od artylerzystów. W puchu grzęzło się po kolana, na zboczach zaś wszystko się ślizga. Istna sarabanda upadków, poślizgnięć. Mimo to artyleria potrafiła obsadzić placówki na wzgórzach wysokości 800 m. n.p.m. Tęgie mrozy również nie ułatwiały zadania. A jednak nasz żołnierz zdał świetnie egzamin z wytrzymałości, hartu i tężyzny duchowej".

Telefoniści pełnią odpowiedzialną służbę

Autor podkreślał znaczenie łączności, zwłaszcza służby pełnionej przez telefonistów [na zdjęciu], w tych warunkach pogodowych.

(mk)

Awizo wiosenne

Leszek Długosz

Chodźmy posłuchać
Przyjrzeć się tej pod Wawelem
zielonej harfie
Na skarpie
– W marcową niedzielę pyli
leszczyna
Pierwsza na przedwiośniu
solistka
Z nią muzyka pójdzie wszystka
– Z wody, z ziemi, z nieba
Zew, śpiew i rytm
Na modłę odwieczną pogańską
Na całe przestworze
Buchnie

Dzień dwa trzy, tylko patrzeć
– Olśni, taniec szalony Świętej Wiosny Zielonej
Od Tyńca, Zwierzyńca, przez Bielany
Zakolem Wisły
Plantami dotrze
W te niedzielno krakowskie salony
Tylko słuchaj
– Jakie tam już w gałęziach i przy stolikach
Świergoty, migoty
Seledyny srebrzystości
Dzwonki, trąbki...
Ciebie też dosięgnie ?
Na Rynku podejdzie ?

W dorzeczu serca się rozszumi
Krzew gorejący
– Pół sacrum, pół profanum
W życiu, och ty w życiu...
– Coś z tego rozumiesz?

Serce pół tańczy, pół omdlewa

Chodźmy posłuchać
Przyjrzeć się tej harfie
– W marcową niedzielę
Pod Wawelem na skarpie
Lecą wprost w oczy, w ręce
Awiza wiosenne...
Kto, ile jeszcze pochwyci
Tyle mu jeszcze będzie w życiu
– Radości tej zielonej, och ty w życiu
Wiośnianej
– Tegorocznej, zdyszanej...

Zamów prenumeratę! Według nowego cennika

CENNIK PRENUMERATY*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	109 zł	189 zł	349 zł

*Dane do przelewu w stopce redakcyjnej

Autopromocja

eprasa.pl 0d93b09f36

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

„Postęp” odwrócony

Ideologia, a także praktyka postępu głoszonego w kulturze Zachodu trwa już kilka stuleci. Co najmniej od sukcesów myśli oświecenia, które nastąpiły w XVII i XVIII w.

Postęp oznacza, że jest coraz lepiej. O jakie „lepiej” chodzi?

Oto dzięki rozwojowi nauki i techniki człowiek miał się doskonalić. We wszystkich swoich istotnych wymiarach: rozumu, moralności i zdrowia fizycznego. Miał być coraz mądrzejszy, bardziej etyczny, empatyczny itd. oraz sprawniejszy fizycznie.

Przyspieszenie tak rozumianego postępu miała przynieść rewolucja cyfrowa – komputeryzacja, internetyzacja, komunikowanie wszystkich ze wszystkimi, edukacja wysokiej jakości, powszechny dostęp do informacji i najwspanialszych, np. artystycznych, osiągnięć ludzkości. W najdalszym zakątku Ziemi ludzie mieli móc oglądać ambitne wykonania dzieł muzyki klasycznej.

Okazało się jednak, że znacznie chętniej sięgają po... pornografię. Po przemoc. Po wizje spiskowe. Po wpisy pełne nienawiści w stylu Soku z Buraka. Lecz siła przyciągająca takich paskudztw to nie wszystko.

UPADEK

Z coraz liczniejszych badań wynika, że oprócz pewnych korzyści rewolucja cyfrowa przyniosła pogorszenie dobrostanu całego pokolenia młodzieży. Są mniej sprawni fizycznie. Życie spędzają przed ekranem, zamiast – nawet jeśli pominiemy nie/czytanie lektur szkolnych – bawić się na świeżym powietrzu z rówieśnikami. Są mniej wytrwali w obliczu trudów – spytajcie pracodawców. Coraz mniejsza część z nich jest zdolna do umysłowej tzw. pracy głębokiej, czyli wymagającej skupienia się przez dłuższy czas na jakimś zadaniu, które nie przynosi szybkiej gratyfikacji.

Z coraz liczniejszych badań wynika, że oprócz pewnych korzyści rewolucja cyfrowa przyniosła pogorszenie dobrostanu całego pokolenia młodzieży

STADNI HIPERINDYWIDUALIŚCI

Często są coraz bardziej wypreparowani z odpowiedzialności za swoje społeczne otoczenie – rodzinę, miasto, kraj. A ci utalentowani liczą na to, że znajdą pracę wszędzie w *wolnym świecie*.

Pod wpływem mediów społecznościowych, które dają silne, choć złudne, poczucie podmiotowości, samodzielnego wyboru kolejnej nowej apki, stali się hiperindywidualistami, przekonanymi o swej wyjątkowości. Jednocześnie wielu młodych nie zdaje sobie sprawy, jak łatwo jest manipulować ich nastrojami, poglądami, a nawet instynktem moralnym, np. skłaniając do zgodnego z poprawnością polityczną masowego potępiania czynów rzekomo *niegodnych*.

Nie wiedzą, że tracą autonomię moralną. Jak zresztą mają mieć czas na refleksyjną ocenę czyjegoś zachowania, skoro *muszą* bez wytchnienia w coś klikać, skrolować, na coś reagować. *Własne sumienie* zdaje się zbędne w tak przeciążającej komunikacji, by nie powiedzieć: jej karykaturze. Wystarczy tzw. społeczny dowód słuszności w postaci tysiąca lajków na Facebooku.

PRZECIĄŻENI ŚMIECIAMI

Rozwijany pod hasłami postępu internet (pamiętacie manifesty szefa Facebooka Marka Zuckerberga?) przyniósł odwrócenie trwającej wiele stuleci podróży człowieka do *przodu*. Ku większej wiedzy, lepszemu zdrowiu i dojrzałości społecznej. To wszystko wymagało samodyscypliny.

Internet zastąpił przekazywanie wiedzy kaskadami informacji – niekiedy prawdziwych, częściej mylących lub kompletnie fałszywych, wreszcie bezsensownych. Te tysiące kamyczków wcale nie układa się w sensowną wiedzę pozwalającą rozumieć świat i nadać swojemu życiu sens. Duża liczba chorób psychicznych, osób cierpiących na depresję, epidemia samobójstw wśród młodych to tylko niektóre z owoców zatrutego drzewa rewolucji cyfrowej.

Wielowiekowy, często bolesny proces ku jakiemuś doskonaleniu się człowieka i naprawianiu naszego społecznego świata w ostatnich dekadach został zastąpiony przez ostrą polaryzację, ocean dezinformacji, niestabilność geopolityczną oraz – tu ukłon w stronę ekologów – rosnące wydobycie niezbędnych dla cyfryzacji metali rzadkich.

ALE JEST POCIECHA!

Niedawno spadek zdolności poznawczych człowieka, jego pogłębiająca się dezorientacja w świecie znalazły kompensację w postaci całej serii osiągnięć kolejnych systemów sztucznej inteligencji. Po co się kłopotać degradacją człowieka, wszak myślące maszyny są coraz lepsze.

Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Autopromocja | Reklama 1/0224/F

eprasa.pl 0d93b09f36

TYLKO DLA PRENUMERATORÓW WERSJI PAPIEROWEJ SIECI

Książka o wrogach Chrystusa i życiu w czasach pierwszych chrześcijan:

- Kto odpowiadał za oskarżenie i śmierć Jezusa?
- Jaka była prawdziwa historia Judasza?
- Co o Piłacie mówią historyczne źródła?
- Dlaczego Neron mordował chrześcijan?

WAŻNA LEKTURA NA WIELKI POST
| 300 LAT HISTORII | 296 STR.

100 książek w prezencie

Fot. Shutterstock

Książkę **„Znak, któremu sprzeciwiać się będą”** otrzymasz **GRATIS**, zamawiając roczną prenumeratę tygodnika SIECI za **349 zł**.

Zamów już dziś na: **www.sieciprawdy.pl/prenumerata**

Przed zamówieniem prenumeraty upewnij się, że książka jest nadal dostępna:
prenumerata@fratria.pl | tel. 22 616 36 00 w godz. 9-16

Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290, Fratria sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia, w tytule wpłaty wpisując pełne dane adresowe do wysyłki.

eprasa.pl 0d93b09f36

LEPIEJ DRAPAĆ RAZEM

25 lat Zdrapki

DO WYGRANIA NAWET 1 000 000 ZŁ

LOTTO

eprasa.pl 0d93b09f36